

HENRYK SIEWIERSKI

SPOTKANIE NARODÓW

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1984

SPOTKANIE NARODÓW

1980 2007

1980 2007

1980 2007

1980 2007

1980 2007

1980 2007

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 389

INSB 2-7168-0047-2

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

HENRYK SIEWIERSKI

SPOTKANIE NARODÓW

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1984

IN THE YEAR 1911

STOCK MARKET
AND
WORLD

W S T Ę P

Ślad, jaki w literaturze polskiej zostawiły losy Polaków w ZSSR czasu drugiej wojny światowej jest nie tylko świadectwem cierpienia, degradacji, zbrodni, ale też bezcennym zapisem spotkania wielu narodów. Przemoc, która jest wrogiem spotkania, doprowadziła do tego, że przybliżyli się ku sobie ludzie różnych ras, kultur i języków na skalę nie spotykaną w historii. Nie wybrani przedstawiciele, ale wyrwani — jakże często ze snu — swemu narodowi w liczbie sięgającej milionów. Przybliżyli się na bocznym — zdawałoby się — torze historii, prowadzącym do masowych, skazanych na zapomnienie grobów, ale czyny i rozmowy zostały spisane i nie da się ukryć brzemiennej dla wieku prawdy tego wielkiego spotkania narodów.

Bałkarczy, Białorusini, Chińczycy, Czeczeńcy, Czerkiesi, Estończycy, Finowie, Grecy kaukascy, Gruzini, Hiszpanie, Inguszwowie, Jakuci, Japończycy, Kabardińcy, Kałmucy, Karaczajewcy, Kazacy, Koreańczycy, Litwini, Łotysze, Mołdawianie, Niemcy, Ormianie, Polacy, Rosjanie, Rumuni, Tadźycy, Tatarzy krymscy, Ukraińcy, Węgrzy, Żydzi z różnych krajów — by wymienić tylko najliczniej reprezentowane narody.

W więzieniach, obozach, na zesłaniu rodziły się te trudne międzyludzkie więzi, które są wiązaniami nadziei. Dowodem ich trwałości jest sposób, w jaki ocaleli zdają sprawę z tamtych spotkań.

„Czas nie oddalił ich — pisała w roku 1956 Herminia Naglerowa — od własnych i bliźniego przeżyć, a pisarstwo ich nie jest rekompensatą tylko wyrazem utożsamienia się.

Ci, co zostali, powierzyli im zresztą siebie: 'Mówcie o nas, piszcie o nas całą prawdę, tak jak tu jest i o takich

jak tu jesteśmy. Niech ludzie dowiedzą się o ludziach'. Zaznaczono tym swoją przynależność do rodzaju ludzkiego i być może polegano na solidarności ludzi nie dotkniętych poniżeniem, ludzi wolnego świata. I może się to komuś wydać naiwne, sentymentalne czy jakieś tam, ale wszystkie lub prawie wszystkie polskie książki na temat sowiecki, w wypełnianiu tego nakazu, upominają się o człowieka, o każdego człowieka znoszącego to, co jest nie do zniesienia. Wytrzymały i godny, spodlony i uległy, oporny, załamany — każdy należy do zespołu ludzkiego i nie wolno go się wyrzec, wyrzucić poza obręb człowieczeństwa"¹.

Dzięki słowu pisanemu trwałość tamtych więzi braterstwa i zrozumienia na przekór ciemnościom może przenieść się w kolejne pokolenia. Trzeba tylko czuwać, by kontekst cierpienia i niewiasty ich nie stargał, ale uwytatniał.

1. H. Naglerowa, *Komu i czemu służę*, „Wiadomości” (Londyn), 1956, nr 13.

PODALSZE OD RUSSKOJ ZIEMI...

„Tawariszcz, my jediem dalo-o-ko,
Podalsze od russkoj ziemi...”¹

Zanim osoba tego dramatu stała się jego narratorem, minęło kilka lat. W tym czasie przestrzeń dramatu pozostała gdzieś daleko, jego były uczestnik daje o nim świadectwo w innym miejscu i czasie. Dla czytelnika nie jest jednak obojętne, jak mają się do siebie te dwa czasy i te dwie przestrzenie. Czy tamten świat jest na tyle rozciąłty w czasie i przestrzeni, że jego były mieszkaniowiec, opowiadając o nim z Rzymu, Londynu, Teheranu czy Krakowa, bez trudu może stosować *praesens historicum*, czy też jest już w innym świecie, a z tamtym, na jakiejś innej, nie-ludzkiej ziemi łączą go zaledwie blizny i niezabliźnione jeszcze rany pamięci?

Epilog *Innego świata* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego rozgrywa się w Rzymie, w miesiąc po zakończeniu wojny. Były więzień obozu nad Peczorą odnajduje towarzysza niedoli, z którym przed pięcioma laty dzielił celę więzienia śledczego w Witebsku. Opowiada swe obozowe dzieje, ale celem tej wizyty jest przede wszystkim wyznanie komuś bliskiemu czynu, który obciąża sumienie, w nadziei że ten bliski zrozumie. Opowiada jak pewnej nocy, w lutym 1942 roku, wezwano go do Trzeciego Oddziału i zażądano denuncjacji czterech Niemców, którzy pracowali w jego brygadzie — dwóch Niemców nadwołżańskich i dwóch komunistów niemieckich, którzy w 1935 roku uciekli do Rosji.

„Pracowali doskonale, nie miałem im nic do zarzucenia,

1. G. Herling-Grudziński, *Inny świat. Zapiski sowieckie*, Paryż 1965, Instytut Literacki.

chyba to tylko, że unikali jak ognia rozmów na tematy polityczne. Zażądano ode mnie, abym złożył zeznanie, że słyszałem ich rozmawiających po niemiecku o bliskim nadjeździe Hitlera. Mój Boże, jednym z największych koszmarów systemu sowieckiego jest mania legalnego likwidowania ofiar... Nie wystarczy strzelić komuś w łeb, trzeba jeszcze, żeby o to na procesie pięknie poprosił. Nie wystarczy uwikłać człowieka w ponurą fikcję, trzeba jeszcze, żeby potwierdzili ją świadkowie. Oficer NKWD nie ukrywał przede mną, że jeśli odmówię, wrócę na ogólne roboty, do lasu... Miałem więc do wyboru własną śmierć, lub śmierć tych czterech... (...)

— I wybrałem. Miałem dość lasu i tego przeraźliwego, codziennego wywijania się od śmierci — chciałem żyć. Złożyłem zeznanie. Rozstrzelano ich za zoną w dwa dni potem” (250).

Prosi tylko o jedno słowo: „rozumiem”. Wie, że zrozumieć może tylko ten, kto sam doświadczył, do czego doprowadzano tam ludzi. To jedno słowo pomogłoby mu w dźwiganiu brzemienia winy, byłoby też jednak potwierdzeniem trwałości destrukcji, jakiej poddawany był tam człowiek, gestem solidarności w ramach tajemnego związku inwalidów sumienia.

„Poczułem, jak krew uderza mi do skroni, a wraz z nią cisną się przed oczy dawne obrazy, wspomnienia. Ale o ileż bardziej były zatarte wówczas, gdy tłumiłem je siłą, by ratować wiarę w ludzką godność, niż teraz, gdy nareszcie uspokojony — spoglądam na nie jak na ostygłą przeszłość! Może wymówiłbym bez trudu to jedno słowo nazajutrz po zwolnieniu z obozu. Może... Miałem już jednak za sobą trzy lata wolności, trzy lata wędrówek wojennych, udziału w bitwach, normalnych uczuć, miłości, przyjaźni, życzliwości... Dni naszego życia nie są podobne do dni naszej śmierci. Wróciłem z takim trudem między ludzi i miałbym teraz od nich dobrowolnie uciekać? Nie, nie mogłem wymówić tego słowa” (250).

Nie zostało wyraźnie powiedziane, jaki jest wpływ dawnych obrazów i wspomnień na podjętą decyzję. Wiadomo natomiast, że zdecydowała wola pozostania między ludźmi, odmowa „rozumienia” jest odmową jakiegokolwiek usprawiedliwienia tego co nieludzkie, odmową udziału w zbrodniczej denuncjacji, opo-

wiedzeniem się po stronie tych czterech rozstrzelanych za zoną. Nacisk dawnych obrazów i wspomnień, tak mocny mimo upływu trzech lat, wspomnień, które trzeba było kiedyś tłumić, „by uratować wiarę w ludzką godność”, był zapewne sprzymierzeńcem penitenta tej świeckiej spowiedzi. Trudno jednak do końca określić jego wpływ, skoro wbrew pozorom decyzja odmowy przybliży tamten, inny świat i świadczy, że nie trwa on odcięty gdzieś w innej przestrzeni geograficznej i moralnej. Gdyby narrator *Innego świata* uspokoił sumienie swego więziennego towarzysza, utwierdziłby tym samym odcięcie, wzajemną nieprzenikliwość tych dwóch różnych światów. Odmawiając, odmawia powrotu, ale za to przybliży tamten mroczny świat, by w świetle wolności zobaczyć dawne obrazy i wspomnienia.



Herling-Grudziński chce spełnić ucziwie testament tych, którzy zostali i jeśli lektura jego książki ma być ucziwa, trzeba zstąpić z autorem do „czeluści piekieł”:

„Kiedy chcę obiektywnie opisać obóz sowiecki, muszę zstąpić do najgłębszych czeluści piekieł i nie szukać na przekór faktom ludzi tam, gdzie z dna wody letejskiej spoglądają na mnie twarze umarłych i żyjących może jeszcze towarzyszy, przekrzywione drapieżnym grymasem osaczonych zwierząt i szepczące zsiniałymi od głodu i cierpienia wargami: 'Mów całą prawdę, jacyśmy byli, mów do czego nas doprowadzono' ” (140).

A jednak „cała prawda” nie mieści się za drutami obozu, ani nawet w granicach Rosji. Świat obozowy w wizji Herlinga nie jest osaczoną w przestrzeni i zamartwą w czasie enklawą. Jest światem wygnańców, którzy są w drodze. Punktem kulminacyjnym jest moment, w którym dadzą oni tej samowiedzy wspólny, spontaniczny wyraz. Gdy przy końcu obozowego przedstawienia teatralnego Wsiewołod Prastuszko, marynarz leningradzki zaśpiewa pieśń „Rozkinołoś morie szeroko”, kilkuset więźniów podejmie „ni to śpiew, ni rozpaczliwy okrzyk”, powtarzając jak refren:

*Tawariszcz, my jediem dalo-o-ko,
Podalsze od russkoj ziemi...*

„Na wszystkich twarzach malowało się wzruszenie, a w niektórych oczach zaświeciły się nawet łzy. I choć śpie-

wane z takim przejściem słowa miały w obozie wymowę przekleństwa rzuconego przez przykutych do galer niewolników 'russkiej ziemi', brzmiała w nich jednocześnie nostalgia... Nostalgia za ziemią męki, głodu, śmierci i upokorzeń, za ziemią wiecznego strachu, twardych jak kamień serc i wypalonych płaczem oczu, za jałową ziemią pustynną, prążoną bezlitośnie przez gorące tchnienie szatana... I nigdy już potem nie zrozumiałem na krótko choćby tak wyraźnie jak wówczas, że więźniowie rosyjscy żyją poza granicami Rosji i nienawidząc jej, tęsknią do niej zarazem z całej siły swych zdławionych uczuć" (179).

Dokąd płyną ci oderwani od rodzinnej ziemi galernicy XX wieku? Pieśń pomogła wypowiedzieć ukryty sens niewoli, wydobyla z kilkuset piersi niewypowiedziane przeczucie celowości niepojętych cierpień. Słowo „dalej” skierowane do towarzysza niedoli potrafiło zjednoczyć i uczynić ze znanej pieśni wspólne wyznanie wiary. Kto wie, czy wraz z tęsknotą i nienawiścią do tej „ziemi męki, głodu i śmierci”, nie wypowiedziało się przeczucie, iż oto spełnia się *exodus*, który niesie w sobie obietnicę wyprowadzenia z pułapki tego domu niewoli. Mierzwa historii nie potrafiłaby wydobyć z siebie głosu, by wypowiedzieć, że zmierza dalej niż przydzielony czas i przestrzeń.

Tamto przeczucie uczestnictwa w wyprawie dalej niż cierpienie i upokorzenie potwierdza się w czasie narracji, a także — trudno ukryć — lektury *Innego świata*. Herling-Grudziński przybliży świat, który już nie należy tylko do tamtego czasu, który nie zastygł w tamtej ziemi. Większa bowiem niż napór obrazów i wspomnień z „dna piekieł” jest waga tych doświadczeń, w których wbrew zwykłej logice, człowiek próbował odnaleźć wiarę w sens i celowość swej wędrówki w czasie historii.



W „innym świecie” jest miejsce i czas na spotkania, w których na różny sposób przezwyciężona zostaje izolacja i atomizacja. Michał Heller podkreśla, jako cechę najbardziej typową dla tego świata, „zupełną dezintegrację panującą wśród jego mieszkańców”². Gdy jednak patrzymy na świat obozów koncentracyjnych poprzez świadectwa polskich pisarzy, zbyt często napotykamy

2. M. Heller, *Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka*, Paryż 1974, Instytut Literacki, str. 253.

fakty, nie mieszczące się w powyższym uogólnieniu. Są to bowiem bardziej świadectwa spotkań, w których dostępne stają się przestrzenie poza granicami widzialnej rzeczywistości („*podalsze od ruszkiej ziemi*”) niż próby jej opisu jako zamkniętego świata o zatraconym poczuciu wspólnoty jego mieszkańców.

W narrację *Innego świata* wplecionych jest wiele biografii. Nie istnieją one na zasadzie dygresji ani nie są rezultatem wszechwiedzy narratora. To część akcji, jaka dzięki spotkaniu przenosi się w inny czas i przestrzeń. Te spotkania sprawiają, że obóz koncentracyjny upodobnia się do sceny klasycznego teatru, na której dialog potrafi przełamać więzy trzech jedności.

„Jednocześnie przecież Trupiańnia sprzyjała pogłębieniu przyjaźni wśród więźniów, którzy znali się przedtem w zonie. Przeszło rok żyłem jak syn z ojcem z Dimką, ale dopiero teraz, w czasie długich rozmów w Trupiańni, poznałem bliżej historię jego życia. Był młodziutkim popem w Wierchojańsku, gdy wybuchła rewolucja...” (221).

Przyjaźń z profesorem Borysem Łazarowiczem N., szkolnym kolegą Tuwima, absolwentem rosyjskiego gimnazjum w Łodzi oraz z jego żoną Olgą, skazanymi w roku 1937 za prowadzenie w Moskwie salonu literackiego, w którym zajmowano się wyłącznie literaturą polską, pozwala niejako przedłużyć działalność tego salonu. Profesor N., wykładowca Instytutu Briusowa w Moskwie, opowiada m.in. o dziejach recepcji Balzaka w Rosji, dziele Gonczarowa, sam natomiast wysłuchuje uważnie, co działo się w literaturze europejskiej i polskiej od czasu jego uwięzienia: „Pamiętam, jak jego zgazowane daremną walką z głodem oczy zapłonęły na chwilę, a na obwisłe policzki wystąpiły ceglaste wypieki, gdy mu opowiadałem o tomistycznej teorii sztuki Maritaina, którą poznałem na Uniwersytecie Warszawskim w przeddzień wybuchu wojny” (148).

„Na sianokosach zaprzyjaźniłem się ze starym bolszewikiem, Sadowskim. Polubiłem go za jakąś wewnętrzną prawość, fanatyczną solidarność w pozyciu więziennym i inteligencję ostrą jak brzytwa (...). Ze skąpych jego napomknien o życiu osobistym wiedziałem tylko tyle, że ma dorosłego syna we Władywostoku, ale nic o nim nie wie od chwili aresztowania, tj. od roku 1937, a na pytania o żonę odpowiadał zawsze bolesnym skurczem twarzy i przymknięciem oczu” (192).

Prowadzący głodówkę generał Artamian, Ormianin o rewolucyjnej przeszłości i zasługach dla lotnictwa, aktor Michaił Stiepanowicz, aresztowany za „przesadne zaakcentowanie w jakimś filmie szlachetności jednego z bojarów Iwana Groźnego”, stary góral czeczeński, który opowiada o sobie, przyglądając się „nieufnie spod krzaczastych brwi spojrzeniem, które w świetle dnia zamieniało się z szalonego na dzikie”, siostra Jewgenia Fiodorowna — z ojca Rosjanina i matki Uzbeczki — która „przychodziła niekiedy na naszą salę wieczorem i usiadłszy na brzegu łóżka starego aktora, opowiadała o sobie”...

„W baraku 'lesorubów' miałem znajomego Kozaka znanego Donu, Pamfiłowa, który zwykł czytywać mi w święta listy od syna. Powstała z nich barwna historia — tym ciekawsza, że w połowie roku 1941 znalazła w obozie swój nieoczekiwany epilog” (125).

Było też w zwyczaju dnia wolnego od pracy wspólne redagowanie listów do rodziny oraz głośne czytanie tych, które nadeszły:

„Braliśmy wszyscy udział w troskach i zmartwieniach naszych towarzyszy, a baraki zamieniały się na krótko w wielkie rodziny. I nie muszę chyba dodawać, jak lubiłem te chwile, gdy pozbawiony kontaktu z najbliższymi poznawałem kłopoty rodzinne wszystkich zaprzyjaźnionych więźniów” (125).

Innym środkiem łączności z wolnością był „*Dom swidanji*”, skrzydło baraku, przeznaczone na spotkania z krewnymi, którym udało się uzyskać na to zezwolenie. Choć nieraz tak oczekiwane spotkanie stawało się dla więźnia źródłem trudnej do zniesienia męki. „*Dom swidanji*” był zawsze tą szczeliną, przez którą przeświecała wolność:

„I dziwna rzecz: w zonie panowało wyuzdanie seksualne, kobiety traktowało się jak prostytutki, miłość jak spacer do wychodka, a ciężarne dziewczęta z baraku matek witało się drwinami — ale '*Dom swidanji*' ostał się w tym morzu brudu, poniżenia i cynizmu niby jedyna przystań takiego życia uczuciowego, jakiego pamięć przechowywała się w obozie z wolności. Pamiętam, jaką radość przeżywaliśmy wszyscy, gdy do jednego z więźniów przyszedł list o urodzeniu się dziecka, poczętego w czasie widzenia” (102).

Historię życia i dobrowolnego męczeństwa Michaiła Aleksiejewicza Kostylewa poznaje czytelnik *Innego świata* dwustopniowo, najpierw w autointerpretacyjnym skrócie, wypełnionym później szczegółową opowieścią. Kostylew — podkreśla narrator — wielokrotnie powtarza i uzupełnia tę opowieść, poddaje ją drobniawej analizie. Na drugim roku Akademii Morskiej we Władystoku Kostylew uzyskał możliwość dostępu do literatury francuskiej, która otwiera przed nim nowy, „bajeczny świat”. Ten, który gotów był walczyć o wolność „uciemiężonych Europejczyków” w imię miłości do nieznanego Zachodu, odkrywa, że go oszukano: „Wyzwolić Zachód! Od czego? Od takiego życia, jakiego myśmy nigdy nie oglądali na oczy!” To wypowiedziane nieopatrzenie w gronie kolegów zdanie przypieczętuje wyrok Kostylewa. Opis śledztwa jest nieomal kliniczną analizą procesu rozbijania osobowości. Celem śledztwa jest bowiem nie tyle zmuszenie oskarżonego, by przyznał się do zarzucanych mu win, ile „kompletna dezintegracja jego osobowości”, rozbicie jej i złożenie na powrót, ale już w odmienną od poprzedniej całość. Nowonarodzony może jeszcze próbować ocalić resztki swej dawnej tożsamości, budząc w sobie litość i współczucie dla drugich, próby te jednak skazane są na niepowodzenie: „Czy mógł być przypuszczać, że można poniżyć człowieka do tego stopnia, aby budzić do niego nie litość, a wstręt, nawet wśród współwięźniów?” (77). Niektórym jednak w tej ostatniej próbie otwierają się oczy i widzą, że ich oszukano. Do nich należy Kostylew. Przypadkowo trafia mu do rąk czytana kiedyś na wolności książka i po raz drugi czuje się oszukany:

„Jest już za późno, żeby doskoczyć do drzwi z okrzykiem 'Ja chcę do sędziego śledczego, jestem niewinny!', ale jest jeszcze dość wcześnie, aby w miejsce pokonanej litości rozdmuchać w stygnącym popiele własnego życia wysoki płomień z ostatniej iskiejki człowieczeństwa — z dobrowolnego i prawie sztucznego męczeństwa” (78).

Kostylew po kryjomu opala sobie rękę nad ogniem, a w końcu — by uniknąć wywózki na Kołymę — oblewa się w łaźni wrzątkiem i umiera w męczarniach. Zasygnalizowana tu w dużym skrócie historia Kostylewa stanowi osobny, ważny rozdział *Innego świata*. Autor przyznaje: „Przyjaźń z Kostylewem zaważyła poważnie na moich doświadczeniach sowieckich” (79).

Ta przyjaźń odsłoniła też inny, odmienny niż spotkanie kierunek, w którym niektórzy więźniowie zmierzali „*podalsze od*

ruszkiej ziemi”. Męczeństwo i samobójcza śmierć Kostylewa, finał szaleńczej tęsknoty za wolnością, jest w *Innym świecie* jedynym przypadkiem tak konsekwentnego i bezkompromisowego ratowania wiary w sens życia przez dobrowolną śmierć. Wiąże się jednak z bardziej powszechnym ruchem ku śmierci, kontrolowanym przez pokładaną w niej nadzieję „wiecznego odpoczywania”:

„Są to religijni samobójcy, Chrystusowi czciciele śmierci, wierzący w wyzwolenczą potęgę grobu, a nie w życie pozagrobowe. Śmierć urasta w ich pojęciu do rozmiarów najwyższego dobra, na które jedynie warto czekać gdy już od dawna wszystko inne zawiodło” (154).

Temu paradoksalnemu exodusowi patronuje Fiodor Dostojewski. Krążąca w *Zapiskach z martwego domu* myśl o wyzwoleniu przez samobójstwo trafia na podatny grunt. Oto wyznanie zaprzyjaźnionej współwięźniarki Natalii Lwownej, która dzieli się tą książką i swoją tajemnicą:

„Kiedy w roku 1936 znalazłam się w więzieniu, cierpiałam bardzo; wydawało mi się, że pozbawiono mnie wolności, bo w jakiś sposób na to zasłużyłam. Ale teraz! Teraz, kiedy wiem, że cała Rosja była zawsze i jest po dziś dzień martwym domem, że zatrzymał się czas pomiędzy katorgą Dostojewskiego i naszymi własnymi mękami — jestem wolna, zupełnie wolna; Umarliśmy już dawno, a tylko nie chcemy się do tego przyznać. Niech pan pomyśli: tracę nadzieję, gdy odżywa we mnie pragnienie życia; odzyskuję ją na nowo, gdy odczuwam w sobie pragnienie śmierci” (171).

Anatol Krakowiecki w *Księżce o Kołymie* woła o „wolność człowieka od pragnienia śmierci”³. Tutaj, w *Innym świecie*, pojawia się zrozumienie dla tego graniczącego z szaleństwem powiązania nadziei i wolności z pragnieniem śmierci. Jednakże obóz jako całość zamyka Herling-Grudziński w metaforze okrętu-widma, który w bezkسیężycowym morzu ciemności co noc ucieka ścigany przez śmierć ze śpiącą pod pokładem załogą skazańców. Zagle tego okrętu wydyma lęk przed obliczem obozowej śmierci, która przerażała umieraniem n a g ł y m („... każdy więzień

3. A. Krakowiecki, *Księżka o Kołymie*, Londyn 1950, Veritas, str. 208.

zasypiał codziennie z myślą, że śmierć zaskoczy go właśnie tej nocy. Bał się tego zaskoczenia", 156), w o s a m o t n i e n i u („Można, poczuwszy nagle dławiący ucisk śmierci w gardle, wyważyć na pomoc ludzi zdrowych, ale jak poruszyć serca, które z głuchym łomotem dobijają się do wrót wschodzącego dnia, nie płosząc ich i nie paraliżując zniecka daremnym krzykiem", 156) oraz a n o n i m o w o ś c i ą („Świadomość, że nikt nigdy nie dowie się o ich śmierci i o tym, gdzie ich pochowano, była dla więźniów jedną z największych tortur psychicznych", 157).

Samobójcze pragnienie śmierci i strach przed nią to dwa różne sposoby buntu przeciw takiemu życiu i umieraniu, jakie zgotowano człowiekowi w „innym świecie", dwa różne sposoby przewycięzania tych jego więzów, które krępowały i miażdżyły osobowość. Mowa jest też o próbie ratowania przez zamknięcie się we własnym świecie, wejście w pustkę samotności, przynosi ona jednak antynomiczne doświadczenie śmierci w zmartwychwstaniu:

„Bo jednocześnie z tą euforią zmartwychwstania osobowości czułem, że jestem cmentarzyskiem wszystkiego, co łączy z innymi ludźmi. Nie myślałem o obozie, nie myślałem o tych, co giną za burtą łodzi ratunkowej szpitala, nie myślałem o najbliższych, o przyjaciółach, o nikim — poza samym sobą. Umierałem więc zmartwychwstając" (110).

Nie może być sobą bez samotności, ale w samotności widzi, że poza komunikacją z drugim nie może być ocalenia.

Cierpienie nie jest jedyną miarą sytuacji człowieka w „innym świecie". Herling-Grudziński szuka tej miary przede wszystkim w przestrzeni związków międzyludzkich — tam, gdzie z materii poniżenia, upodlenia i nienawiści podnosi się człowiek, gotowy do spotkania z drugim. I jeśli pojawia się metafora okrętu, który unosi załogę dalej niż tamten świat, dalej niż cierpienie, „*podalsze od ruszkiej ziemi*" — jest ona w głównej mierze wynikiem tych spotkań.

W DOMU NIEWOLI

„... mieszanina tu, jak na dolinie Jozafata. W trzech połączonych ze sobą celach siedzi nas chyba ze dwieście! I kogo tu nie ma? Polki, Rosjanki, Rumunki, Węgierki, Ukrainki z Polski i te z Zakarpacia, Żydówki — wszystko! Wszystko też gada równocześnie, wszystko się kłóci, śpiewa, a jak dobrze pójdzie — bije i wyzywa od ostatnich”¹.

Ogłoszone w 1946 roku w Rzymie pod pseudonimem Marta Rudzka wspomnienia Beaty Obertyńskiej z „domu niewoli”, obejmują jej przeżycia od aresztowania we Lwowie w lipcu 1940 roku i uwięzienia w Brygidkach poprzez wędrówkę przez osiem kolejnych więzień, łagry Starobielska i Workuty aż po zwolnienie w roku 1941 i pracę w kołchozie bawełnianym pod Bucharą. Jako tzw. wolna siła najemna oczekiwała tam na wcielenie do Armii Polskiej; po przyjęciu do Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet opuściła ZSSR w marcu 1942 roku. W jej wielkim raporcie dominuje wątek solidarnego współżycia Polek; spotkania z więźniarkami innych narodowości są na dalszym planie. Dysproporcja ta odzwierciedla dystans wobec innych grup narodowościowych, często uzasadniony ich wrogą, pełną uprzedzeń postawą wobec Polek, często jednak sprawiający wrażenie, jakby był wyrazem jakiegoś trudnego do przezwyciężenia poczucia wyższości, które łątwo przeradza się w pogardę.

Obertyńska nie szuka usprawiedliwienia dla słabości tych, którzy stoczyli się na dno nędzy ludzkiej, nie próbuje nawiązać dialogu ze współwięźniem, który demonstruje swą wrogość, czarne charaktery są wyraziście czarne, nie stosuje eufemizmów dla

1. Marta Rudzka (pseud.) (Beata Obertyńska), *W domu niewoli*, Rzym 1946. Nakładem Oddziału Kultury i Prasy 2-go Korpusu A.P., Biblioteka „Orla Białego”.

określenia uczuć, jakie żywi wobec nieprzyjaciół ojczyzny i tych, dzielących wspólny z nią los, którzy widzą w niej wroga klasowego, burżujkę. Drobiazgowość opisu, bogactwo szczegółu idą w parze z jakimś moralnym naturalizmem, obnażającym takie właśnie — wcale nie budujące — postawy narratora wobec otoczenia. Poczuciu własnej godności towarzyszy często pogarda i obrzydzenie wobec zdegradowanego człowieczeństwa u innych:

„Polek jest w tym transporcie tylko kilkanaście. Reszta rosyjskie śmiecie. Mnóstwo małoletnich prostytutek. Jedną z nich zapamiętałam wyraźniej od innych. Chude, wyciągnięte, a blade, jak pęd piwnicznego kartofla. Płaszcz na tym kusy o za krótkich rękawach. Na głowie — aż do połysku wytłuszczona wojskowa pilotka, na nogach kalosze. Stworzenie to przygląda mi się uważnie i z bliska, obchodzi dookoła, dotyka koca, płaszcz. Zagląda jaka podszewka” (80).

„Ścieki są popsute i tak zalepione odwiecznym mydłem, że woda nie schodzi i pod koniec każda z nas stoi po kostki w cudzych brudach, w które zresztą załatwiają się w czasie kąpeli, jawnie i bez żenady różne pół-idiotki, nieletnie prostytutki i inne, pozornie tylko ludzkie stworzenia (...). Człowiek jest maglowany, gnieciony i popychany przez jakieś — mniej lub bardziej obrzydliwe — ciała, o mniej lub bardziej podejrzanych wyrzutach i ranach. Wszystko w pośpiechu, nienawiści jednych do drugich, w mydle, parze, oślizłości i zmęczeniu” (81).

A oto fragment prezentacji jednego z Polaków. Autorka przyznaje wprawdzie, że ma on „gębę strasznie niewyparzoną”, dodaje jednak: „Oby się dziś tacy na kamieniu rodzili”:

„... Teraz trumny robi. Pudełka na sowieckie ścierwo. Galantne. Od serca im robi. Byle ich już wszystkich prędeż w nie posłać. Nie żałowałby rąk! Narobiłby im tych trumien stąd do Leningradu. Tylko desek szkoda. I miejsca w ziemi też” (180).

Tak wielkie morze doświadczeń dzieli autorkę *W domu niewoli* od czytelnika, że trudno ocenić, na ile ten brak wielko-duszności, mieszanina pogardy i nienawiści jest wynikiem organicznej rusofobii, a na ile zwykłą reakcją organizmu na zadawany mu gwałt. Nie jest to przecież analiza ale opis, nie próba zracyj-

nalizowania ale w znacznej mierze zapis zarejestrowanych przez zmysły doznań; nie tyle dzieje duszy, ile poniewieranego ciała. Wydaje się, że antyrosyjskość Obertyńskiej ma nie tyle podłoże ideologiczne, klasowe czy narodowościowe, ile jest reakcją na przymus narzuconego siłą obcowania stłoczonych ciał. Oto bowiem Rosja z jej ideologią stała się ciałem, które napiera, odpycha, przygniata, ociera się, ciałem zdegenerowanym, upokorzonym, upadłym. Ścisk stłoczonych ciał potęgowany jest nienawiścią. Tutaj może się ona rozwijać i przeradzać w czyn, powodować w tym tłoku dodatkowy sztuczny tłok. Celem więzienia charkowskiego:

„Gnieciemy się w czterech rzędach, nogami ku sobie. Miejsca jest tak mało, że nogi leżących naprzeciw mnie zachodzą na moje i sięgają mi do połowy uda. Pech chce, że nogi te należą do wyjątkowo wściekłych, rosyjskich bab, ziejących nienawiścią do Polek i inteligencji, świadomych w dodatku naszej na celi mniejszości i żadnej opieki u władz. Kopią mnie więc i umyślnie walą na mnie na jawie i we śnie brudne po powrocie z 'uborny', bosa nożyska i starają się mi dokuczyć na każdym kroku” (83).

Spotkania z przedstawicielkami ludu pracującego i marginesu społecznego ZSSR pozostawiły jednak nie tylko tego typu wspomnienia. O ile stosunki między Polkami a kryminalistkami i prostytutkami charakteryzowała na ogół wzajemna wrogość (podtrzymywana również brakiem ewangelicznej troski o bliźniego imieniem Maria Magdalena ze strony Polek), to z innymi więźniarkami możliwe były spotkania w duchu zrozumienia i wzajemnej życzliwości. Spotkania takie były możliwe bez względu na przedziały klasowe i różnice poziomu wykształcenia. Potrzebę międzyludzkiej więzi i przyjaźni zaspokajały w głównej mierze przyjacielskie związki z tymi Polkami, z którymi Obertyńska — należąca do elity artystycznej Lwowa — znajdowała wspólny język. Stąd też spotkania z kobietami spoza swego kręgu stanowią tylko jeden z pobocznych wątków wspomnień. Jeszcze w Brygidkach, obserwując w jak różny sposób ludzie znoszą więzienie, Obertyńska znajduje klasowe uzasadnienie tego różnicowania:

„Bardzo różnie znoszą ludzie więzienie. Jedni się załamują, drudzy krzepną (...). Na ogół jednak lepiej znosi je inteligencja. Prostsze umysły łatwiej się mącą — biorąc

rzecz procentowo oczywiście. Bo wariują i te i te, tylko te proste kobiety, łapane teraz po ogonkach, na granicy, za brak paszportu, czy za inną tego rodzaju zbrodnię — nie czują swej winy, więc i słuszności tego zamknięcia, trudniej się z nim godzą, zwłaszcza, że je uważają zawsze za pewnego rodzaju hańbę. Tego uczucia żadna spod naszej ściany nie zna. Może nawet wprost przeciwnie! Po cichutku, na dnie serca, każda z nas jest trochę dumna z tego, że też siedzi... Te proste jednak, wiejskie kobiety buntują się, szarpią i załamują psychicznie” (62).

Uznanie w prostej kobiecie człowieka bardziej cierpiącego i bardziej skrzywdzonego dowodzi przejścia się losem tych, których nieszczeście zaskoczyło nieprzygotowanych do życia więziennego, wyrwało im wolność bez najmniejszego środka znieczulającego, jakim zawsze jest jakiejkolwiek choćby poczucie winy. Obertyńska dostrzega w ich losie tragizm tym większy, że przypadkowy, sama jednocześnie odczuwa uprzywilejowanie istoty świadomej dziejowego dramatu, w jakim przyszło jej odegrać patetyczną rolę ofiary — stąd ta ukryta na dnie serca odrobina dumy. Ale to dopiero początek niewoli. Wątek ten nie zostanie później podjęty: to nie przypadek bowiem wypełniał więzienia niewinnymi ludźmi, a zdobyta w kolejnych więzieniach i obozach wiedza nie pozwoliła podtrzymać tego cichego poczucia dumy. Powracać będzie jednak poruszenie losem prostych kobiet, ich rozpaczą, oburzenie niesprawiedliwością, jakiej padły ofiarą. To rosyjskie „zbrodniarki” najwięcej powiedziały Polkom o życiu proletariatu w ZSSR. Gdy tylko nastąpiło zbliżenie, przełamano mur nieufności i wrogości, potrafiły szczerze mówić o swoim życiu, nie ukrywając tego, co myślą naprawdę. Obertyńska podkreśla, że ta szczerość rzadka była w stosunkach z rosyjskimi inteligentkami. Oto np. „mała prostytutka” mówi wprost, że spodziewano się ratunku od Polski; „Inne nie precyzują niczego, ale za każdym ich słowem — prostym, nieuczonym, żalonym — tai się wyglądanie wyzwolin, majaczy czekanie na upragniony, niewiadomy cud (...) co bądź, 'choćby diabeł' — byle się rozkruszyły mury tego wielkiego więzienia” (103).

Obertyńska podkreśla niewspółmierność winy i kary, bezwzględność wyroków, które rozbijają rodziny („Tak mąż, jak żona skazanego są automatycznie przez prawo uznani za wolnych”), pozbawiają dzieci matek, skazując je jakże często na los „urków”, czy tych małoletnich zdeprawowanych dziewcząt, jakimi wypełnione są więzienia. W pamięci autorki wspomnień

W domu niewoli zapisały się losy wielu tych kobiet. Oto kilka przykładów:

„Kobieta pracuje w stołówce, gdzieś w małym miasteczku. Bieda, aż piszczy. Mąż w tiurmie. Mieszka z jedynym dzieckiem, bardzo daleko, tak, że aby na czas do pracy stanąć, musi dzień w dzień wychodzić z domu o czwartej rano. Wraca o północy. Pracuje tak dwa lata. Zdarzyło się, że jej dziecko zaniemogło. Po całym dniu pracy, zmęczona do upadłego, musi owe cztery godziny wypoczynku poświęcić czuwaniu. Nad ranem jednak, siedząc na krześle usypia. Staje do pracy z półgodzinnym opóźnieniem. Traci miejsce i dostaje dwa lata”.

„Ma kobieta troje dzieci. Pracuje na nie sama. Mąż umarł. Wychodząc do pracy zostawia młodsze pod opieką 14-letniego syna. Pod nieobecność matki chłopiec zamknął dzieci w chałupie i poszedł się ślizgać na staw. W zamkniętym domu wybuchł pożar. Dzieci wprowadzi ratują, ale dom idzie z dymem. Matka dostaje 5 lat ciężkich robót za 'niedostateczną opiekę nad dziećmi'”.

„Młoda kobieta jest palaczem na kolei. Lubi swój zawód i pełni go gorliwie i chętnie. Ma na utrzymaniu nieodłącznych rodziców i drobne rodzeństwo. Jej praca jest jedynym źródłem utrzymania całej rodziny. Zima jest sroga, a opału brak. Palaczka nabiera w kieszenie kombinezonu trochę miazgi wymiecionej z lokomotywy. Dostaje 5 lat” (103-104).

Więźniowie i łagiernicy chętnie na ogół opowiadają swoje dzieje, dzielą się swym losem i to przynosi im uczucie ulgi. Obertyńska nie stara się zgłębiać dramatu swoich współtowarzyszy, rejestruje poszczególne przypadki, kreśli sylwetki, ale relacji swych nie poddaje analizie, daje co najwyżej skąpe komentarze. Wydaje się, jakby okrucieństwo, z którego świadkami i ofiarami styka się na co dzień, odbierało jej cierpliwość, nasuwało gotowe już, obiegowe formuły, oskarżające system. Może jednak w tych ostrych, agresywnych oskarżeniach trzeba widzieć przede wszystkim sposób ujmowania się za tymi, których Obertyńskiej dane było spotkać:

„Bo rzesze, których firmą szafuje się perfidnie na prawo i na lewo, bo czarne robocze masy, proletariat, chłopci, w ogóle całe bezimienne mrowie Rosji — męczy się w tej

hermetycznie zamkniętej kaźni, jak nie męczyło się chyba nigdy" (105).

Niewiele jest opisów spotkań z rosyjskimi inteligentkami, może dlatego, że w przeciwieństwie do prostych kobiet, były bardziej zamknięte i zdystansowane. Na początku — wspomina Obertyńska — omijały Polki, nie ukrywając swej wobec nich „wzniosłości” i wzgardy. Gdy jednak przekonały się, że nie są przestępczyniami, zaczęły rozmawiać i zwierzać się — nigdy jednak „żadne słowo przeciw reżimowi ze strony ich nie padło” (193). Rzadko tylko objawiały taką gorliwość jak pewna nauczycielka, „zażarta komunistka”, która:

„przy byle okazji wychwalała reżim, na każdym kroku kłua w oczy swoją wyższością, kulturą i wykształceniem, a nas — Polki — traktowała z reguły z lekceważeniem. Pamiętam, jak raz, wykrzykując na całą celę o zgniliźnie burżujskiej Polski, o niewiarygodnym jej zdziczeniu i braku podstawowych nawet zasad wszelkiej etyki...” (102).

Były też spotkania zgoła odmienne. Oto „błada Ninoczka z Odessy” żywo interesuje się Polską, ostrożnie pyta o stosunki w niej panujące i warunki życia, chcąc zweryfikować znany, oficjalnie obowiązujący jej obraz. Lekcja pogładowa Obertyńskiej osiągnęła swój cel w dużym stopniu dzięki przykładom zachowanej bielizny i подарowanej Ninoczce parze jedwabnych pończoch. Najcieplej jednak Obertyńska pisze o pewnej Rosjance, spotkanie w kijowskim więzieniu:

„Jednej z tych Rosjanek nie zapomnę póki życia. Jedy-ny okaz dawnej inteligencji, z jakim się w tiumach zetknę-łam. Takiej delikatności, takiej słodyczy i takiej uczynności nie spotyka się często nawet w normalnych warunkach. Siwiutka jak gołąb, chuda, drobna, a schludna wyjątkowo, myślała tylko o tym, jak by której z nas usłużyć, co by której odstąpić, którą by nakryć swoim pledem, której by swój koc podścielić. Miałyśmy wrażenie, że chce nam nagrodzić choć w części to, co nas ze strony Rosji spotkało” (75-76).

Są jeszcze inne przykłady polsko-rosyjskiej więziennej solidarności: oto np. obozowy lekarz w Workucie ratuje życie wielu kobiet — w tym również autorki *W domu niewoli* — narażając

samą siebie, a uwięziona w Brygidkach urzędniczka NKWD radzi idącym na śledztwo, jak mają się bronić. Ważnym sprawdzianem tych spotkań był sposób, w jaki obie strony przyjmowały wiadomość o zastosowanej wobec Polaków „amnestii”. W pierwszej chwili autorka wspomnień zareagowała niedowierzaniem i oburzeniem na tę zapowiedź „wspólnej z Sowietami” walki przeciw Niemcom. Podkreśla jednak, że był to skutek oszołomienia wywołanego tą wiadomością. Później, gdy okazało się, że „amnestia” obejmie również kobiety, że ma powstać „n a s z a własna armia pod naszym dowództwem”, zapanowało już tylko modlitewne oczekiwanie na dopełnienie się cudu. Znamienny jest opis momentu urzędowego ogłoszenia „amnestii”:

„Stojąc na zwalonym pniu na łączce za kuchnią, gdzie nam wszystkim kazali się zebrać — widziałam tylko wklęśte denko błękitnej czapki, taki ścisk był wokół odczytującego nam głośno tekst amnestii enkawudysty. Przyszły też nasze miejscowe władze i moc Rosjan. Żal mi ich było w tej chwili naprawdę” (196-197).

Polki przyniosły do świata więzień i obozów wyobrażenie jakiejś „obcej wolności” — jak pisze Obertyńska — a ich uwolnienie sprawiło, że ta wolność, stopniowo oswojona, stała się wszystkim jednakowo bliska i upragniona. Pożegnanie z obozem jest chwilą szczególnego zbliżenia i pojednania:

„Bardzo obcymi rękami rozwiązuję tasienki fartucha. I nogi mam nagle obce i ledwie wiem, że to prawda. Lenka w przystępie niespodziewanej czułości rzuca mi się na szyję. Trzyma się mnie oburącz i szlocha. Zapomniała widzieć, że nas nienawidzi, że nam życie truła, że się odgrażała Polsce i Polkom. Wiem zresztą, że to nie mnie ściska i trzyma w tej chwili, tylko tę oddalającą się od nich na niewiadome lata — wolność, którą im od nas powiało. Czepiła się mnie ze wszystkich sił i czuję na ramieniu, przez sweter i ubranie jej gorący, rwany płaczem oddech” (202-203).

Żal tych, którzy zostają, łączy się z jakimś poczuciem winy, zwłaszcza wobec kilku Rumunek i Węgierek — „czujemy się po jakimś winie wobec nich”. Świadomość tego, co muszą odczuwać będąc tak blisko szczęścia swoich współtowarzyszek, same pozbawione nadziei, sprawia, że stają się Polkom w tym momencie szczególnie bliskie: „Są to stworzenia ciche i potulne, tak

samo skrzywdzone, jak my. Te nie wypominają nam naszego szczęścia, raczej nie mówią o nim, tylko im oczy nabiegają grubymi łzami, ilekroć ktoś przy nich wspomni o naszym bliskim wyjeździe" (198). Obertyńska zaledwie kilka razy zwraca uwagę w swoich wspomnieniach na Węgierki i Rumunki, zawsze jednak w słowach, wyrażających dużo współczucia i świadczących o wzajemnej życzliwości.

Polsko-ukraińskie spotkania ujawniają w tym zapisie z „domu niewoli” przede wszystkim ciążyący na nich antagonizm, spotęgowany jeszcze sytuacją, w jakiej wojna postawiła wobec siebie te dwa narody. Ciążył zwłaszcza wtedy, gdy codzienne życie więzienne i obozowe ujawniało tak wiele wzajemnej życzliwości i zrozumienia, a zarazem bezsilności wobec sił skłócających.

Obóz w Starobielsku:

„Naprzeciw naszej 'kojki', trochę na prawo, mieszkają Ukrainki. Co do ich przekonań politycznych żadna z nas nie ma ani złudzeń ani wątpliwości. Odzywają się do nas po rusku i wiemy, że jak kanie dżdżu czekają zwycięstwa Hitlera. Wszystkie cztery to córki albo żony ruskich księży (...). Nigdy ze strony tych czterech nie spotkała nas żadna przykrość. Przeciwnie. Były taktowne i koleżeńskie. Co sobie myślą, co czują, czego pragną i o co się godzinami, twarzą ku sobie zwrócone, modlą wspólnie po cichu — to już ich sprawa. W to nie ma nikt prawa wglądać. Wolno mi jednak — w imię słuszności i prawdy — stwierdzić tu, że musiałyśmy w nich szanować godne i pełne charakteru zachowanie się wobec sowieckich władz, poprawność i uprzejmość w stosunku do Polek i to nawet, żeśmy je musiały lubić za ich uprzejmość i delikatność" (115).

Większość spotkanych Ukrainek to jednak proste, wiejskie dziewczyny, nieprzyjaźnie, czasem wręcz wrogo ustosunkowane do Polek — i to nie ze względów narodowościowych w głównej mierze, ale przez „klasową nienawiść do inteligencji”. Zdarzały się jednak wśród nich i takie, które w szczególnie agresywny sposób demonstrowały swą „nienawiść do wszystkiego co polskie”.

Trzeci typ Ukrainek, najliczniej reprezentowany w obozach, to „dzikie dziewczęta z Zakarpacia”, które po wrześniowej napaści ZSSR na Polskę wyszły wraz z rodzinami na spotkanie

„wyzwoliciele”: „W biały dzień, całymi wsiami, prowadząc za sobą cały swój dobytek, szli w szeroko, po bratersku otwarte ramiona sowieckich tium” (116). Nienawiść, głównie na tle klasowym, jaką okazywały Polkom, była — zdaniem Obertyńskiej — formą zemsty za niedotrzymane przez komunizm obietnice. Sądząc jednak ze sposobu w jaki mówi o tych dziewczętach („... zdrowe, młode, silne jak konie, nieokrzesane i głupie. Wspaniały materiał do łagrów!”, 117) nie wygląda na to, by ze swej strony próbowała dostrzec współczująco dramat tych okłamanych i okradzionych ze wszystkiego dziewcząt.

Niewiele miejsca poświęca Obertyńska Żydówkom, a gdy pisze o nich, są to niemal zawsze przykłady potwierdzające wzajemny antagonizm. Oto np. w czasie transportu, w zatłoczonym wagonie, jedna z przyjaciółek autorki „wycięła awanturę którejś z Żydówek za obrazę Polski”. Żydówka była jedyną objętą amnestią kobietą z Workuty, która zgłosiła się nie do Wojska Polskiego, a do Armii Czerwonej. Osobną uwagę poświęca Obertyńska w swych wspomnieniach tylko jednej Żydówce — Hindze, żonie krawca z Łodzi, z którą los złączył ją na długie miesiące. Podkreśla jej inteligencję a zarazem „zaślepienie w komunizmie”, „zaprzękanie jego idei”. Aresztowana przy próbie przekroczenia granicy ZSSR, gdzie jako komunista szukała ocalenia, uciekając spod niemieckiej okupacji. Wiary Hingi nie były w stanie zachwiać więzienne i obozowe doświadczenia. Swoje uwięzienie traktowała z jednej strony jako zasłużoną karę za nielegalne przekroczenie granicy, z drugiej zaś jako dowód ostrożności i rozumności władz. Niezachwiane było też jej postanowienie pozostania w ZSSR, aby „służyć komunizmowi”:

„Polski nienawidzi całą duszą. Opowiada gdzie może różnym rosyjskim Żydówkom i babom, jak to u nas źle i ciężko było Żydom, jak byli prześladowani, jaką cierpieli nędzę i inne tego rodzaju bzdury. Stałość jej przekonań, wytrwałość i pracowitość musiały budzić, mimo antypatii, szacunek dla jej charakteru, z drugiej jednak strony jej zaślepienie, opaczne komentowanie niezaprzeczenie oczywistych faktów i prawd, upieranie się, że białe jest czarnym itd. — pozwalało wątpić o jej rozumie i rozsądku, przy czym robiło z niej najnieznośniejszego, najbardziej irytującego i męczącego towarzysza” (96).

Ten ambiwaletny mimo wszystko sposób przedstawienia Hingi

jest, być może, osiągnięciem, możliwym tylko dzięki temu niemożliwemu do uniknięcia zbliżeniu.



Po prawie trzymiesięcznej tułaczce w pogoni za wojskiem polskim, z północy na południe, w transportach, których wielu nie przeżyło, Obertyńska z grupą kobiet zostaje skierowana do kołchozu bawełnianego pod Bucharą, gdzie po trzech miesiącach pracy w charakterze tzw. wolnej siły najemnej przyjęta zostaje do Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet przy Armii Polskiej. Te trzy miesiące spędzone wśród Uzbeków, w „czarownym zakątku”, określa jako „najmiłosierniejszy i najznośniejszy okres tułaczki po Rosji”, mimo głodu, chłodu i ciężkiej pracy. Było to zasługą przede wszystkim miejscowej ludności — Uzbeków, których odrębność kulturowa i językowa nie była przeszkodą w tym spotkaniu.

„Doświadczyliśmy od nich tyle serca, tyle gościnności, tyle bezinteresownej dobroci, że mi do dziś skąką w sercu siedzi niemożność odwdziżenia się im za to wszystko. Przeklęty rosyjski jucht wywietrzył tu z powietrza bez śladu. Podziało się z nim razem całe chamstwo. Godny, pogodny, szlachetny charakter i sposób bycia tych prostych ludzi, ich dziecinna wprost naiwność i chęć pomocy drugiemu, miały taki urok, taki wdzięk i tak rozbijającą bezpośredniość, że ani wiedząc kiedy, przywiązałyśmy się do nich naprawdę” (304).

Lektura wspomnień *W domu niewoli* nieraz nasuwa wątpliwości, czy aby w stosunkach z ludźmi prostymi nie ujawnia się jakiś „inteligencki” brak gotowości do zajęcia zwykłej ludzkiej postawy. Relacja ze spotkania z Uzbekami przemawiałaby przeciwko tym wątpliwościom. Potwierdzać może ona też tę deprymującą tezę, która głosi, że to właśnie tradycyjne antagonizmy narodowościowe mają największą siłę destrukcyjną. Przestrzeń wolna od takich antagonizmów łaskawa jest dla spotkań, nawet w warunkach niesprzyjających. Nawet ci Uzbeki z „kantorka”, którzy najbardziej „trącą Rosją”, którzy porzucili strój narodowy i mówią już po rosyjsku, zachowują się tak, że — jak pisze Obertyńska — „nie wyczuwamy wcale owej niechęci — wzajemnej zresztą — z którą spotykaliśmy się stale ze strony rdzennych Rosjan” (320).

NA POLSKIM SZLAKU

Droga generała Klemensa Rudnickiego w pierwszych miesiącach drugiej wojny światowej wiodła szlakami bitew kampanii wrześniowej w Poznańskim, walk o Warszawę, a po kapitulacji działalności w podziemiu. Dowodzony przez niego 9 Pułk Ułanów Wielkopolskich w przeddzień wybuchu wojny opuszcza Trembowłę, by wejść w skład armii „Poznań”. Aresztowany zostaje 25 lutego 1940 roku, gdy pod przybranym nazwiskiem przeprawia się na drugą stronę granicznego Sanu, by objąć we Lwowie funkcję szefa sztabu i zastępcy komendanta podziemnego Związku Walki Zbrojnej, gen. Tokarzewskiego. Spotka go wkrótce w jednej z cel. Osadzony w więzieniu w Przemyśle, później w Dniepropietrowsku, gdzie po półtorarocznym śledztwie otrzymuje wyrok 5 lat „wolnej zsyłki” do Kirowa. Do czasu ogłoszenia amnestii pracuje tam jako robotnik. Po ujawnieniu swego prawdziwego nazwiska zostaje przewieziony do Moskwy i po szorstkiej rozmowie z Berią zwolniony. Bierze czynny udział w tworzeniu Armii Polskiej w ZSSR, przemierza jej szlak przez Bliski Wschód, kampanię włoską aż do Bolonii. W bitwie o Monte Cassino dowodzi głównym natarciem na wzgórze „Widmo” i St. Angelo. W maju 1945 roku obejmuje po gen. Maczku dowództwo nad 1 Dywizją Pancerną, biorącą udział w okupacji Niemiec. Tu zapoznaje się z gehenną półtoramilionowej rzeszy Polaków, wywiezionych do obozów koncentracyjnych, na przymusowe roboty oraz byłych jeńców wojennych. Dywizja pod jego dowództwem przez dwa lata opiekuje się tą polską enklawą nad rzeką Ems (Maczków).

W meldunku, jaki po udanym wypadzie do Lwowa i Trembowli śle w grudniu 1939 roku gen. Sikorskiemu, Rudnicki

wyraźnie lekceważy zagrożenie ze strony ZSSR; „Jakże bardzo błędzieliśmy — napisze po latach — zmyliło nas to, cośmy z wierzchu widzieli i nie odgadywaliśmy jeszcze wówczas systemu, kryjącego się w tym pozornym chaosie. Być może iż winną była temu nasza przedwojenna nieświadomość wszystkiego, co się działo za Zbruczem”¹.

Mimo, iż przeżycia więzienne zamąciły tę „przedwojenną nieświadomość”, po odzyskaniu wolności na skutek umowy Sikorski-Majski Rudnicki pełen jest wiary w możliwość historycznego, polsko-rosyjskiego porozumienia. Więzienia nie traktuje jako modelu systemu, NKWD budzi w nim więcej pogardy niż lęku, a żołnierska wytrwałość i solidarność współwięźniów pomagają godnie przetrwać czas próby. Pod przybranym nazwiskiem nie ukrywa żołnierskiej postawy wobec wroga ojczyzny.

„Oficer, który bada wygląda raczej życzliwie, jest spokojny i nie podnosi głosu. Intuicyjnie wydaje mi się, iż gdybym go poprosił, to może by zwolnił. Ogląda moje rzeczy i patrzy na mnie pytająco, jakby czekał na prośbę. Nie dojrzałem jednak jeszcze do tego, ażeby we własnym Kraju czapkować przed najeźdźcą ze wschodu. Nie ja, a on jest przestępcą od gwałcenia granic, toteż żadna prośba nie może mi przejść przez gardło i milczę” (88).

Gdy Beria zarzuci mu nieuczciwość, odpowie z nieukrywanym oburzeniem: „Może mnie pan z powrotem wsadzić do kryminału, jeśli tylko po to mnie pan sprowadził, ażeby obrażać”. Dla Rudnickiego nie ulega wątpliwości, jaki los czekał go, gdyby w śledztwie powiedział, kim jest. „A zresztą byliśmy wrogami — mówił dalej — a wobec nieprzyjaciela każdy podstęp jest dobry. Kiedy jednak rządy nasze zawarły przymierze, to nie kto inny, tylko ja sam uczciwie odkryłem swoje karty” (143). Trzeba dodać, że ujawnienie się było tu koniecznym, choć ryzykownym środkiem uzyskania zwolnienia z pracy, ustawa o amnestii nie działała bowiem automatycznie i nie została zastosowana wobec wszystkich polskich obywateli.

W więziennej części wspomnień zwraca uwagę sposób podejścia Rudnickiego do więźniów kryminalnych i tzw. urków, traktowanych przez politycznych jako dodatkowa więzienna plaga.

1. K. Rudnicki, *Na polskim szlaku (wspomnienia z lat 1939-1947)*, Londyn 1983, Polska Fundacja Kulturalna (wyd. II). Wyd. I: Londyn 1952, Gryf Publications Ltd.

Potrafił u tych z góry wrogo i agresywnie nastawionych współwięźniów wzbudzić szacunek, a czasem nawet pozyskać ich przyjaźń. Nie był to wynik taktyki, ale imponującej dręczycielom siły charakteru, a także tego, że dostrzegł w nich żywych, nieszczęśliwych ludzi. Opowiada, jak po przybyciu do słynącej jako najgorsza celi więzienia w Dniepropietrowsku, starosta celi wyznaczył mu upokarzające, mokre i cuchnące miejsce pod „paraszą”. Przeleżał tak dwie doby, deptany w nocy przez innych. „Biedni ludzie, nie źli na pewno, ale zagubieni. To nie byli zawodowi przestępcy, ale zwykli maluczcy ze świata. Prości ludzie, bez wykształcenia, których indywidualny instynkt posiadania czegoś wywoływał niekończące się konflikty wzajemne” (106). Czuje się za nich odpowiedzialny, powołany do tego, by nadać jakiś kierunek tej na poły zwierzęcej, więziennej egzystencji:

„I tak rozpocząłem kiedyś do nich mówić spod mojej paraszy. Mówiłem o rzeczach nie z tej celi, ale o innych całkiem, prostych, wielkich i pięknych — ze świata.

Słuchali z początku pół uchem, nieufnie, ale potem pić poczęli ten pokarm coraz tęskniej i żarliwiej, jadąc wraz ze mną na wolność we wspaniały świat” (106).

Współwięźniowie zapraszają go na najlepsze miejsce pod oknem, zwalniając od obowiązków dyżurnego, byle tylko opowiadał. W celi ustały kłótnie i zapanowała zgoda: „Ja zaś stwierdziłem, iż w każdym, najbardziej surowym człowieku, tkwi dusza gorąca, byle tylko dogrzebać się do jej strun i na nich zagrać” (107).

Nietypowy jest również sposób, w jaki autor wspomnień *Na polskim szlaku* traktuje „urków”, tych stałych mieszkańców więzień i łagrów, od dzieciństwa pozbawionych domu i rodziny. Nie znają życia na wolności i nie stosują się do jego praw, „nie kradną, lecz zabierają, a jeśli sprzeciwić się — mordują”. Tolerowani z „zakłopotaną pobłażliwością” przez więzienne i obozowe władze jako element apolityczny, niszczą słabszych, co uchodzi im za zwyczaj bezkarnie.

„Oglądają mnie jak dzieci od stóp do głów, badają wszvstko co mam na sobie, potem jeden proponuje:

‘Słysz starik, u ciebia charoszaja rubaszka, a u mienia płochaja — pomieniajemsia’, a potem jeszcze dodaje dla lepszego poparcia swej prośby: *‘ty dieduszka skoro padoch-niesz, a u mienia jeszcze mnogo żyzni, tak dawaś’*.

Rozbawił mnie i przekonał. Śmiejąc się, ściągnąłem z grzbietu koszulę i — *'bieri brat'* — powiedziałem, a potem włożyłem jego, w strzępach i brudzie.

Bardzo im się moja koleżeńskość podobała, a mnie przecież było wszystko jedno, co mam na grzbiecie — nie na tym bowiem rzecz polega. Posiadałem już w życiu dobre koszule, a oni na pewno jeszcze nie — niechże i oni mają jakąś radość. Toteż dałem ją bez żalu. Odczuli to, zawarliśmy przyjaźń i dobrze nam było razem" (123).

Wspominając swą pracę na „wolnej zsyłce” Rudnicki charakteryzuje twarde warunki życia rodzin robotniczych. Przyjęty niechętnie przez dyrektora cegielni, znajduje oparcie i pomoc u majstra Limonowa, „uprzejmego i miłego człowieka”. Nawiazuje też bliższy kontakt z zamieszkałą w sąsiedztwie rodziną. Ojciec wrócił z łagru po trzyletnim wyroku, „matka jest stara i zniszczona”. By wykarmić dzieci, muszą pracować dwa razy wydajniej niż wynosi z trudem osiągnięta przez Rudnickiego jego dzienna norma. Zaprzyjaźnia się z dziećmi i często z nimi rozmawia. Zwraca uwagę na ich inteligencję — nie przeszkadza mu, że traktują go „trochę z góry, jakby z wyższością właściwego wykształcenia”, że z politowaniem dla jego ignorancji przytaczają przyniesione ze szkoły dowody na nieistnienie Boga.

Przybycie oddziałów wojska polskiego do Uzbekistanu zdaje się być dla mieszkańców tej ziemi zwiastunem upragnionej wolności. Odżywa stara legenda i „*s nadziejoj w g'łazach*” słuchają dźwięków lechickiej trąbki:

„Przepowiednia bowiem głosiła, że gdy na starej wieży Tamerlana trąbki lechickie zagrają, Uzbekistan odzyska wolność. I jakoś tak się złożyło — choć nikt z nas tej przepowiedni nie znał — że zaraz na drugi dzień po przybyciu dywizji do Szachriziabsu począł trębacz dwa razy dziennie wdrapywać się po 150 schodach wieży na sam jej szczyt i dąć stamtąd w cztery strony świata hejnał krakowski. Ten sam, który strzała tamerlanowego jeźdźca urwała na krakowskiej wieży lat temu kilkaset” (188).

Ten motyw hejnału mariackiego powtarza się w wielu wspomnieniach. Znajdujemy go m.in. w *Dziejach rodziny Korzeniewskich* Melchiora Wańkowicza oraz we wspomnieniach Danuty

Tęczarowskiej, która zwraca też uwagę na kłopotliwą stronę tej wyznaczonej Polakom przez legendę roli:

„... nasi oficerowie zaczęli się obawiać, że Uzbegy zrobią powstanie. Musieli powiedzieć Uzbekom, jakie — mniej więcej — jest położenie naszego wojska, musieli ich rozczarować: powiedzieć im, że ich przepowiednia nie sprawdzi się tym razem”².

W toku spotkań z Uzbekami Rudnicki miał okazję przekonać się o żywotności polsko-uzbeckich tradycji, które sprzyjały nawiązywaniu szczerych, przyjaznych rozmów. Było to możliwe mimo wielu różnic, w tym odmiennego stosunku wobec Niemców. W spotkaniach tych zwracało uwagę przywiązanie Uzbeków do własnej kultury, znajomość historii, opór wobec rusyfikacji.

Dzieje Armii Polskiej w ZSSR to w ujęciu Rudnickiego czas próby pojednania, nadziei na możliwość historycznego porozumienia wśród narastającej niemożności zrozumienia i współpracy. Podkreślając dobrą wolę polskiej strony, autor wspomnień nie ukrywa też incydentów, jakie miały prawo wzmacniać nieufność gospodarzy. Była to jednak taka nieufność, jaką wyeliminować mogła tylko rezygnacja Armii Polskiej z własnej suwerenności: „Przez tych długich 11 miesięcy powiedzieliśmy sobie wszystko: my, że się im nie poddamy — oni, że nas nigdy nie zechcą takimi, jakimi jesteśmy” (196).

Opuszczając ZSSR Rudnicki myśli o tych, którzy w wojsku polskim nie znaleźli ratunku, których amnestia nie wybawiła z ziemi zesłania. Szczególnie boli go los polskich Żydów. Miejscowe władze surowo zabroniły włączenia ich do transportów ewakuacyjnych (z wyjątkiem żon i dzieci żołnierzy), a gdy zwracali się do NKWD, otrzymywali odpowiedź, że to polskie władze wojskowe odmawiają zabrania ich, „ponieważ nienawidzą Żydów”: „Było to jedno z najperfidniejszych pociągnięć sowieckich, które miało odbić się szerokim echem po świecie jako oskarżenie żołnierzy polskich o 'faszystowski antysemityzm'” (201). To i inne kłamstwa przesądziły o uczuciach, z jakimi płk Klemens Rudnicki przekraczał granicę ZSSR: „Gdyby zaś mnie ktoś wówczas zapytał, jakie wrażenie o tej ziemi wryło mi się najsilniej w świadomość — odpowiedziałbym: nieludzkie kłamstwo, perfidne kłamstwo...” (202).

2. D. Tęczarowska, *Deportacja w nieznane*, Londyn 1981, str. 180.

W CIENIU KATYNIA

Stanisław Swianiewicz określa swoją postawę wobec Rosji jako typową *love and hate affair*¹ (211). Kształtowały ją osobiste doświadczenia życiowe, zbliżające go od dzieciństwa do rosyjskiej literatury a także Rosjan, „odznaczających się wyjątkową dobrocią i życzliwością do bliźnich” (211). Ten wychowanek szkoły zarobkowej, rozmiłowany w poezji rosyjskiej, przeszedł też konspiracyjną szkołę polskiej poezji romantycznej i od czasu, gdy zaczął myśleć politycznie, tj. już na początku pierwszej wojny światowej, nie dopuszczał myśli o jakimś równopanstwowym związku ziem dawnej Rzeczypospolitej z Rosją (211). Zainteresowanie kulturą rosyjską przy ujemnym stosunku wobec politycznych związków z Rosją, a także idea wyzwolenia ujarzmionych narodów kształtują program polityczny studenta Uniwersytetu w Moskwie, po wyzwoleniu Uniwersytetu Wileńskiego, później profesora ekonomii tej uczelni. „Zasadniczymi punktami tego programu było odsunięcie Rosji z dorzecza Dźwiny i Dniepru oraz utworzenie pomiędzy Niemcami i Rosją czegoś na wzór Szwajcarii — państwa wielojęzycznego, łączącego różne narodowości tego rejonu wspólnością organizacji obrony oraz polityki zagranicznej” (212).

Jako aktywny członek grupy federalistów wileńskich, popiera w latach dwudziestych federacyjny program Józefa Piłsudskiego, głosi hasła niepodległości Ukrainy i Białorusi oraz daleko idącego kompromisu z Litwą w sprawie Wilna. Jest też gorącym zwolennikiem szukania porozumienia z Niemcami. Uważa, że dopóki Polska nie ureguluje swoich stosunków z Niemcami, ani Ukrain-

1. Stanisław Swianiewicz, *W cieniu Katynia*, Paryż 1976 (wydanie trzecie), Instytut Literacki.

cy, ani Białorusini, ani Litwini, Łotysze czy Estończycy nie będą mogli widzieć dla siebie korzyści w połączeniu z Polską.

Praca naukowa Swianiewicza przed wojną skupiała się na badaniu ekonomii państw o systemie totalitarnym, głównie Niemiec i ZSSR. Doświadczenia wojenne złożyły się m.in. na wydaną w roku 1965 książkę pt. *Forced Labour and Economic Development*.

Swianiewicz jest jedynym spośród internowanych w Kozielsku oficerów polskich, który dowieszony 29 kwietnia 1940 roku do stacji kolejowej pod Smoleńskiem, został wyłączony z ostatniego etapu transportu zmierzającego w kierunku lasów katyńskich. W *cieniu Katynia* jest książką, w której obok opisu własnych przeżyć autor stawia sobie pytanie, jak doszło do tej zbrodni, konfrontując własną wiedzę z innymi świadectwami i dokumentami. Celem Swianiewicza jest jednak tylko zgromadzenie materiału demaskującego zbrodnię i dzieje zacierania jej śladów. Już tytuł książki mówi, że jej przedmiotem jest nie tyle sam Katyń, ile to, na co rzucił cień — więc życie człowieka, który cudem uniknął losu tysięcy kolegów, więc idea zgodnego współistnienia narodów, która tak ważnym była w tym życiu wątkiem. Dlatego w książce tej kronikarskiej skrupulatności towarzyszy troska o przyszłość polsko-rosyjskich stosunków i przekonanie, że największą groźbę niesie tu ukrywanie prawdy. Prawdę o Katyniu określa on jako „ropiejący wrzód”, który — jeśli nie zostanie rozcięty — może na wieki zatruć stosunki pomiędzy tymi narodami. „Sprawa katyńska zostanie zamknięta tylko wówczas, gdy cały naród rosyjski potępi tę ohydłą zbrodnię, dokonaną z całą premedytacją przez NKWD — i wyciągnie z tego konsekwencje” — tak brzmi ostatnie zdanie *W cieniu Katynia*.

Szukając przyczyn, które doprowadziły do tego masowego morderstwa, Swianiewicz zwraca szczególną uwagę na to, jak bacznej obserwacji poddani byli jeńcy Kozielska i jaki opór stawało poczucie godności przenikniętej wołą walki Armii wobec podejmowanych przez NKWD prób skłonienia do kolaboracji: „Dziś, gdy z perspektywy czasu wspominam swoje przeżycia w Kozielsku, a potem w sowieckich więzieniach i obozach, myślę, że ta właśnie postawa jeńców Kozielska, manifestowana przy każdej okazji, nie wyłączając rozmów z politrukami, musiała odegrać decydującą rolę w powzięciu przez władze sowieckie decyzji katyńskiej” (128-129).

Zarazem jednak Swianiewicz dostrzega takie zachowania, które świadczą o „potencjalnej prorosyjskości” u wielu oficerów:

„Wielu oficerów — w szczególności rezerwistów — z pewną dozą zainteresowania i dobrej wiary przysłuchiwało się temu, co mówili politrucy lub pokazywali wyświetlane późnym wieczorem na podwórzu filmy propagandowe. Gdy oficerowie odpowiadali politrukowi, że chcieliby widzieć Rosję jako sprzymierzeńca Polski w walce z Niemcami, mówili to niewątpliwie jak najbardziej szczerze. Postawa ich wobec Rosji składała się z zawiętego kompleksu urazów i dobrej woli. Wszystkie obserwacje, które poczyniłem w Putiwlu (a potem również w Kozielsku) potwierdziły to wrażenie, które zawsze miałem w okresie pomiędzy wojnami, że polska inteligencja, będąc w masie swojej żywiołowo antyniemiecką, jest jednocześnie potencjalnie prorosyjską” (93).

Temu uogólnieniu towarzyszy inne, wyniesione z kilkudniowego przebywania z szeregowymi, którzy wracali z rosyjskiej niewoli. Był to pierwszy kontakt Swianiewicza z polskim chłopem i robotnikiem z Korony „w ich masie”. W postawie szeregowych nie znalazł śladów tej dwuznaczności i chwiejności wobec Rosji, jaka występowała u inteligencji:

„Była ona całkowicie jasna i prosta. Była to postawa absolutnej obcości w stosunku do wszystkiego, co widzieli w Związku Sowieckim i co słyszeli od politruków. Z humorem opowiadali o różnych propozycjach dobrowolnego pozostania w Związku Sowieckim, które poszczególnym z nich były niejednokrotnie czynione. Ta masa była przesiąknięta jakimś instynktem, który ją obwarowywał murem psychicznym, bardzo trudnym do przebicia dla sowieckiej propagandy. Zauważyłem również inną rzecz ciekawą: stosunek do Niemców był oczywiście przesiąknięty świadomością, że to jest wróg, który na nas napadł, lecz w nienawiści w stosunku do tego wroga było jakoś więcej umiarkowania niż w postawie, która przeważała wśród inteligencji” (93).

Po wyłączeniu z grupy polskich jeńców wojennych Swianiewicz trafia do moskiewskiego więzienia na Łubiance, oskarżony o szpiegostwo. Po siedmiu miesiącach zostaje przeniesiony do Butyrek, gdzie po dziesięciomiesięcznym śledztwie otrzymuje wyrok ośmiu lat łagrów. Wiele miejsca w swoich wspomnieniach poświęca towarzyszom więziennym. Przez jego celę przewinęli

się przedstawiciele różnych narodowości, warstw i zawodów, na ogół ze średniej i wyższej klasy społeczeństwa ZSSR. Jako badacz przeobrażeń gospodarczych w Rosji Swianiewicz szczególnie interesuje się psychiką ludzi, którzy w tym procesie odegrali ważną rolę. Należał do nich Mirosznikow, robotnik z pochodzenia, stary ideowy komunista, jeden z najwybitniejszych administratorów przemysłu w ZSSR. Przyniósł on do celi wiadomości z przebiegu kampanii wrześniowej, uzyskane od ppłk. Wiśniowskiego, z którym zetknął się w innej celi.

„O swojej sprawie nie lubił mówić. Zdaje się, że był poddawany torturom. Jedyną rzeczą, którą mi powiedział było to, że prawie wszyscy, którzy w tę sprawę byli zamieszani zostali już rozstrzelani. On natomiast trafił do łagru, gdzieś na północy Syberii. Teraz jednak przywieziono go do Moskwy dla złożenia zeznań w jakimś dodatkowym procesie z tą sprawą związanym. Jeżeli przy tym jakichś ludzi wsypywał, był pod tym względem w zgodzie ze swoim sumieniem komunistycznym. Myślę, że w tym wypadku odpowiadał temu typowi z Koestlerowskich powieści, który został przekonany przez *sledowatiela*, że w imię interesów partii musi się przyznać do win niepopołnionych” (155).

Wysoko ocenia Swianiewicz rozeznanie Mirosznikowa w sytuacji międzynarodowej oraz pragmatyczny i obiektywny sposób myślenia w sprawach polityki zagranicznej. Mimo negatywnego stosunku do Hitlera nie zgłaszał on zastrzeżeń wobec zawartego z nim przez Stalina sojuszu oraz ataku na Polskę we wrześniu 1939 roku.

„Niezrozumiała natomiast wydawała mu się mentalność Polaków, którzy zdawali się wierzyć w to, że Rosja może pozostać neutralna w razie wojny polsko-niemieckiej. Zdaniem jego z obiektywnej analizy okoliczności wynikało, że to państwo polskie, które istniało przed 1939 rokiem, mogło utrzymać swój byt jedynie w drodze znalezienia pewnych form kooperacji z Rzeszą Niemiecką. Tylko to mogłoby uratować wschodnie prowincje tego państwa od obsadzenia przez Związek Sowiecki prędzej, czy później” (156).

Innym dygnitarzem, z którym Swianiewicz dzielił celę na Łubiance był Tiszbein, były szef długoterminowego planowania rosyjskiej floty wojennej. Przekazał on m.in. informacje o losach

komunistów węgierskich, jakie uzyskał od poznanego w poprzednim więzieniu lekarza Węgra, zatrudnionego przed wojną w szpitalu kremlofskim. „Tą drogą dowiedzieliśmy się, że Bela-Kun, przywódca rewolucji węgierskiej w 1919 roku, żył jeszcze w 1940 i siedział w jakimś politizolatorze na Południu Związku Sowieckiego. Wiadomość tę przekazałem później Matiasowi Rakosiemu, kiedy poznałem go w łagrach na północy Rosji europejskiej” (159).

Spotkania więzienne są dla Swianiewicza nie tylko źródłem wiedzy o losach jednostek, ale też dostarczają mu cennego materiału dla własnych analiz systemu i polityki ZSSR. Rozmowy z członkiem Centralnego Komitetu Niemieckiej Partii Komunistycznej, odbyte w Butyrkach, zwracają np. uwagę na psychiczną gotowość „do szukania kompromisu pomiędzy międzynarodowym marksizmem a hitlerowskim nacjonalizmem” (171). Rozmowy przeprowadzone ze współwięźniami Łubianki i Butyrek utwierdzają Swianiewicza w przekonaniu, że przed czerwcem 1941 roku „Stalin i jego najbliższe otoczenie zdawali się iść w kierunku nie tylko politycznego sojuszu z Hitlerem, lecz również pewnej ideologicznej syntezy, chociaż szeregowi członkowie partii, według tego co mogłem wywnioskować z rozmów w celach moskiewskich więzień, zajmowali wciąż pozycję nieufności w stosunku do Niemiec” (171).



Opisując swe obozowe dzieje (od marca 1941 do kwietnia 1942), Swianiewicz wiele uwagi poświęca sytuacji mniejszości narodowych w ZSSR. Podkreśla przewagę niesłowiańskich mniejszości narodowych, dużą ilość cudzoziemców, w tym szczególnie ze świeżo okupowanych terytoriów na Zachodzie. Wspomina m.in. Azerbajdżan, Bałkaszów, Finów, Kazachów, Inguszków, Greków, Mołdawian, Tatarów, Węgrów, Persów, Żydów polskich. W brygadach karnych przeważali Chińczycy — „potencjalni szpiedzi japońscy”. Do takiej brygady, jako skazany za rzekome szpiegostwo został przydzielony autor *W cieniu Katynia*:

„Brygada składała się z trzydziestu kilku osób, pomiędzy którymi było tylko sześciu nie-Chińczyków. Brygadierem był Japończyk przewieziony z Dalekiego Wschodu. Poza tym było pięciu Europejczyków: dwóch Niemców, dwóch Węgrów oraz jeden Polak (tzn. autor tych wspomnień). Jeden z Węgrów nazywał się Varga i był krewnym sławnego ekonomisty sowieckiego tego samego nazwiska. Naz-

wisko drugiego było Rákosi, był to późniejszy stalinowski dyktator Węgier. Miałem z nim więcej wspólnego niż z innymi członkami brygady ze względu na podobieństwo naszych zainteresowań i studiów. Z natury rzeczy spowodowało to pewne zbliżenie między nami (...). Emigranci węgierscy, którym opowiadałem o swoim doświadczeniu z Rákosim twierdzą, że jestem prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który o nim mówi dodatnio" (182-183).

Mówiąc o chińskich towarzyszach pracy, Swianiewicz podkreśla pomoc, jakiej od nich doznał. Wykonywali oni nie tylko własne normy pracy, ale również uzupełniali braki swego polskiego, mniej wprawionego do fizycznej pracy kolegi. „Nigdy jednak nie słyszałem z ich strony żadnych wymówek z tego powodu. We wszystkich moich późniejszych doświadczeniach z Chińczykami te moje łagierne wrażenia zostały potwierdzone: doskonali robotnicy, bardzo sumienni, mało wymagający, bardzo wytrzymali na różne niewygody i doświadczenia losu, a przy tym bardzo dobrzy i lojalni towarzysze" (184).

Patrząc z perspektywy wielu lat na tamte łagierne doświadczenia, Swianiewicz rewiduje swój ówczesny pogląd o przekształcaniu się ZSSR w typowe państwo kolonialne, co miałyby uzasadniać masowe deportacje tak wielu narodowości. Nie przekonuje go też gospodarcze uzasadnienie deportacji ani oficjalne tłumaczenie ich proniemieckim nastawieniem pewnych grup narodowościowych. Nonsensem gospodarczym — zdaniem autora — było tak likwidowanie fizyczne tysięcy specjalistów wśród polskich jeńców wojennych, jak i przetrzymywanie w okresie głodu setek tysięcy producentów żywności w bezludne stepy. Masowe deportacje z Kaukazu i Kazachstanu rozpoczęły się jeszcze przed wojną, gdy nie mogło być jeszcze mowy o kaukaskich oddziałach ochotniczych przy armii niemieckiej:

„Jeżeli zaś chodzi o zachowanie się podczas wojny bitnych górali kaukaskich, to nie można się dziwić, że bracia i kuzyni owych Czezeńców, Inguszków i Karaczajów, z którymi dzieliłem prycze łagierne, zaczęli masowo zgłaszać się jako ochotnicy, gdy tylko oddziały niemieckie zjawiły się na północnym Kaukazie. Była to reakcja na deportacje, które były w toku jeszcze przed wojną, chociaż bardziej generalną formę przyjęły dopiero w 1943-44 roku" (185).

Nie podbój kolonialny, nastawiony na eksploatację podbitych

ludów, ale żywiołowy pęd do niszczenia swoich sąsiadów stanowi według Swianiewicza specyficzną cechę państwowości moskiewskiej, która przejawiała się już w XV wieku, gdy Iwan III zniszczył republikę Nowgorodzką i deportował nad Wołgę pozostałą przy życiu ludność.

„Rosja podbijała, aby wchłonąć, pozbawić narodowej indywidualności lub zniszczyć. To dążenie do zniszczenia przejawiało się również w stosunku do narodów, które początkowo, pociągnięte wspólnością wyznaniową, dobrowolnie weszły w związek z Rosją, jak np. Ukraińcy lub Gruzini. Hasło wchłonięcia i zniszczenia jest wspólne wszystkim kierunkom myśli rosyjskiej. Puszkina pisał, że wszystkie strumienie słowiańszczyzny muszą zlać się w morzu rosyjskim. Lermontow (zresztą mój ulubiony poeta) oraz Lew Tołstoj — którzy jako oficerowie brali udział w walkach o ujarzmienie górali kaukaskich — nie potrafili się zdobyć na potępienie tych zaborczych walk, chociaż obydwoj wyznawali filozofię potępiającą wojnę jako zjawisko społeczne” (186).

To uogólnienie, które za istotę imperialnej dynamiki państwowości rosyjskiej uznaje tendencje niszczycielskie, łągodzi wyrażoną wątpliwość, czy stanowią one rzeczywiście cechę rosyjskiego charakteru narodowego. Swianiewicz przytacza szereg nazwisk, wskazujących na to, że czołowymi przedstawicielami tej niszczycielskiej polityki byli właśnie cudzoziemcy, tacy jak Niemka Katarzyna II, Polak Dzierżyński, Gruzini Stalin i Beria.

Zastanawiając się nad związkiem pomiędzy polityką deportacji narodowości a zbrodnią katyńską, Swianiewicz uznaje, że „model katyński i model deportacyjny były tylko dwiema stronami tej samej zharmonizowanej akcji, zmierzającej do oczyszczenia przedpoli potrzebnych dla dalszej ekspansji imperializmu sowieckiego” (187). Znajduje też zasadniczą różnicę, zawierającą się w fakcie, że deportacje zostały oficjalnie potępione i odwołane na XX zjeździe KPZS, podczas gdy Katyń nie został zaliczony do stalinowskich „błędów i wypaczeń”.



Wiele miejsca poświęca Swianiewicz wspomnieniom spotkań z ludźmi, w których znajdował moralne oparcie i dowód istnienia sił przeciwstawiających się upodlającemu naciskowi świata obo-

zowego. Należeli do nich lekarze, z których wielu robiło wszystko, by ulżyć doli więźniów, narażając często samych siebie na represje. Wspomniana zostaje dr Orłowa, której wielu łagierników obozu w Komi zawdzięczało przeżycie zimy 1942 roku.

Osobny rozdział („Ten, który się cieszył”) tej książki poświęcony jest leningradzkiemu artyście-malarzowi Mikołajowi Piotrowiczowi. Rozmowy z nim dawały autorowi moralne oparcie w najcięższym obozowym okresie. Człowiek ten, odczytując wśród nieszczęść i cierpień łagiernej codzienności na nowo Ewangelię, znajdował w obietnicach Kazania na Górze źródło nadziei i radości, uczył dostrzegać wyjątkowość rosyjskiego świata nie tylko w tym, że uzewnętrznia się w nim szatan, ale też że istnieją ludzie, których czyste serca stawiają mu opór. Oto jak odpowiada na przynębiającą realistyczną wizję bestialstwa i zaniku ludzkiej godności:

„Stanisławie Stanisławowiczu, odmalował pan obraz prawdziwy, lecz niepełny. Nieszczęścia wyzwalamy często zło ukryte w głębi człowieka, lecz wyzwalamy również ukryte piękno ludzkich dusz. Piękno nabiera szczególnych blasków na tle brzydoty; tylko my, zapatrzeni we własne cierpienia, nie chcemy tego widzieć. To wszystko słuszne, tylko gdzie jest w Pańskim obrazie miejsce dla Nadzieży Aleksiejewny, gdzie miejsce dla sektantów, gdzie stary anarchista, który zawiaduje łaźnią... Dlaczego Pan o nich zapomniął?” (196).

O „anarchiście” napisze później Swianiewicz: „Przyczynił się on bardzo do tego, że gdy opuszczałem łagry, myślałem nie tylko o okrucieństwie, brutalności i deprawacji moralnej, których byłem świadkiem, lecz również o ludziach dobrych, których tam spotkałem” (202).

STO MIL OD BRZEGU...

Władysław Wielhorski zaczął pisać swoje wspomnienia 8 czerwca 1942 roku, gdy statek na którym odbywał podróż z Bliskiego Wschodu do Anglii wokół Afryki znajdował się na Oceanie Atlantyckim, „sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem”, na 17° szerokości południowej i 6° długości wschodniej. Dwa lata wcześniej, 15 czerwca, zastała go w Kownie wiadomość o przekroczeniu przez Armię Czerwoną granic Litwy. Od tej daty rozpoczynają się *Wspomnienia z przeżyć w niewoli sowieckiej*¹. W tym samym dniu wyjeżdża do Wilna, gdzie po kilku tygodniach zostaje aresztowany pod zarzutem kierowania działalnością szpiegowską przeciw ZSSR, jako dyrektor Wyższej Szkoły Nauk Politycznych w Wilnie. Więziony na Łukiszkach, w podziemiach NKWD, w Gorki, po 14 miesiącach odzyskuje wolność, co zawdzięcza nie tylko tzw. amnestii, ale też nieugiętej postawie w czasie śledztwa. Zanim — w stanie krańcowego wyczerpania — znajdzie się w ambasadzie polskiej w Kujbyszewie, pracuje przez kilka tygodni na stanowisku agronoma pod Wiatką. Profesor Władysław Wielhorski — z wykształcenia agronom a zarazem historyk, specjalista w zakresie dziejów Wielkiego Xięstwa Litewskiego, wykładowca tego przedmiotu na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie.

Wiele miejsca w swych *Wspomnieniach* poświęca spotkanym w wileńskim więzieniu na Łukiszkach Litwinom. Na wstępie podkreśla, że od dwudziestu lat stosunki towarzyskie między Polakami i Litwinami należały na Litwie do rzadkości. Jego przyjaciel Janczewski, wybitny działacz polski na Litwie należał do

1. W. Wielhorski, *Wspomnienia z przeżyć w niewoli sowieckiej*, Londyn 1965, Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego.

tych „rzadkich przypadków” i utrzymywał bliskie stosunki z kręgami litewskiej elity, m.in. z premierem Markyse. Tą drogą Wielhorski miał dostęp do faktów, których znajomość pozwoliła dać zarys sytuacji na Litwie tuż przed i w pierwszych tygodniach po wkroczeniu Armii Czerwonej. Opuszczając Kowno myśli o losie tysięcy polskich oficerów internowanych na Litwie, zwłaszcza tych, którzy odznaczyli się w walkach z roku 1920².

Kilka dni przed wyborami do Sejmu, który na pierwszym posiedzeniu będzie głosował za przyłączeniem Litwy do ZSSR, następują liczne aresztowania wśród inteligencji polskiej. Aresztowany zostaje również Wielhorski. W nocy przychodzą po niego Litwini, sędzia śledczy, „młody jeszcze człowiek z niezwykłym wyrazem twarzy”, pyta po litewsku o literaturę antypaństwową. Po kilkugodzinnej, bezskutecznej rewizji odwieziony zostaje do więzienia na Łukiszkach. W tym czasie na Litwie nie działały jeszcze jawnie organa NKWD, to litewska policja i władze sądowo-śledcze „wpędzały swoimi rękami bolszewikom zwierzynę do klatki” (19).

Więzienie na Łukiszkach pozostawało w zarządzie cywilnych władz litewskich. Poza oficerami NKWD, sprawującymi funkcje sędziów śledczych, personel składał się z obywateli litewskich. Mało było wśród nich sympatyków komunizmu — pisze Wielhorski — i na ogół ułatwiali kontakt z rodzinami, przynosili informacje a także odnosili się do więźniów poprawnie, często życzliwie.

„Nieuchwytnymi drogami wieści ze świata docierały do więzienia i sowieccy sędziowie słusznie utrzymywali, że litewskiej służbie więziennej ufać nie można, gdyż nie są to komuniści i potajemnie popierają więźniów politycznych Litwinów. Od tych ostatnich — wieści przesączały się i do kolegów polskich” (66).

By zapewnić pełną izolację więźniów w czasie śledztwa, podziemia zajmowanego przez NKWD Sądu zamienione zostały na dodatkowe więzienie. Gdy po wybuchu wojny z Niemcami ewakuowano wileńskie więzienia, aresztowano i wywieziono również kilkunastu litewskich strażników. Zamknięci w wagonach z inny-

2. Po kampanii wrześniowej na Litwie znalazło się 13.800 polskich żołnierzy, na Łotwie 1.315. Tylko 500 z nich udało się ucieczką z obozów internowania przed 15 czerwcem 1940 roku. — J. Garliński, *Polska w drugiej wojnie światowej*, Londyn 1982, Odnova.

mi więźniami opowiadali o wywożeniu i likwidowaniu więźniów w przededniu ewakuacji.

Wśród współwięźniów przeważali Polacy, ale Wielhorski dzielił też celę z Litwinami:

„Młodszy niż ja byli dwaj Litwini: Jerzy Zagorski, Polak-renegat, szpieg zawodowy, bardzo zdolny, wykształcony, utalentowany rysownik, cynik bezgraniczny, typ rzadko nikczemny, lat 42, oraz Franciszek Żiżmaras, Litwin rodu dowity, lat 33, kierownik ruchu litewskiego sportowego w Wileńszczyźnie, nasz przeciwnik polityczny; osobiście szlachetny, dobry, rycerski człowiek. Polubiłem go” (26).

W pierwszych miesiącach roku 1941 zaczęło napływać do więzienia na Łukiszkach coraz więcej żołnierzy i oficerów litewskich, a także oficerów policji. NKWD koncentrowało się na tępieniu licznych na Litwie, wrogich wobec ZSSR organizacji wojskowych, popieranych i kierowanych przez Litwinów zbiegłych do Prus Wschodnich, a finansowanych głównie przez Trzecią Rzeszę, która w ten sposób przygotowywała sobie „piątą kolumnę” na terenie Litwy.

Zanim nastała Ludowa Republika Litewska, wśród sędziów śledczych trafiali się też Litwini. Wielhorski wymienia Jałowecką — „zajadłego polonofoba, z pochodzenia włościanina spod Birż” oraz młodego absolwenta Wydziału Prawnego w Kownie, który nie podał swego nazwiska w jedynej rozmowie, na jaką wezwał autora *Wspomnień*:

„Czuł się bardzo nieswojo. Rozmawiał na wpół po polsku, na wpół po litewsku. Zapisał w protokole uczciwie to, co mu wyłuszczyłem. Następnie zaczął ze mną prywatną rozmowę (...). Okazało się, że jest synem bogatego włościanina spod Rosień. Przy spisywaniu uprzednim moich personaliów dowiedział się, że żona moja jest z domu Lewoniewska, córka doktora medycyny z majątku Bolcze, powiatu Rosieńskiego. Zwierzył mi się cichym głosem, że ojciec jego, staruszek, do dziś się modli za spokój duszy śp. teścia mojego, który go wyleczył z zapalenia płuc przed 40 laty, gdy był już umierający” (32).

Lęk przed nowymi władzami („...boję się. Śledzą 'oni' i nas”), nie pozwala mu jednak skorzystać z okazji, by odwdziżyć się córce dr. Lewoniewskiego, zanosząc jej wiadomość od męża.

Gdy 22 czerwca 1941 roku na Wilno spadły niemieckie bomby, więźniom zaświtała nadzieja, choć też „poważne niepewności targały dusze”. Wielhorski nie pisze nic o uczuciach Litwinów w tym dniu. Opisuje tylko niezwykłą scenę, jaką w nocy obserwował przez dziurkę od klucza z innymi więźniami swojej celi:

„Niedaleko drzwi naszej celi stał mały stolik. Paliła się na nim jedna świeczka i leżał wielki stos teczek z dokumentami więźniów, umieszczonych w celach naszego korytarza. Przy stoliku tym klęczały w sowieckich mundurach i w śpiczastych hełmach na głowie tzw. 'budionkach', dwie postacie strażników więziennych, Litwinów. Odmawiali oni na głos litanie do Matki Boskiej. Słowom modlitwy wtórowały niemilknięce wycia pobliskich bomb, celowanych w mosty na Wilii...” (78).

Wątek litewski we wspomnieniach Wielhorskiego, choć nie obejmuje całokształtu polsko-litewskich stosunków ani sytuacji na Litwie w tamtym okresie, stanowi istotne uzupełnienie tej wiedzy, jaką niesie *Droga donikąd* Józefa Mackiewicza czy *Wileński matecznik* Bronisława Krzyżanowskiego³.

„... Kopnął stołek, na którym siedziałem. Upadłem na dywan, na prawy bok. Wówczas obaj towarzysze sędziego śledczego zaczęli kopać mnie obcasami swoich podkutych butów. Naprzód czułem ból w lewym ręku i nodze, które były od góry wystawione na razy. Zaboląa potem silnie łopatka i żebra. Ale zaciekłość taka urosła we mnie, że była silniejsza niż poczucie bólu. Począłem jednak słabnąć, przytomność mgliła się, wreszcie straciłem zupełnie świadomość tego, co się dzieje. Na jedno mgnienie oka ocknąłem się z bólu, gdy pękły żebra. Pamięć tej chwili pozostała...

... W jakiejś chwili ocknąłem się w małej, niziutkiej celce. Siedziałem pod ścianą na cementowej podłodze” (56).

Zaciekłość, która była silniejsza niż poczucie bólu nie jest tu siłą odwetu, to raczej wyższa szkoła stoickiej odporności — na miarę zadawanego cierpienia. Wielhorski nie stosuje eufe-

3. J. Mackiewicz, *Droga donikąd*, Londyn 1955, Orbis; B. Krzyżanowski, *Wileński matecznik 1939-1944 (Z dziejów „Wachlarza” i Armii Krajowej)*, Paryż 1979, Instytut Literacki.

mizmów, pisząc w jaki sposób niszczone więźniów, obce jest mu jednak poczucie nienawiści wobec Rosjan. Szczególnie podkreśla wysiłek zapanowania nad bólem, głodem, lękiem przed śmiercią. Idącym na śledztwo koledzy przypominali często: „gdy wół rogiem człowieka bodzie, to obrazić go przez to nie jest w stanie” (66).

Odnutowane zostały też bardziej ludzkie — zwłaszcza po wybuchu wojny z Niemcami — zachowania sędziów śledczych, m.in. zgoda na oddzielenie więźniów politycznych od kryminalnych po przewiezieniu do więzienia w Gorki. Iwan Iwanowicz, Białorusin, starszy lejtnant NKWD z więzienia na Łukiszkach, zapisał się w pamięci autora *Wspomnień* jako „jedyne ludzkie człowiek z tych co tam spotkałem” (55).

Pisząc o swym zwolnieniu z więzienia w Gorki, Wielhorski podkreśla, że sposób interpretacji przez władze ZSSR umowy zawartej z rządem polskim 30 lipca 1941 roku uniemożliwił Ukraincom spod Lwowa i Stanisławowa wyjście na wolność: „Ludzie ci pozostawali wówczas w ciężkim stanie ducha. Choć byli to obywatele polscy, ale nie-Polacy i nie zakwalifikowani zostali przez władze sowieckie jako kategoria osób, objętych umową polsko-sowiecką, które można oswobodzić” (95). Dotyczyło to również więźniów innych narodowości z zajętych przez ZSSR wschodnich ziem Polski.

W drodze na południe do polskiego wojska autor *Wspomnień* został zatrudniony jako agronom w urzędzie nadzorującym kołchozy w okręgu kirowskim. Trzy tygodnie pracy pozwoliły mu zaznajomić się ze stanem rolnictwa w tym rejonie (*Wspomnienia* zawierają wiele na ten temat obserwacji), a także umożliwiły bezpośrednie kontakty z miejscową ludnością. Choć panowała tam wzajemna nieufność, status pracownika okresowego, byłego więźnia politycznego, Polaka, nie-komunisty — sprzyjał nawiązywaniu rozmów: „Kilkakrotnie udało mi się doprowadzić na wsi do szczerzej wymiany myśli. Chłop rosyjski, to z natury utalentowany *causeur*, brak mu tylko musztry salo nowej, a zapędzi w kozi róg niejednego dowcipnisia i złośliwca” (107).

Swego przełożonego, 52-letniego starszego ogrodnika Afanasija Prokofijewicza Celiszczewa, określa Wielhorski mianem „komunisty — świętego współczesnego”:

„Cichy, skromny, do gruntu bezinteresowny, pozbawiony ambicji egoistycznej zupełnie. Z głęboką żarliwością, jak kapłan idei, pracował nad socjalizacją wsi rosyjskiej.

Miał dużo delikatności i szacunku dla osobowości człowieka. Wobec wrodzonej łagodności — napotykał na wiele przeszkód, gdy chodziło o zwalczanie odruchów brutalności i złej woli, tak rozpowszechnionych w otoczeniu. Żelaznej pracy, konsekwencji i poświęcenia, niezłomnej woli i dziwnie pięknej, naturalnej szlachetności pracownik społeczny i... nauczyciel jednocześnie. Poczułem w nim sympatię do siebie. Zaufał mi. Wiedział, że jestem Polakiem, patriotą 'faszystą' (...) starałem się w pracy mej nie zawieść jego zaufania. Rozstaliśmy się w najlepszej przyjaźni" (104).

Podczas wizyty w kołchozie „Put' Iljicza” okazuje się, że kierowniczką jest osoba, z którą w tych samych latach (1903-1907) odbywał studia na Uniwersytecie w Kijowie:

„Przypominaliśmy wspólnie profesorów, zebrania studenckie, strajki... ożyły wspomnienia młodości. Atmosfera się rozgrzała. 'Koleżanka' należała do rzędu komunistów *udarnikow* (szturmowców). Łączyła gruntowną wiedzę fachową z pracowitością, zamiłowaniem i głęboką, entuzjastyczną wiarą w nieomylność Stalina...” (110).

Wielhorski docenia niezwykle osiągnięcia tej i innych „osad kultury rolniczej”, jakie miał okazję poznać. Z szacunkiem pisze o ludziach, którzy dzięki swej kompetencji i zaangażowaniu tworzyli gospodarstwa kontrastujące z szarym tłem „miernoty i niedostatku”.

W czasie pobytu Wielhorskiego w ambasadzie polskiej w Kujbyszewie przyjeżdża gen. Władysław Sikorski. Autor *Wspomnień* uczestniczy we wspólnej wieczerzy, ma też okazję do osobistej rozmowy z generałem:

„Pytał czy mocno mnie bili podczas śledztwa. Odpowiedziałem prawdę o sobie i innych kolegach w tej sprawie. Uściśnął mi mocno dłoń i powiedział, że o tym nie zapomnimy, lecz również nie będziemy mówili głośno, o ile nowy sprzymierzeniec lojalnie zobowiązania swe wypełniać będzie, zgodnie z duchem i literą traktatu z 30. VII. 1941” (130).

Kilka dni po tej rozmowie, na początku grudnia 1941 roku, Wielhorski wyruszy w długą drogę do Anglii.

Z ŻOŁNIERSKIEGO DZIENNIKA

*„Jest tu jakiś obcy, inny od naszego świat
i pojęcia są inne od naszych”¹.*

Podporucznik Jan Kazimierz Umiastowski był jednym z tych polskich żołnierzy, którzy po klęsce wrześniowej szukali schronienia na Litwie. Wybuch wojny zastał go w Grodnie na kursie przygotowawczym do Szkoły Podchorążych Piechoty. Urodzony 29 listopada 1920 roku w Bydgoszczy, poległ pod Monte Cassino w nocnym natarciu 11 maja 1944 roku. Znaczna część ocalałego, wydanego wkrótce przez ojca pamiętnika to prowadzony na bieżąco dziennik. Zapiski z okresu internowania na Litwie przepadły w czasie nieudanej próby ucieczki z pociągu w drodze do Rosji. Ta część została przez autora odtworzona w Damaszku trzy lata później.

Żołnierze polscy, jak wynika z tych wspomnień, zostali przyjęci przez Litwinów gościnnie. Rzadko tylko — pisze Umiastowski — sztydlerczo wypominano im niedoszły zeszłoroczny marsz na Kowno. Wkrótce jednak wzajemne stosunki uległy pogorszeniu:

„W październiku Moskale 'podarowali' im Wilno. Od tej chwili stosunek Litwinów do nas zmienił się na niekorzystny. Poczęły się awantury, nie pozwolili nam śpiewać 'Boże coś Polskę...'. Szaulisi napadali na internowanych, a żołnierze litewscy przy byle okazji strzelali do nich” (16).

Miejscowa ludność nie ukrywa jednak swej życzliwości, wokół

1. J. K. Umiastowski, *Przez kraj niewoli. Wspomnienia z Litwy i Rosji z lat 1939-1942*, Londyn 1947, Biblioteka Pamiętników, str. 39.

odgrodzonych drutem koszar w Olicie gromadzą się tłumy, by słuchać polskich pieśni — „mieliśmy wśród nich wielu przyjaciół”. Z Olity Umiastowski został przeniesiony do obozu w Kalwarii. Kompanie wartownicze składały się tam w większości z wrogo wobec Polaków nastawionych Litwinów, nie brakowało przykrych i tragicznych incydentów. Warunki bytowe w obozie były jednak znośne: dobre wyżywienie, swoboda w zakresie organizowania zajęć własnych, łatwość ucieczki. Internowani mieli do swej dyspozycji pracownię stolarską i artystyczną. Przychylił Polakom komendant obozu, major Misiewicz, miał nawet powiedzieć po wkroczeniu Armii Czerwonej na Litwę: „Wszystkich wypuścić nie mogę, ale jeśli ktoś był zaangażowany w pracy mogącej szkodzić Sowietom, będzie mógł wyjść” (27).

„Major Misiewicz, żegnając się z nami kilkoma, których złapał w sklepie, życzył nam szczęśliwego powrotu do ojczyzny. Zakończył słowami, że nasz los jest teraz jednakowy — 'dziś was wywożą, jutro mogą się do nas zabrać'. Nie mylił się, wielu oficerów litewskich poszło tym samym szlakiem i w niewielkim nawet odstępście czasu po nas, jego samego podobno w rok później widziano w którymś z obozów koncentracyjnych w Archangielsku” (27).

Kozielsk, Juchnow (dawny Pawliszczew Bor), Murmańsk, osada Powoje na półwyspie Kola, Archangielsk, Talica (zwana Jużskij Obóz, 350 km od Moskwy) — to nazwy obozów i punktów przejściowych na trasie z Litwy do Armii Polskiej. Choć sytuacja tej grupy żołnierzy uległa po wywiezieniu z Litwy zasadniczej zmianie — zwłaszcza pod względem warunków bytowych — to przez dłuższy okres byli traktowani jako internowani i dopiero na kilka tygodni przed wybuchem wojny z Niemcami zostali skierowani do pracy w tundrze północy. Pomyślny los tej grupy — jak podkreśla we wstępie wydawca — był konsekwencją rosnącego zagrożenia ze strony Niemiec.

Przewiezieni do obozu w Kozielsku w lipcu 1940 roku, zastali tam wiele śladów po swych poprzednikach, tj. grupie 4.500 polskich oficerów: „Wyjeżdżali partiami po dwustu w kilkudniowych odstępach. Jak pisali na ścianach 'w niewiadomym kierunku po sześciomiesięcznym pobycie'” (38). Kto wie, czy personel obozu nie był świadomy ich losu:

„Doktor Kopeć, jeden z lepszych warszawskich pediatrów, wyleczył dzieciaka sowieckiej lekarki Chinki, która

była urzędowym lekarzem obozu. Wiele się ona nauczyła od naszych i płakała, gdy wyjeżdżali z obozu. Zaczęła płakać, kiedy pytali dokąd jadą i długo nie mogła się uspokoić” (44).

Uczy się wytrwale języka rosyjskiego, m.in. na tekstach Ostrowskiego, Gogola, Gorkiego. U pisarzy tych znajduje podobny stosunek do Polaków, jaki zna z własnego, codziennego doświadczenia:

„W każdej powieści wydanej przed wojną światową, jeżeli jest jakiś Polak, to zawsze jakiś czarny typ, oszust lub bandyta. Bolszewicy nas nienawidzą i nienawiść do nas wpajają dzieciom w szkołach. Tak samo jest w Niemczech. To samo bez wielkiego skutku próbowali Szaulisi litewscy. A mnie nikt w szkole nie uczył nienawiści do innych ludzi...” (57).

To zapis z 24 grudnia 1940 roku — dnia Wigilii, zakłóconego przykrym incydem: „Śpiewamy kolędy. Wpada nagle sowiecki oficer, zrywa choinkę i depcze ją nogami (...). Kiedy Jakubowski wyszedł, podnieśliśmy znów choinkę i dalej śpiewaliśmy kolędy”. Wolna od strachu postawa internowanych wobec funkcjonariuszy NKWD jest pełna pogardy i drwiny. Nie ukrywają swego lekceważenia wobec władz obozowych, lekceważą grożące im niebezpieczeństwo, ale też jakby nie byli go w pełni świadomi. Pierwsi więźniowie rosyjscy spotkani w obozie w Juchnowie uświadamiają im życzliwie, jak wiele ryzykują takim zachowaniem:

„Kręcą oni głowami na nasz niedzielny bunt. 'Oj, dzieci' — mówi jeden z nich — 'byli u nas już tacy bohaterzy, a dziś już nie ma po nich śladu. Dookoła na górach są poustawiane karabiny maszynowe, mogą was wszystkich wystrzelać, a potem ogłaszają, że statek z wami zatonął albo coś w tym rodzaju' ” (71).

To nie tylko instrukcja i przestroga dla nowicjuszy, to również lekcja pokory wobec nieuniknionej konieczności. Między stopniem adaptacji więźniów rosyjskich a obcością tego świata dla młodych polskich żołnierzy istniała jednak przepaść nie do przebycia — ani przez pełne dobrej woli próby wtajemniczenia ze strony Rosjan, ani lekcje o innym życiu w innym świecie dawane przez Polaków.

„Wy, żółtodzioby, Polacy, wy nie wiecie co to znaczy Komi, jak powstała ta republika, państwo w państwie. Trzeba było być wtedy tu z nami. Ludzie wspominają Lenina jak świętego, za jego czasów był drobny przemysł, wolny handel i własność prywatna. Dopiero po jego śmierci doszli do władzy bandyci, którzy prędko załatwili się z partią (...).

Dziś żółtodzioby Polacy codziennie macie chleb, choć 300 gramów dziennie i codziennie zupe. Umiera was powyżej 20 procent, z nas pozostało kilku. Tak, tak, po 37 roku stworzono tu republikę więźniów, zbudowaną, obsadzoną i pilnowaną przez ludzi niewolników. Było ich miliony” (112).

Ten zapis ma datę 13 października 1941 roku. Umiasowski jest już w Armii Polskiej w Tatiszczewie pod Saratowem i swoje przeżycia notowane w niewoli poszerza wspomnieniami kolegów. Miał on niewiele okazji do spotkań z więźniami rosyjskimi czy innych narodowości. Jego wyobrażenie o ludziach i systemie ZSSR kształtowały głównie kontakty z żołnierzami NKWD i politrukami.

„Ludzie w Rosji są jakby w lesie chowani, o wielu rzeczach normalnych dla nas nigdy nie słyszeli i nie chcą uwierzyć w ich istnienie. Dziwna klątwa tkwi w ich życiu. Gnębią ludzi rzekomo w imię najbardziej wzniosłych ideałów i gnębią ich tak jak nigdzie indziej na świecie. Kłamią przy tym tak wiele i od tak dawna, że ztratili już miarę i sami poczynają wierzyć w to, co zmyśliłi” (79).

Trudno o bardziej zdecydowany wyraz obcości, jak w tym zapisie z 8 lipca 1941 roku. Nienauczony nienawiści — jak sam pisze — daleki od fascynacji, broni się poczuciem wyższości, a bardziej jeszcze nieugiętym trwaniem na pozycji obcego.

BEZ OSTATNIEGO ROZDZIAŁU

„Dziękuję łóżko po generale Andersie, którego niedawno stąd zabrano. Dunajewski na samym wstępie opowiada o generale, z zapamiętaniem: mężczyzna, rycerski, w celi zachowywał się nieskazitelnie po koleżeńsku, nie wynosił się, godnie znosił dotkliwe bóle fizyczne z nieuleczonych ran”.

(A. Wat, *Mój wiek*, t. II, str. 34)

Władysław Anders nie przestał być w więzieniu generałem armii, która się nie poddała, wytrzymała próbę kuszenia i próbę tortur, poznając równocześnie tajniki antypolskiego kursu, oblicze wrogiej Europy ideologii:

„Najbardziej jednak niepokoiła mnie niezwykła otwartość z jaką chwilami poruszano, zdawałoby się, najbardziej tajne sprawy. Wynikało z tego, że władze sowieckie czują się niezwykle pewnie i że nie liczą się z tym, żebym kiedykolwiek mógł się znaleźć na wolności.

— Nie myślcie, że my naprawdę jesteśmy przyjaciółmi Niemców. My tylko bardziej nienawidzimy Anglików. Ale gdy Niemcy, po pobiciu Francji i Anglii, osłabiają się, pójdziemy naprzód i zajmiemy całą Europę”¹.

Ale doświadczenia więzienne obejmowały też spotkania z ofiarami tej ideologii, począwszy od ofiar różnych narodowości z okresu wojny domowej 1917-1922, a kończąc na ofiarach stalinowskiego terroru. Tutaj, jak w instytucie historycznym, Anders miał okazję poznać porewolucyjne dzieje partii, w spotkaniach z ofiarami walk wewnętrznych, czystek, zamachów. Wiedza zdo-

1. W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Londyn 1981, Gryf Publications Ltd., str. 36.

była w tych spotkaniach uzmysławiała rozmiary społecznego oporu, tuszowane w oficjalnej historiografii, wspominającej jedynie „niewielkie grupki” i „pojedynczych szkodników” przeciwstawiających się „woli mas”. Więzienie przekonało Andersa, że było inaczej:

„Im bardziej proces miał podłoże społeczne, tym większa była ilość ofiar terroru sowieckiego. Za procesami robotniczymi szły aresztowania i likwidacje dziesiątków lub setek tysięcy robotników, za procesami kolektywizacyjnymi — likwidacje milionów chłopów” (40).

Anders kreśli sylwetki współwięźniów, przytacza prowadzone z nimi rozmowy. Na Łubiance dzielił celę z Jewgenijem Dunajewskim, literatem i lingwistą, który później w tej samej celi prowadzić będzie długie rozmowy z Aleksandrem Watem. Przedstawił się jako były wiceminister przemysłu lekkiego a w czasie wojny delegat rosyjskiego Czerwonego Krzyża w Persji. Traktowany był wyjątkowo dobrze, siedział już trzy lata i robił wszystko, by odwlec swoją sprawę. Bał się obozu, przekonany, że go nie przetrzyma. Razem z dzielącym tę samą celę Gruzinem Kawnadze nie szczędził Andersowi rad przed mającym nastąpić śledztwem:

„Z miejsca nauczono mnie, by pamiętać o trzech rzeczach: po pierwsze, nie bać się, gdy sędzia śledczy będzie mówił, że wszystko wie i że na wszystko ma dowody, bo ich najczęściej nie ma; po drugie, niczemu nie wierzyć, ponieważ w Rosji sowieckiej nikt nigdy nie mówi prawdy; po trzecie, na nic nie liczyć, gdyż nieznane są wypadki, by kogoś sprawiedliwie potraktowano i zwolniono z więzienia. Każdy musi się przyznać do wszystkich zarzucanych mu przestępstw. Jeśli nie uczyni tego z dobrej woli, uczyni na torturach” (35).

Kawnadze, inżynier z Baku, zmarł, gdy Anders wyraził opinię, że po przyłączeniu się do wojny Stanów Zjednoczonych los Niemiec zostanie przesądzony:

„Jedyne tylko Niemcy — mówił — potrafią rozbić Sowiety i zmienić nasze parszywe życie. Francja i Anglia, jeśli pobiją Niemcy, nic nie będą umiały i chciały zrobić dla tak potwornie ciemnionych ludów pod panowaniem i terrorem sowieckim” (34).

Wracając pamięcią do cel Łubianki Anders wspomina też Wiktora Mikołajewicza Krawczenkę, byłego dyrektora fabryki w Leningradzie, z wieloletnim stażem w NKWD, który „opowiadał chętnie, z widocznym sadyzmem, jak torturował ludzi” (45); Iwana Wiktorowicza Czuchnowa, inżyniera z Charkowa, aresztowanego na podstawie donosu przyjaciół, którym po powrocie z kontroli gospodarstw rolnych na Ukrainie opowiedział o biedzie tamtejszych chłopów; Iwana Wasiljewicza Gusiewa, aresztowanego w wieku 18 lat i skazanego na 8 lat Kołymy za uprawianie „propagandy religijnej”, po 7 latach odbywania wyroku sprowadzonego do Moskwy i zasądzanego na dalszych 8 lat („pierwszy poinformował mnie o koszmarze łagrów na Kołymie”); młodego oficera NKWD o nazwisku Czerniawskij, który świeżo wrócił z Chin i „opowiadał o wielkich sukcesach propagandy sowieckiej wśród komunistów chińskich”; starego marynarza z okresu rewolucji 1917 roku w Kronsztadzie, aresztowanego za to, że złożył podanie o wykreślenie go z partii; „z przyjemnością słuchałem, gdy mi godzinami recytował wiersze” — pisze Anders o współwięźniu podającym się za francuskiego poetę Paula Géraldy, „Europejczyku w każdym calu”, który przemierzył cały nieomal świat, zanim podstępnie osadzono go w obozie pracy przymusowej (prawdziwy Paul Géraldy całą wojnę przeżył we Francji).

Zdobyta w ciągu dwudziestomiesięcznego pobytu w więzieniu wiedza nakazywała daleko idącą nieufność wobec nowego sojusznika. Jako dowódca armii generał Anders potrafił jednak uczynić tę wiedzę integralną częścią wysiłków stworzenia armii suwerennej a zarazem lojalnej wobec państwa, które deklarowało zasadniczy zwrot w stosunku do Polski. To właśnie, jak można przypuszczać, zjednało mu szacunek władz ZSSR, przejawiający się nie tylko w przyjaznych gestach Stalina, ale wynikający z toku prowadzonych rozmów, których zapisy Anders przytacza. Nie można wykluczyć, że w tym bezpośrednim zetknięciu z ludźmi reprezentującymi polską rację stanu zabłysła jakaś rzeczywista szansa porozumienia, na przekór ideologii, na przekór podjętym już wcześniej decyzjom. Zarówno Sikorski, jak i Anders nie liczyli wyłącznie na chwilowo korzystny układ sytuacji międzynarodowej, robili wiele, by pozyskać zaufanie nowego sojusznika. Wspomnienia Andersa niosą wiele dowodów dobrej woli z polskiej strony, których nie można sprowadzać do wojennej taktyki czy też politycznego machiawelizmu. Trzeba dostrzec w nich też wysiłek prawdziwego dialogu, w którym stawką była najkrótsza droga do wolnej Polski. Łatwiej było jednak wynegocjo-

wać drogę niż warunki, które umożliwiłyby jej pokonanie. Staliniowi nie jest na rękę armia walcząca o wolną Polskę ani też Polska, która mogłaby mieć swoją niezależną armię. Zostają drastycznie obcięte racje żywnościowe, wstrzymany dopływ ochotników i uzbrojenia: „Chcieli zagadnienie armii polskiej rozładować przez wysłanie kolejno poszczególnych dywizji, nawet nie uzbrojonych na front, by tam stopniały” (140). By ratować już nie tylko armię ale przede wszystkim ludzi, konieczna stała się ewakuacja. Doszło do niej dzięki sprzyjającym okolicznościom, ale też nie mniej dzięki determinacji generała Andersa. Dalsze losy tego wojska są powszechnie znane, tak samo jak puste miejsce pozostawione przez jego dowódcę na ostatni rozdział.

DROGA WIODŁA PRZEZ SOROKŁAG

Niedawno spisane i wydane wspomnienia Feliksa Mantla tylko w niewielkiej części odnoszą się do okresu dwóch lat przeżytych w więzieniach i obozach ZSSR¹. Autor chętniej wraca pamięcią do lat dzieciństwa i młodości, spędzonych w Przemyśle, dając ciekawy obraz życia codziennego, a zwłaszcza politycznego, poczynając od lat poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej. W Przemyśle — mieście Polaków, Ukraińców i Żydów — Mantel odebrał wychowanie, które przedmiotem szczególnej troski czyniło zgodne współżycie tych narodów w oparciu o idee socjalizmu. Ojciec, adwokat, zasłużony działacz PPS, potrafił zaszczepić synowi polski patriotyzm, harmonizujący z poczuciem żydowskiej tożsamości. Nie było to jednak proste i już dla 14-letniego chłopca, świadomego nastrojów antysemickich, przybierało postać dramatycznej alternatywy:

„Po długich rozmyślaniach i dyskusjach z kolegami doszedłem do wniosku, że albo trzeba emigrować, albo zostać i asymilować się. Byłem daleki od idei syjonistycznej, natomiast byłem przekonany, że mam prawo do tej ziemi, na której żyjemy i pracujemy przez tyle wieków” (64).

Odrzucając emigrację i — jak napisze po latach — „nie zdając sobie sprawy z beznadziejności asymilatorskiej koncepcji” (65), organizuje w gimnazjum koło młodzieży polskiej wyznania mojżeszowego im. płk. Berka Joselewicza. Za najważniejszą wartość wyniesioną ze szkoły uznaje doświadczenie, że „wszyscy jesteśmy równi i zasługujemy na wzajemny szacunek”. W polsko-żydow-

1. F. Mantel, *Wachlarz wspomnień*, Paryż 1980, Księgarnia Polska.

skiej klasie „nigdy nie było sporów ani animozji na tle wyznaniowym, narodowościowym czy politycznym (...), była jednolitym 'ciałem' na bazie solidarności i koleżeńskości, śmiechu i kawałów” (77). Inaczej układały się stosunki z ukraińską częścią gimnazjum. Były to dwa różne, wrogie, a w najlepszym wypadku obojętne sobie światy.

Słowo „antysemityzm” często powtarza się w tych wspomnieniach, ale też równie często Mantel przytacza fakty, które nie pozwalają na uogólnienia; „ludzie są różni” — jak lubi powtarzać.

Studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, praca w Prokuraturze Generalnej w Wilnie a równocześnie działalność w PPS wypełniają okres międzywojenny. Mantel jest zwolennikiem porozumienia między socjalistami i komunistami. Pod pseudonimem Szczesny Leliwa ogłasza artykuły propagujące ideę połączenia ruchu robotniczego. Po procesie brzeskim zakłada wraz ze Stanisławem Dubois i Ludwikiem Cohnem Tajny Związek do Walki z Dyktaturą.

Aresztowany wraz z żoną przy próbie przekroczenia granicy węgierskiej w końcu 1939 roku, zostaje uwięziony i skazany na obóz pracy przymusowej. Po amnestii pracuje w delegaturze ambasady polskiej w Buzułuku. Ewakuację z armią gen. Andersa uniemożliwia mu aresztowanie pod zarzutem szpiegostwa wraz ze 120 innymi urzędnikami polskich placówek. Uwolniony na interwencję władz brytyjskich na wiosnę 1943 roku, kategorycznie odmawia przyjęcia obywatelstwa ZSSR i udaje mu się zachować polski paszport. Możliwość opuszczenia ZSSR zawdzięcza Związkowi Patriotów Polskich. Jako członek PKWN bierze czynny udział w życiu politycznym pierwszych lat po wojnie, jest m.in. zastępcą Bolesława Drobniera. Mianowany ambasadorem w Wiedniu, „wybiera wolność” w roku 1948, a swoją dymisję motywuje wymuszonym zjednoczeniem PPS z PPR. Na emigracji (Argentyna, Francja) jest aktywnym działaczem PPS.

„Inaczej wyobrażaliśmy sobie komunizm, my sympatycy Związku Sowieckiego z okresu wielkiego kryzysu światowego” (128) — stwierdza Mantel, wspominając pierwsze wrażenia z zajętego przez Armię Czerwoną Lwowa. Kolejne, więzienne i obozowe doświadczenia, powszechny widok nędzy i niezadowolenia, poniżenia i bezradności jednostki spowoduje „wyleczenie się ze wszelkich sympatii prosowieckich”. To rozczarowanie oraz doznane upokorzenia i krzywdy nie pozbawiły jednak autora *Wachlarza wspomnień* zdolności patrzenia na spotkanych tam ludzi jako

na konkretne jednostki, nawet jeśli oficjalnie reprezentowały system. Stąd m.in. wrażliwość na każdy ludzki gest ze strony funkcjonariuszy NKWD i przechowanie ich w pamięci: „Z przyjemnością podkreślam uczynność oficerów NKWD wbrew powszechnie przyjętej biało-czarnej kliszy. Ludzie są różni” (132). Nie ukrywa też, że szczególną wrogość wobec niego wykazywali pracownicy aparatu NKWD pochodzenia żydowskiego, np. śledczy Kagan uważał, że on właśnie, jako Żyd, ma wszelkie dane po temu, by złamać drugiego Żyda:

„Powtarzał ciągle, że jako sowiecki Żyd, należący do sowieckiej społeczności żydowskiej, która cieszy się wolnością i przywilejami, nie może zrozumieć, że siedzi naprzeciw niego polski Żyd, mówiący tylko po polsku i służący wiernie interesom antysemitckiego narodu polskiego, czy to jako adwokat, czy to jako urzędnik. Mówiąc o tym pieniał się i pluł mi w twarz” (162).

Mantel nie odpowie, przemilczy znane mu fakty antysemityzmu w ZSSR. O ile w czasie pierwszego śledztwa, tuż po zatrzymaniu na granicy, patrzył jeszcze „z wdzięcznością (!) na portret Stalina, porównując w myśli swoją ewentualną sytuację w Gestapo” (134), to bliższe poznanie losu Żydów w ZSSR nie pozwoliło mu na podtrzymanie tych uczuć: „Twierdzą oni, że ci Żydzi powinni im być wdzięczni za uratowanie od hitlerowskiego pogromu! A ci, co zginęli w więzieniach, na zsyłce, w obozach i na wolności!” (150).

Skazany na pięć lat „pracy wychowawczej”, zostaje przewieziony do obozu „Sorokłag” nad brzegiem Morza Białego. Obserwuje tam nastroje kontrrewolucyjne — „wśród Rosjan bardziej jawne, wśród Polaków i Żydów bardziej skryte” (140). Rosjanie nie odżegnywali się od komunizmu, źródło wszelkiego zła widzieli w Stalinie. Wyjątkiem był Griszin, „pryncypialny przeciwnik ustroju”, poeta („pisał piękne wiersze do przyjaciół Polaków”), publicysta, wychowanek domu dziecka:

„Do swego opozycyjnego stanowiska doszedł zupełnie samodzielnie i samorodnie na podstawie lektury i spekulacji myślowych. Obserwując stosunek obywateli sowieckich do uspołecznionej własności doszedł do przekonania, że nie są oni przekonani do tego rodzaju reformy i że wobec tego odnoszą się wrogo do wspólnej własności, którą każdy grabi, jeśli nadarzy się sposobność. Zdaniem Griszina reformy

zostały narzucone przedwcześnie i z góry, a winny być poprzedzone odpowiednim wychowaniem i przygotowaniem, jednym słowem winny przyjść ewolucyjnie a nie rewolucyjnie. W tym miejscu włączyło się NKWD i położyło kres wynurzeniom Griszina, posyłając go na 10 lat do obozu pracy” (141). Po wybuchu wojny z Niemcami Griszin został rozstrzelany.

Praca w buchalterii pozwoliła Mantłowi przetrwać najgorszy okres niewoli, a także pomagać innym, dzięki życzliwości przełożonego Fiodora Fiodorowicza Umnowa, byłego dyrektora banku skazanego na 10 lat za malwersację:

„Starał się dla mnie o końskie mięso i machorkę, patrzył przez palce na moje fałszerstwa na korzyść polskich brygad, dodał z własnej kieszeni 50 rubli celem przekazania żonie i wreszcie wyznaczył mnie na swego następcę. Za to robiłem całą robotę, on zaś spał długo i do późnej nocy grał na gitarze” (139).

Po odwołaniu Fiodora Fiodorowicza Mantel przejmuje jego funkcje. Zyskany dzięki temu wolny czas poświęca na rozmowy z towarzyszami niewoli oraz studiowanie psychologii przestępców. Najciekawszym typem — jak pisze — był Łotysz Maramzin, wielokrotny morderca, który nazbierał wyroków łącznie na 70 lat. Wieloletni staż w obozach pozwalał mu bezkarnie unikać pracy. Lubił opowiadać o swoich wyczynach i kpić z oficjalnych zapewnień o zmniejszaniu się przestępczości: „Twierdził, że dawniej istniał klan złodziei, a dzisiaj do tego klanu należą wszyscy. Czas spędzał na kojce, zawodząc trzy takty jakiejś smutnej piosenki. Jako kierownik gospodarstwa miał dobre serce i nigdy nikomu niczego nie odmawiał” (142).

Komendantką kolonii, w której pracował Mantel była niedawna więźniarka Larszyna. Nie ukrywała ona swej nienawiści do Polaków i wbrew ustalonym normom obozowym pogarszała im warunki życia i pracy. Ludzi zaganiano do pracy kijami bez względu na stan zdrowia, nie wyrabiającym normy obniżano porcje chleba i zupy. Więźniowie umierali z głodu, brudu i wyćieńczenia. Kolonię tę uratowała inspekcja NKWD, na czele której stał Polak z Wilna, Charewicz. Zapytany przez niego o warunki panujące w obozie, Mantel opowiedział prawdę. Skutkiem była likwidacja kolonii i przeniesienie jej mieszkańców do nowych, znośniejszych warunków. W nowym miejscu pracy spotkali

rosyjskich więźniów politycznych, którzy opowiadali o swym pobycie na wyspach Sołowieckich.

W chwili wybuchu wojny z Niemcami więźniowie z nadzieją oczekują, „że poszczególne narodowości 'kraju stu narodów' wystąpią przeciwko komunizmowi, ale że Rosja zwycięży i odrodzi się w blasku wolności i demokracji” (145).

Wspominając drogę na południe do tworzącej się Armii, Mantel podkreśla serdeczność, z jaką byłych łagierników przyjmowała miejscowa ludność:

„Brakowało mięsa, masła i cukru. Mimo to przyjmowano nas, byłych łagierników, z jakąś dziwną serdecznością i gościnnością. Odczuwało się sympatię nie tyle dla Polaków, ile dla byłych więźniów, nie było przecież rodziny, która by nie miała kogoś z bliskich w obozie lub w więzieniu” (147).

W lipcu 1942 roku jako pracownik Delegatury Rządu Polskiego w Samarkandzie zostaje aresztowany w grupie 120 delegatów i wyższych urzędników pod zarzutem szpiegostwa. Nie dysponując dowodami swej niewinności, jest bezsilny w czasie śledztwa, prowadzonego z brutalną bezwzględnością. Nieudana próba samobójstwa powoduje dodatkowe upokorzenia ze strony NKWD, które, zarzucając mu tchórzostwo, kwestionuje prawo do dysponowania własnym życiem.

Z ŁAGRU „KNIAŻ POHOST”

Z licznych spotkań w swej dwuletniej „sowieckiej odysei” Eugeniusz Lubomirski wyróżnia to właśnie, jako najbardziej nieoczekiwane, niezwykle i wzruszające. Miało ono miejsce w łagrze „Kniaż Pohost” w kraju Komi, gdy rozeszła się wieść o istnieniu „Brigady Lubomirskowo”, zwanej też „brigadą kniazia”:

„Pewnego dnia, było to wieczorem po godzinach pracy, zjawilo się u mnie w baraku dwóch, jak się wydawało, starców, bo w obozie wszyscy wyglądali starzej. W danym wypadku, wobec tego do czego się przyznali, nie ulegało wątpliwości, iż nie mogli być młodzikami. Mianowicie, jak się okazało, pamiętali dobrze mego ojca, księcia Władysława i nas czworo dzieci. Mało tego, wygląd wszystkich nas wiernie opisali. Byli to bowiem chłopci z Dubrowny, majątku odziedziczonego przez ojca na krótko przed pierwszą wojną światową. Sądzę, że musieli nas widywać w Stanisławowie (...). Spędzili w więzieniach i łagrach całe lata i, co było charakterystyczne, sami nie orientowali się, za co siedzą. Nie posiadając się ze wzruszenia, płacząc całowali mnie po rękach (...). Muszę przyznać, iż wizytą tą byłem również mocno wzruszony” (88-89)¹.

W swoich spotkaniach ze współwięźniami Rosjanami Lubomirski rozpoznaje tradycyjne cechy rosyjskiego ludu, ale też stara się poznać i zrozumieć, „co się z tych tradycyjnych cech ostało w zdegenerowanej klasie Rosjan, jaką byli enkawudyści” (82).

1. Eugeniusz Lubomirski, *Kartki z mego życia*, Londyn 1982, Polska Fundacja Kulturalna.

Umiejętność prowadzenia z nimi rozmowy w sposób naturalny, bez poczucia strachu i w tonie często żartobliwym, budziła szacunek a także pozwalała dostrzec ukryte w głębi ich duszy pierwiastki ludzkie. Wspominając przykłady okrucieństwa enkawudystów uważa, iż nie były to działania spontaniczne, ale wypełnianie regulaminu w korbach żelaznej dyscypliny. Nie sądzi jednak, by po wykonaniu zadania odczuwali większe wyrzuty sumienia. „Naród rosyjski może być bowiem bardzo okrutny, tym więcej gdy pozbawiony jest hamulców religijnych czy moralnych, jak właśnie w wypadku ludzi, którzy przeszli przez szkołę NKWD” (82) — konkluduje Lubomirski, jednakże wiele miejsca w swoich wspomnieniach poświęca zaobserwowanym „ludzkim przebłytkom” u swych dręczycieli. Dostrzega u nich też jakąś pozostałość tego głęboko osadzonego w tradycji rosyjskiej współczucia i litości dla wszelkiej kategorii więźniów. Oto np. dwaj żołnierze NKWD na jego prośbę godzą się, by na chwilę wyszedł za druty obozu dla odetchnięcia wolnością. Kiedy indziej, przyłapani na „przestępstwie”, gdy chce pomóc jadącym do Workuty Polakom, nie poniesie żadnych konsekwencji.

„Zorganizowałem więc zbiórkę chleba i papierosów i postanowiłem przedostać się do wnętrza baraku w celu podzielenia się z naszymi rodakami, czym 'chata nasza bogata'. Po spełnieniu swej misji, gdy już wychodziłem, posterunek mnie zatrzymał. Zapytałem go wobec tego, czy gdyby się znalazł w podobnej sytuacji co moi towarzysze niedoli, nie byłby wdzięczny, gdyby ktoś chciał mu pomóc. Przemówienie moje — o dziwo — poskutkowało. Cerber powiedział: *Nu idi no bolsze etowo nie diełaj* — i wypuścił mnie z baraku” (84).

Ważne miejsce we wspomnieniach Lubomirskiego zajmują spotkania z Ukraińcami. Te spotkania więzienne były przedłużeniem wcześniejszych i opierały się na wzajemnym zrozumieniu:

„W ogóle umiałem zwykle znaleźć z Ukraińcami jakiś wspólny język. Przypomniały się mi czasy chodorowskie, kiedy starosta naszego powiatu w Bóbrce, znając mnie i moją łatwość obcowania z Ukraińcami, zapraszał do starostwa, gdy wypadały jakieś z nimi spotkania (...). Ukraińcy w podobnych wypadkach nie chcieli używać języka polskiego i nastawali, aby rozmowy toczyły się w języku ukraińskim. Starosta język ten znał, tak że mógł zadość uczynić

ich żądaniom, natomiast do mnie Ukraińcy zwracali się zawsze po polsku, bo ich języka nie znałem. Obecnych w celi Ukraińców nie mogłem nazwać propolskimi — byli zażartymi nacjonalistami — ale rozmawialiśmy ze sobą szczerze i rzeczowo. Częstym tematem tych rozmów była sytuacja, w której się znajdowała Ukraina i Ukraińcy i możliwość uzyskania niepodległości. Na ogół nie żywili specjalnych iluzji, że się to da łatwo przeprowadzić. Uderzyła mnie jedna rzecz. Czego nam zazdrościli, to osoby Piłsudskiego...” (76).

Wiedząc o dobrych stosunkach Lubomirskiego z Ukraińcami, o jego znajomości z Andrejem Melnykiem i innymi ukraińskimi działaczami politycznymi, NKWD usiłowało zwerbować go do akcji szpiegowania antysowieckich działaczy ukraińskich, ściągniętych na początku wojny przez Niemców do Krakowa. Stanowczą odmowa („ja pod żadnym warunkiem dla was ani *protiw* Ukraińcom *rabotat' nie budu*”, 73) przypieczętowała ośmioletni wyrok i zesłanie do obozu pod kołem polarnym.

Wspominając o składzie narodowościowym więźniów łagru „Kniaź Pohost”, obejmującym wszystkie narodowości ZSSR oraz nowe „nabytki”, Lubomirski nie rozwija tego wątku. Poświęca natomiast osobną uwagę tej kategorii więźniów, którą stanowili komuniści z innych krajów. Tutaj dowiaduje się o rozwiązaniu w 1938 roku Polskiej Partii Komunistycznej i tragicznym losie jej członków przebywających w Rosji, a także losie tych komunistów polskich, którzy znaleźli się po 17 września na terenie okupowanym przez ZSSR. Ociera się o paradoks likwidowania i skazywania na długoletnie więzienia i łagry właśnie w ojczyźnie komunizmu, najbardziej ideowych komunistów z innych krajów. W łagrze „Kniaź Pohost” przebywało kilkuset komunistów austriackich, którzy znaleźli się w ZSSR w wyniku nieudanej próby rewolucji w Wiedniu w 1934 roku. Witani jako bohaterowie walki o wyzwolenie klasy robotniczej, wkrótce w okresie czystek zesłani zostali do łagrow.

„Bardzo się do mnie garnęli. Znałem przecież dobrze ich rodzinny Wiedeń, jak też znałem dobrze ich język. W rozmowach ze mną dawali wyraz swemu głębokiemu rozczarowaniu, więcej nawet, awersji i nienawiści do Sowietów. Zaklinali mnie też na wszystko, abym w wypadku jeżeli zostanę wcześniej zwolniony z łagru, w co wierzyli

na równi ze mną, nie omieszkął powiadomić świata o ich losie” (86).

Pisząc o losie komunistów niemieckich Lubomirski wspomina też Alfreda Sterna, doktora z Heidelbergu, który jako Żyd i komunista szukał po dojściu do władzy Hitlera schronienia w ZSSR: „Był on inteligentny, sympatyczny i mam wrażenie, z gruntu porządny człowiek”. Na jego prośbę skontaktował się z żoną, którą odnalazł po wojnie w Heidelbergu:

„Posiadam jej list napisany po otrzymaniu mego obszernego sprawozdania o jej mężu, o którym jednak więcej nic nie słyszała. Musiał więc już nie żyć. Jak się później dowiedziałem od mych towarzyszy niedoli łagierniczej, którzy wrócili stamtąd nieco później niż ja, Stern wkrótce po wybuchu wojny z Niemcami w 1941 roku znikł z obozu. Jak mówiono, był zesłany na Syberię” (87).

W łagrze „Książ Pohost” przebywali też komuniści hiszpańscy, rumuńscy z Bukowiny oraz francuscy. Była też grupa kobiet francuskich, które kiedyś poślubiły członków misji handlowej ZSSR we Francji. Ich mężowie, posądzeni o trockizm, szpiegostwo i inne zbrodnie, zostali zlikwidowani. „Niejednokrotnie maszerowałem z nimi pod konwojem enkawudystów w kolumnach udających się do miejsca pracy, rozmawiając z nimi w ich języku. Jak zwykle przyjmując ton niefrasobliwy i żartobliwy, tłumaczyłem im: (...) 'Nie jesteście wprawdzie w Paryżu, ale mimo wszystko jest to pięknie móc spacerować po bulwarach Syberii w towarzystwie francuskich kobiet' ” (87).

W dwa dni po wybuchu wojny z Niemcami Lubomirski zostaje aresztowany w wewnętrznym łagierniczym więzieniu i oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Uwolniony zostanie po czterech miesiącach dopiero na osobistą interwencję gen. Andersa u Berii. W celi więziennej spotyka Amerykanina, profesora Uniwersytetu w Nowym Jorku. Jako badacz rosyjskiego komunizmu został on przydzielony do ambasady USA w Moskwie. Pewnego dnia, zatrzymany na ulicy przez NKWD, osadzony zostaje w więzieniu i oskarżony o szpiegostwo. Mimo posiadania paszportu dyplomatycznego i braku formalnego wyroku, po pięciu latach przebywania w więzieniu zesłany został do łagru „Książ Pohost”. Po swym uwolnieniu Lubomirski melduje ambasadzie USA w Moskwie o tym spotkaniu. Ambasada potwierdza prawdziwość

przekazanych przez profesora danych. Wszelkie interwencje u władz ZSSR nie przynoszą jednak rezultatu.

Kartki z mojego życia Eugeniusza Lubomirskiego zawierają wspomnienia doprowadzone do końca drugiej wojny światowej. Jej początek był również końcem tego świata, w którym książę Eugeniusz Lubomirski wiódł barwne i bogate życie. Klęska wrześniowa, utrata wolności i majątku nie złamały jednak tego człowieka, który — jak wynika ze wspomnień — nawet w najcięższych chwilach zachował równowagę ducha oraz otwartą, pełną życzliwości i krzepiącego poczucia humoru postawę wobec innych, w tym również swych wrogów. Po odzyskaniu wolności bierze czynny udział w organizowaniu Wojska Polskiego w ZSSR i później, jako adiutant gen. Andersa, przemierza szlak Drugiego Korpusu.

Oceniając po 35 latach okres więzień i przymusowej pracy napisze: „Uważam, że wyszedłem z niewoli duchowo, moralnie oraz intelektualnie wzbogacony”. Poznanie z bliska sytuacji człowieka w ZSSR sprawia, że poczucie własnej doznanej tam krzywdy niknie i przemienia się we współczucie i litość wobec mieszkańców tamtej ziemi. Zbliżenie się do nich i poznanie również od strony najgorszej sprawia, że to raczej ludzkie odruchy i doznana tam pomoc, a nie akty okrucieństwa i upokorzenia, są w tych „kartkach” wspomnień szczególnie uwydatnione.

MIĘDZY MŁOTEM A SIERPEM

W jednym z obozów Wacław Grubiński spotyka kobietę z Moskwy, skazaną na osiem lat łagrów za to, że opowiedziała dowcip o Stalinie. Sam odbywa karę za dowcip o Leninie. Skazany na śmierć za napisanie wydanej w Polsce w roku 1920 sztuki dramatycznej pt. *Lenin*, w celi śmierci dowiaduje się o ułaskawieniu i zamianie wyroku na 10 lat łagrów. Nie pomagały zapewnienia oskarżonego, że Lenin w jego sztuce jest postacią pozytywną, „silnym wodzem zwycięskiej rewolucji”. Sztuka — na podstawie opinii Jerzego Putramenta — uznana została za utwór antykomunistyczny. Przy czym nie musiał być to sąd krzywdzący, skoro po latach Aleksander Wat w *Moim wieku* określi ją jako „rzecz płaską, wulgarną, trywialną, głupią”¹.

Książka Grubińskiego, *Między młotem a sierpem*², to w dużej mierze zapis „dowcipu”, w jaki historia wpłatała Polaków w ZSSR na początku drugiej wojny światowej. Dowcipem wyobrażenia zazwyczaj broni swej autonomii przed nacierającym kłamstwem. Dlatego kłamstwo tępi dowcip, zarówno ten, który znajduje wyraz w sztuce, jak i ten, który krąży z ust do ust. Proces Grubińskiego dostarcza jednak takiego materiału „anegdotycznego”, że trudno już z nim walczyć siłom strzegącym czystości stylu.

Grubiński — jak pisze Maria Danilewicz Zielińska — był przez cały czas swego uwięzienia „wizmem obserwującym ze stoicką wyrozumiałością i ogromnym poczuciem humoru jakies

1. A. Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*. Przedmowa Czesława Miłosza. Do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa, Londyn 1981, Polonia Book Fund., t. II, str. 137.

2. W. Grubiński, *Między młotem a sierpem*, Londyn 1948, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.

surrealistyczne widowisko”³. Narrator opowieści Grubińskiego ustawił się niejako między sierpem groteski a młotem tragedii tak, by nie stać się ofiarą ani jednej, ani drugiej. Opowiada swoje więzienne i obozowe dzieje jako ciąg anegdot, jakby na przekór tym, którzy anegdotę chcą wyeliminować z życia. Wydaje się, że w szczególnie sposób zależy mu na tym, aby uchwycić te sytuacje, które nie mieszczą się w świecie zburzonego ładu ludzkiego.

„Szlśmy przez las. Na czele pochodu kroczyło dwu wysokich Gruzinów z brodami, ludzi starych i pięknych. Mieli na sobie długie płaszcze, oczywiście wyświechtane, podpierali się kijami, jak pastorałami. Wyglądali hieratycznie, przypominali proroków biblijnych, pielgrzymów. Uśmiechnąłem się do siebie, ponieważ wydało mi się komiczne zobaczenie żołnierzy bolszewickich, konwojujących irreverencyjnie tę majestatyczną grupę, przeniesioną nagle znad jeziora Genezaret z czasów Chrystusa, na północny Ural z czasów Stalina” (323).

Piękno i majestat Gruzinów uwydatniają karykaturalność tych, którzy chcą ich zniszczyć i upokorzyć. Biorą w niewolę innych, bo już sama inność jest dla nich potencjalnym zagrożeniem. Komizm, ten szczególny sposób widzenia kontrastu, służy tu tyle wywyższeniu poniżonych ile poniżeniu wywyższających się, działa w kierunku przywrócenia zburzonego ładu. W tym celu jednak konieczne jest zachowanie dystansu, cofnięcie się o pół kroku, by objąć lepiej całość. Nie zawsze jednak narrator Grubińskiego zachowuje taki dystans. Brygadier Bardiej, Ukrainiec, jest postacią o której Grubiński pisze z najwyższym szacunkiem. Nie wydobywa tych pokładów ironii, czy nawet komizmu, które tkwią w kontraście między ewangelicznym apostołstwem Bardieja a brutalnością obozu. Bardiej przyjmuje wycieńczonego i chorego do swojej przepełnionej brygady tylko dlatego, że jego „nauczyciel mówi, że ludziom trzeba przychodzić z pomocą” — te słowa powtarza kilka razy. Nie wymienia imienia swego nauczyciela, uczyni to proszący o pomoc poznając, że to Chrystus. Bardiej miał opinię dobrego człowieka, cieszył się powszechnym szacunkiem, z nikim nie miał zatargów, „w środowisku ludzi zgorzkniałych, zmęczonych, niewyspanych, chorych, rozdrażnionych, bę-

3. M. Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Paryż 1981, Instytut Literacki, str. 414.

dąc w tych samych co oni warunkach, zachował pogodę ducha i uczynność" (335).

W nowej brygadzie Grubiński spotyka młodą Żydówkę, Sarę, „dziecko bolszewizmu”, które pod wpływem Bardieja uległo czarowi chrześcijaństwa. O nawróceniu tym autor mówi ze sceptycyzmem, choć nie wątpi w oczarowanie „życiem Chrystusowym Bardieja”, życiem bez trwogi i światem „chrześcijańskiego bezpieczeństwa”, do którego ją wprowadzał. Sara twierdziła, że „nic ją nie obchodzi, oprócz Boga”, nie jest jednak w stanie przyjąć zasad nowej wiary inaczej, niż jako pełną uroku, daleką od rzeczywistości fikcję. Tęsknota do innego życia sprawiała, że poddawała się tej fikcji, pozwalając się prowadzić Bardiejowi: „Towarzyszka Sara, czysty produkt wychowania bolszewickiego, słuchając Bardieja, bawiła się niebezpiecznie. Nie ma niebezpieczniejszej rzeczy, niż bawienie się w ciemności... światłem” (336). Jak widać Grubiński nie wyklucza prawdziwego nawrócenia Sary. Nie jest to już tylko anegdota, ale próba zrozumienia tego losu bez łatwych, narzucających się uproszczeń.

Rzadko jednak narrator ujawnia wprost swoje zaangażowanie. Jest w tym sprawozdaniu jakaś zachłanność na zdarzenia, ograniczony czas narracji musi ich pomieścić jak najwięcej. Nie znaczy to jednak, że mamy do czynienia ze sprawozdaniem bezosobowym. Osobowość autora ujawnia się zarówno w lekceważeniu grozy, przewyciężanej poczuciem humoru, jak i w pozornie beznamiętnym, ale kryjącym w sobie duży ładunek troski spojrzeniu na sytuację innych.

„Chorowitego Ukraińca i jego sąsiada, Polaka, za to, że grali w szachy, zrobione z chleba (w ogóle nie wolno było w nic grać), wtrącono do karceru na trzy dni.

Karcer był okropny. Mały pokój piwniczny, ociekający wilgocią, kamienna podłoga z wodą prawie po kostki, zimno, prawie ciemno.

Przed wepchnięciem winowajców do tej kazamaty kazano im zdjąć ubrania i buty. Zostawiono im tylko koszule. W ciągu trzech dni otrzymywali zmniejszoną porcję chleba (250 gram) i nic ciepłego.

Dziwna jest natura ludzka! Chorowity Ukraińiec nie dostał zapalenia płuc, Polak się mocno zakatarzył, ale bez gorączki, a przecież trzy doby dygotali z zimna!” (252).

A oto inny przykład anegdoty, która jest sposobem zapano-

wania nad ludzkim dramatem: dla jednego z więźniów, trzydziestoletniego Wielkorusa, nadszedł dzień zwolnienia po pięciu latach obozu.

„Dzisiaj znów się stanie pełnoprawnym obywatelem sowieckim. W kancelarii szykują dla niego papiery. Lada chwila będzie zwolniony. Dostanie chleba, pieniądze na bilet kolejowy, odprowadzą go do Sośwy...

Piekarnia się spóźnia. Minęło południe, chleba wciąż nie ma. Wczoraj obóz w ogóle chleba nie dostał. Wreszcie przybywa wózek z piekarni. Wielkorusa wzywają do kancelarii.

— Podpisz dokument — mówi naczelnik. — Przyszło rozporządzenie w twojej sprawie. Przedłużono ci karę o pięć lat. Ale coś odpoczął dzisiaj, toś odpoczął. Tego ci nikt nie odbierze” (355).

Trudno powiedzieć, ile w tych słowach cynizmu, ile współczucia, a ile zrutynizowanej bezradności. Tu autor nie jest psychologiem, jakby psychologia przestała się liczyć, gdy losem człowieka rządzi fatum, a wszelkie postulaty woli prowadzą do sytuacji tragikomicznych. Kto nie zatracił poczucia humoru, może uczestniczyć jako widz w tej niehumanitarnej komedii, ale są też różne sposoby bycia na scenie — wśród nich i takie, które potrafią przekształcić scenariusz. O takim przypadku dowiaduje się autor od pewnej Gruzinki. Spotkanie z Grubińskim przypomina jej spotkanie z innym Polakiem, o nazwisku Kisielowski, o którym opowiada z wdzięcznością i podziwem („wydawał jej się półbogiem”). Gdy płakała, nie mogąc dać sobie rady z pracą, odezwał się do niej ktoś pracujący obok i zapytał o co chodzi — potem zrobił za nią normę i codziennie jej pomagał. Kisielowski, ekonomista z zawodu, skazany był na dwanaście lat. Pewnego dnia otrzymał z Moskwy polecenie, aby napisał szczerze co myśli o systemie ZSSR:

„— Napisał obszerny traktat, w którym dowodził, że komunizm nie ma przyszłości. Naczelnik więzienia odesłał tę pracę do Moskwy. Po kilku miesiącach przyszła odpowiedź. Dwanaście lat obozów zmieniono Kisielowskiemu na karę śmierci. Zaraz go zaprowadzono do karceru. Wyrok miał być wykonany w dziesięć godzin później, przed wieczorem. Postawiono dwóch ludzi pod drzwiami karceru. Kazano im ciągle do niego zaglądać. Był spokojny, jak

zawsze. Kiedy go o zmroku prowadzili na stracenie, opowiadał anegdoty" (350).

To wypadek wyjątkowy, ale były też mniej heroiczne sposoby przekształcania tego scenariusza odczłowieczania; o nich nie opowiada już Grubiński z dystansu obserwatora ale z zaangażowaniem uczestnika. To właśnie spotkania, zwykłe i wzniosłe razem, w których mogło odżywać wzajemne zaufanie i międzyludzka solidarność. W zatłoczonej ciężarówce siedząca obok kobieta zaczyna rozmowę:

„Usłyszawszy, że mówię po polsku, zapytała po rosyjsku, czy wiem, co będzie dalej. Powiedziałem, że wojna nie potrwa długo i dodałem 'dyplomatycznie', że potem się wiele w Rosji zmieni na lepsze. Głosem smutnym odpowiedziała, że nie wierzy w lepsze jutro.

— Już trzeci raz przewożą mnie do innego więzienia.

— Prędko panią zwolnią.

— Jestem pracownicą kołchozu... (wymieniła nazwę tego kołchozu).

Po chwili dodała:

— Ja za syna.

— Jak to?

— Aresztowali mnie za syna.

— Nie rozumiem.

— Mój syn zdradził.

Milczałem pytająco. Babina szepnęła:

— Zdezerterował. Za to mnie aresztowali.

— Jak to za to?

— Bo jego nie złapali.

— Pani mu pomagała do ucieczki?

— Ja w ogóle o niczym nie wiedziałam. On był w wojsku. Potem mi napisał, żebym się o niego nie lękała, bo się dobrze ukrył.

Po chwili znów szepnęła:

— Jego brat służy w wojsku. Ojciec też w wojsku. Więc kogo mieli aresztować? Przyszli do kołchozu i zabrali mnie. Już ja z więzienia nie wyjdę" (246-247).

„Boże Narodzenie obchodziliśmy uroczyście, to znaczy, że wielu więźniów przez kilka dni nie zjadało całej porcji otrzymanego razowca, żeby się móc najeść w wieczór wigilijny. Po kolacji zażądano ode mnie, żebym przemówił.

Półgłosem, ponieważ nie można było mówić inaczej, starałem się wytłumaczyć towarzyszom więziennym, że to, czego najbardziej nam teraz potrzeba, nazywa się wzajemną życzliwością. Łączy nas niedola, niechże nas nie dzieli rozdrażnienie, spowodowane wspólnym zamknięciem. Wzajemna życzliwość jest siłą, która nam ułatwi przetrzymanie tęsknoty za krajem i bliskimi. Jesteśmy na obczyźnie, w atmosferze wrogości, nie bądźmy przez folgowanie swoim nerwom sami sobie nieprzyjaciółmi.

Potem przemówił pan L.L., potem się każdy zamyślił... Sprzeczek nie było tego wieczora.

W Nowy Rok, zaraz po modlitwie, jeszcze noc stała za oknami, jak czarny granit, profesor Zaikin zabrał głos, życząc nam w imieniu więźniów Ukraińców, żeby niedaleka przyszłość spełniła nasze marzenia. W dwa tygodnie później, w imieniu więźniów Polaków, o takim samym czarnym brzasku, ja składałem noworoczne życzenia więźniom Ukraińcom" (106).

K O Ł Y M A

*Ablaka pływut, ablaka...
Na wastok pływut, w Kołymu...*¹

„— Ani wyspa, ani półwysp, ani w ogóle ziemia! Kołyma to jest rzeka, która wpada do Oceanu Lodowatego (...) Okolice rzeki i dorzecza Kołymy nazywają się Krajem Kołymskim, która to nazwa nawet na tej mapie nie jest oznaczona. 'Kołyma' jako nazwa to po prostu skrót...”².

Nad *Księżką o Kołymie* rodzi się wątpliwość, czy wolno z tych zeznań — jak ją określa autor — wydobywać właśnie spotkania, przemilczając cały ich kontekst. Czy ten sposób lektury nie jest unikiem wobec całej prawdy o tym „białym krematorium”? Trzeba zostawić jednak „całą prawdę” tym, którzy lepiej potrafią się do niej zbliżyć, a tutaj wydobywać dalej z tych papierów po wielkim nieszczęściu ocalone, wypracowane i wymęczone wartości. Trzeba im się przyjrzeć, przynajmniej przyjrzeć, bo stanowią część wspólnego dziedzictwa.

Spotkanie daje możliwość narodzenia się wartości, możliwość tworzenia, ale też i destrukcji. Jeśli na tej samej stronie *Księżki o Kołymie* ze wspomnieniem doznanego zła sąsiaduje wspomnienie ludzkiej dobroci, można sądzić, że nie tylko warunki zewnętrzne decydują o tym, które możliwości spotkania zostaną wykorzystane. Strona 205: mija osiem miesięcy od ogłoszenia amnestii, z Polaków pozostał tylko Krakowiecki. Leży ciężko chory w szpitalu. Współwięzień, który pełni rolę pielęgniarza, podaje mu ampułkę z lekarstwem, mówiąc: „— Więc jednak

1. J. Krzysztoń, *Wielbłąd na stepie*, Warszawa 1978, Czytelnik, str. 59.

2. A. Krakowiecki, *Księżka o Kołymie*, Londyn 1950, Veritas, str. 70-80.

zdechniesz, Polaku!”. Po kilku zdaniach czytamy: „... życzliwi ludzie pocieszają mnie; radzą, abym nie upadał na duchu. Opo-
wiadają, że w tym samym szpitaliku, o na tamtej pryczy — poka-
zują pryczę — leżał Polak, Tomaszewski. Pewnego dnia wezwano
go i pojechał na wolność. Pewnie i ze mną tak będzie. I oto
znowu powstaje iskierka nadziei...”.

Ryzykowne byłoby twierdzenie, że to warunki Kołomy miały
decydujący wpływ na stosunki między więźniami, tak samo jak
lekceważenie tego wpływu musiałyby prowadzić do uproszczeń.
Nie chodzi tu o określenie genezy takich czy innych zachowań,
a jedynie o przyjrzenie się spotkaniom, lecz nie sposób wyelimi-
nować z pola widzenia warunków w jakich ludzie się spotykali.

Poniżej 80 cm ziemia tam nigdy nie odmarza. Obowiązywał
10-12-godzinny dzień pracy w kopalniach złota czy przy budowie
dróg, często na mrozie przekraczającym odporność wycieńczonych
organizmów. Dopiero przy — 53° C więźniowie byli zwalniani
od pracy. Na sen pozostawało 3-4 godziny, resztę wolnego czasu
zabierało stanie w kolejce po chleb, zupę i kaszę oraz wyprawy
do lasu po opał. Często stosowaną karą było zamknięcie na jedną
lub kilka nocy w tzw. izolatorze. Oto opis jego budowy:

„Najpierw wybrano ziemię na jakieś 80 cm w głąb i
rozrzucono ją dookoła. Następnie z bierwion wybudowano
budynek bez okien i zaopatrzone w silne drzwi. Postawiono
w środku — jakby na drwinę — żelazny piecyk z rurą.
A potem zaczęła się dziwna procesja. Chodzi kilku ludzi
z wiadrami i z rzeki, z przerebli noszą wodę. Wodę tę
wylewano w dół, nad którym wzniesiony był izolator. Na-
tychmiast zamarzała, ścinając się w lód. Tak urosła warstwa
lodu — może 60-centymetrowej grubości. Potem ten
podkład lodowy przysypano cieniutką warstwą żwiru i —
izolator był gotów. Nigdy, przy najbardziej nawet upalnym
lecie, lód nie mógł stajać (a do izolatora wsadzano w bie-
liźnie)” (128).

Głód, potęgowany kradzieżą żywności przez władze obozowe
jest taki, że „ludzie zazdroszczą świniom — zazdrością ostrą,
jadowitą, nienawistną” (189). Siła robocza eksploatowana jest
do końca, kto żyje, jest z definicji siłą, która musi być użyta
— „Ojczyzna potrzebuje metalu”:

„Właśnie stamtąd, z kopalni złota, nadciągnął pochód
widm. Goni tam się ludzi do pracy przez cały sezon gorzej

niż zwierzęta. Zwierzę zbuntowałoby się i padło, człowiek wytrzyma o wiele więcej. A więc zamęczano tych ludzi przez kilka miesięcy, przez cały sezon płukania złota. I ludzie ci zmienili się w szkielety. Widz dziwi się, że te postacie, podobne tylko do ludzi, żyją jeszcze? Skóra i kości — nie ma w tym żadnej przesady. Ci byli ludzie, o organizmach kompletnie wyniszczonych, nie są już potrzebni na kopalni złota, ponieważ wydajność ich pracy jest żadna: wobec tego najbardziej zdeklarowanych półumarlaków posyła się do robót drogowych” (181).

Siłą napędową tej pracy jest terror, więzień nie ma wyboru, musi pracować bez względu na stan swego organizmu, tylko skrajne przypadki kwalifikują się do szpitala, który specjalizuje się w obcinaniu odmrożonych kończyn. Może wybrać tylko między pracą a śmiercią — a wybierając pracę wie, że też nie wybiera życia.

„Od samego początku budowy drogi rozszalał się terror. Przy mnie w sąsiednim zaboju zastrzelił strażnik więźnia, jakiegoś Uzbeką, za to, że mu odpowiedział kilka słów. Potem strzelano do ludzi, jak do zwierząt. Izolator co noc był przepełniony — widziałem ogromne tłumy ludzi, pakowane do małego lodowatego kojca” (175).

Krakowiecki podaje liczbę trzystu osób, które zmarły w jego obecności na przestrzeni dwuletniego pobytu tam, gdzie „nie-wolnicy wielu narodowości umierają wyszani przez złoto” (186).

Ile narodowości spotkało się w kołymskich „Wychowawczych Obozach Pracy”? Krakowiecki nie podaje dokładnej liczby: „najwięcej oczywiście Ukraińców, przecież co drugi człowiek na Kołymie to Ukrainiec, a dopiero ta druga połowa składa się z kilkudziesięciu narodowości” (98). Nie jest to liczba stała, stopniowo powiększa się o przedstawicieli nowych „oswobodzonych narodów”; i tak np. w czerwcu 1941 roku przybyli „oswobodzeni” Estończycy i Łotysze. *Książka o Kołymie* nie jest jednak źródłem, pozwalającym snuć uogólnienia na temat różnych narodów, mało też w niej przypadków antagonizmów na tle narodowościowym. Tu nie ma miejsca na kultywowanie tradycji narodowych, napór sił uniformizujących pozbawia zewnętrznych oznak tożsamości. Jedynie pamięć im się nie poddaje, ujawnia się przy bliższym, poufnym poznaniu i nadaje międzyludzkim spotkaniom również rangę spotkania narodów.

„— Chciałbym pana zapytać, czy Wacław Sieroszewski żyje jeszcze?” — Z tym pytaniem zwraca się do autora wspomnień współwzięć o skośnych oczach i mongolskich policzkach. To Jakut, który w ten sposób nawiązuje znajomość. Podaje nazwisko Potapow, dodając, że wszyscy Jakuci noszą nazwiska urobione sztucznie na modłę rosyjską. Zdziwionemu Polakowi wyjaśnia, że mieszkał kilkanaście lat w Moskwie jako członek rządu Republiki Jakuckiej i redagował tam jakuckie czasopismo. Sieroszewskiego zna jako autora jednej z nielicznych książek o Jakucji, wie też, że przebywał na zesłaniu niedaleko od Kołymy. Interesuje się zapowiedzianym drugim tomem dzieła, a na pytanie, jaka jest wśród Jakutów znajomość Polaków, odpowiada:

„Warstwa Jakutów oświeconych posiada dość dużo wiadomości i stara się rozszerzać ich zakres. Czujemy sympatię do waszego narodu. Wasi ludzie zsyłani tutaj nie oddawali się wyłącznie pijaństwu. Co drugi umiał leczyć choroby ludzkie i zwierzęce. Byli wśród nich ślusarze, cieśle, monterzy, rusznikarze, wyprawiacze skór. Wszyscy umieli czytać i pisać i było wśród nich wielu znakomitych myśliwych. Jakuci o tym wiedzą i pamiętają. Polacy są u nas do pewnego stopnia popularni” (100).

Dalej opowiada, że jeszcze przed dwoma laty znajdowała się w pobliżu jakucka jurta, w której mieszkał bardzo stary Polak imieniem Krzyżanowski:

„Przybył kilkadziesiąt lat temu w te strony, osiadł wśród Jakutów, ożenił się, ma dzieci i gromadę wnuków. Leczył, zamawiał jakuckie strzelby. Kiedy doprowadzono drogę do Kadak-Czanu, Jakuci opuścili osadę i przenieśli się w głąb tajgi — uciekają bowiem od cywilizacji, od takiej cywilizacji” (100).

Bronią się przed tą cywilizacją podobnie jak Kazacy. Nie wszyscy mogą jednak uciec ze swymi stadami na Alaskę, a tajga nie jest już tak niedostępna jak dawniej, zaczęły też rządzić w niej nowe prawa.

Licząc, że tradycyjna sympatia Jakutów wobec Polaków ułatwi mu planowaną ucieczkę, Krakowiecki zostaje przez swego rozmówcę sprowadzony na ziemię. Dowiaduje się, że Jakuci tępią uciekinierów bezlitośnie, nie pytając o narodowość ani religię. Nagroda za przyniesioną do NKWD odciętą głowę ucieki-

niera — butelka spirytusu i paczka herbaty — jest zbyt łakoma, by uciekinier mógł swą głowę ocalić. Dzięki tej rozmowie Krakowiecki dowiaduje się również gdzie się dokładnie znajduje, że Kołyma jest właściwie ziemią niczyją, na którą z zachodu zapuszczają się koczownicy jakuccy, a z północy i wschodu tunguscy. Nieraz będzie się wsłuchiwał w dźwięki dzwonek mknącej po rzece karawany, utkwią one w pamięci, jako melodia „czarnej melancholii katorgi” (101).

Potapow zwraca uwagę na charakterystyczne dla sztuki jakuckiej srebrne inkrustacje i brak zainteresowania złotem. To, co dla nich przedstawia szczególną wartość, owe srebrne inkrustacje na siodłach, uprzęży i kolbach, nazywa się od dawna polskim srebrem. Potapow nie potrafi wytłumaczyć dlaczego, ale zachęca swego rozmówcę, by zainteresował tym polskich uczonych, jeśli mu się „uda wyjść z tego piekła”.

Książka o Kołymie to w dużej mierze relacje ze spotkań, o których trudno mówić w jakimś uogólniającym trybie, nie układają się w grupy, każde jest jedynym w swoim rodzaju, choć na ogół utrwalonym zaledwie w reporterskim, zwięzłym zapisie. Śladem wielu z nich jest w tej narracji zaledwie wzmianka:

„Leżało [w szpitalu] ośmiu chorych: trzy łóżka po jednej stronie, pięć po drugiej. Po 'mojej stronie' leżeli: Ta-dżyk, Polak (to ja), Holender (Salomon Derksen) — po drugiej: Ukrainiec, Grek, Kazach, Gruzin i 'ruskiej czełowiek' ” (139).

O jednym z nich dowiadujemy się wcześniej: „Sałomon Sałomonowicz Derksen pochodził z osadników holenderskich, sprowadzonych jeszcze przez Katarzynę Wszeteczną i był trywialnym, nieogolonym portretem Buddenbrocka” (124).

O Hiszpanach zaledwie jedno zdanie, mówiące, że na fermie reniferów „pracuje w tej chwili [rok 1940] reszta Hiszpanów, przywiezionych tutaj w czasie wojny domowej” (144).

Felczer Niemiec robił Krakowieckiemu opatrunki po amputacji odmrożonych palców: „... nie pozwalał na odmrażanie bandaża i brutalnym szarpnięciem zrywał opatrunek. Było to bolesniejsze niż sama amputacja i z dnia na dzień stawało się coraz bardziej dotkliwe” (150).

„W ciągu kilku dni pracowałem na drodze z jakimś Lermanem. Niespodzianie jednak odesłano go na inną

komandirówkę i dopiero później dowiedziałem, się, że Lerman był nie lada dygnitarzem, bo sekretarzem Jeżowa. Miał za to dwadzieścia pięć lat do odsiedzenia" (153).

Gruzin, Szaliko Bajromaszwili, aresztowany na drugi dzień po jubileuszu dwudziestolecia pracy pedagogicznej i otrzymaniu patentu zasłużonego pedagoga ZSSR. Pod wpływem bicia przyznał się do spisku kontrrewolucyjnego i otrzymał 15 lat łagrów. „Pocziwy Szalika! Uczył mnie historii Gruzji (...) chwalił piękno swojego kraju, dobroć i odwagę ludzi Kaukazu, potrawy gruzińskie i — wino, wino" (157).

Hadzi-Murat z Afganistanu odbywa karę za przemyt. Wy różnia się „absolutną niechęcią do pracy”, jego dewizą jest powiedzenie: „czasu dość, wyrok długi”:

„Przyniósł na Kołymę malarię. W atakach malarii podrzuca nim, jak w epilepsji. Hadzi śpiewa wtedy jakieś przeraźliwie smutne pieśni i modli się do Ałłacha. Jest bardzo pobożny, a kiedy raz przywieziono odrobinę jakiegoś tłuszczu — nie chciał jeść zupy. Chociaż był to tłuszcz roślinny, nie sposób było mu to wytłumaczyć" (165).

Łotysz Ottowicz Wiederlenk był ostatnim, z którym autor wspomnień zawarł „katorżniczą koalicję i przyjaźń”. Nie pisze o nim więcej ponad to, jak się poznali oraz że był „człowiekiem, z którym jadłem”, a to w obozie było miarą największej przyjaźni („określenie to w niewolnictwie oznacza największy stopień przyjaźni. Dwóch, trzech, czy czterech ludzi tworzy w łagrze wspólnotę taką, że dzielą się każdą łyżką zupy, każdym kawałkiem chleba, czy mizernym śledziem)" (125).

Naczelny lekarz szpitala, Żyd, doktor Kibel, ma wyrok dziesięciu lat:

„... jest dobrym człowiekiem. Stara się o chorych i usługi ich naprawdę leczyć w miarę posiadanych lekarstw. Ponieważ jednak często za jakieś cudze winy i za pretekst win przesiaduje nocami (w białiznie) w izolatorze (...) jest rozhisteryzowany do ostatnich granic. Przed każdym naczelnikiem drży ze strachu, a w czasie ataku histerii urządza w szpitalu istne pogromy. Chorych, czasem najciężej chorych, wyrzuca ze szpitala. Ci chodzą, błagają, a wtedy Kibel z reguły daje się przebłagać, ale każe podpisywać jakieś deklaracje, 'że już nie będę'..." (206).

„Niewysokiego wzrostu Żyd, przestępca kryminalny nazwiskiem Nastaszewski był dobrym, solidnym kolegą łągiernym”. On to w tajemnicy pierwszy przekazał Krakowieckiemu zasłyszana w kantorze wiadomość, że ma zostać uwolniony.

Sasza Pawłowicz Dokin, którego ojca „zamordowali w 1917 roku bolszewicy w okrutny sposób”. Od niego autor *Książki o Kołymie* dostał jedyne w karierze więziennej sto gramów margaryny. Zniknął w tajemniczy sposób, posądzony o pisanie wywrotowych ulotek.

Martin Schuesselmayer, Niemiec, będąc już więźniem został aresztowany podobnie jak Dokin (zdarzało się to często) i za spekulację w obozie dostał dodatkowe dziesięć lat.

Iwan Iwanowicz Domnin, drukarz z Irkucka, syn „zasłużonego drukarza ZSSR”. Opowiada okoliczności aresztowania. Żołnierze NKWD weszli do jego domu w chwili, gdy cała rodzina wieczorem śpiewała pieśń „*Spasibo wielikomu Stalinu za naszą szczęśliwiju żiźń*”. Brutalna rewizja, aresztowanie, wyrok dziesięciu lat. Krakowiecki komentuje.

„Setki takich opowieści. Domnin był człowiekiem partii, a stał się niewolnikiem. Nie za to, że zawinił. Dlatego, że potrzeba było niewolnika — nie jednego, dwóch lub tysiąca, ale stu tysięcy albo miliona. Półtora miliona takich Domninów pracuje na Kołymie. Za wodę zwaną 'zupą', za 'pajok' chleba. I w ten sposób rośnie potęga” (243).

Popow z Piermi, aresztowany zaraz po rewolucji jako syn bogatego kupca, stał się tak cenionym fachowcem od budowy dróg, że gdy kończy mu się wyrok, dostaje pod byle pretekstem nowy, grozi mu „dożywotnia niewola”, należy jednak do więźniów uprzywilejowanych, jest dziesiętnikiem, nie brakuje mu niczego... oprócz wolności. Krakowiecki pisze: „Takich Popowów, którzy umieją pracować i za to muszą dokonywać dni swoich w niewolnictwie, są na Kołymie tysiące” (243).



Są też w *Książce o Kołymie* spotkania i dialogi, w których objawiają się pełniej sylwetki i charaktery. Widać wyraźnie, że Krakowiecki tak konstruuje narrację, by wysunąć na pierwszy plan wiedzę, jaką dzięki tym spotkaniom nabył, by przemówiły zapisane w pamięci drugich fakty, ich doświadczenia i opinie, dzieje życia, którymi się dzielili.

W czasie przejazdu więziennym samochodem przez Kijów Krakowiecki dostrzega tłum ludzi. Pyta sąsiada, czy nie jest to jakaś demonstracja. Odpowiedź:

„Ostatnia demonstracja w Kijowie odbyła się w 1924 roku. Jestem Kijowianinem i pamiętam. Było to 24 lub 25 marca. Demonstracja rozpoczęła się o godzinie 5-ej po południu, a o 7-ej ani jeden jej uczestnik nie żył, rozumiecie, wszyscy zostali rozstrzelani i zakłuci bagnetami. Dwa tysiące ludzi, rozumiecie? W tym z pięćset, może sześćset takich, którzy naprawdę demonstrowali albo chcieli demonstrować...

— A reszta?

— Reszta to przypadkowi przechodnie. Gapie, robotnicy wracający z roboty, kobiety śpieszące na zakupy. *Boh znajet*. Zrozumcie, że u nas nie może być demonstracji. U nas nie może być nieporządku” (55).

Gdyby nie komentarz autora, który dodaje, że słowa te były wypowiedziane z autentycznym podziwem i zachwytem wobec tego porządku i determinacji z jaką władze stoją na jego straży, czytelnik byłby przekonany, że wypowiedź tę przenika bolesna ironia.

Doktor Turkieltaub, „znakomitość partyjna”, członek partii jeszcze sprzed rewolucji, posiadacz dwóch doktoratów, „najlepszy ponoć lekarz w Kijowie”. Jedzie na Kołymę z grupą Polaków i nie ukrywa swej wobec nich nienawiści, pełen zarazem wyrozumiałości dla tych, którzy go uwięzili. „Śledowatiel kopał mnie w jądra” — zaspakaja ciekawość współwięźniów. Narratora intryguje spokój, z jakim to mówi, jakby obce było mu poczucie krzywdy. Stara się zrozumieć na czym polega ta więź, łącząca rewolucjonistów, występujących wobec siebie w roli kata i ofiary:

„— Czy żandarmi carscy w śledztwach kopali pana także?

Nie ma żadnego podstępu w tym pytaniu. Jestem człowiekiem lewicy, socjalistą. I — Polakiem. Mam pogardę i obrzydzenie do carskiego systemu. Pytam po prostu z ciekawości. On zaś miota wściekłe spojrzenie i stwierdza:

— Nie, nie ośmieliliby się, baliby się, to byli tchórze!

Tchórze? A kim jest śledowatiel, kopiący bezbronnego człowieka — więźnia? Bohaterem rewolucji? Dlatego, że kopie?” (68).

Tę niemożność wzajemnego zrozumienia dopełniają „provokacyjne bluźnierstwa Turkieltauba”, godzące w uczucia narodowe i religijne Polaków oraz kara, jaką mu za to wymierzają. Znosi ją bez najmniejszego sprzeciwu.

Hans Hansowicz Belau. Krakowiecki zawarł z nim przyjaźń jeszcze w grudniu 1939 roku, w celi więzienia w Stanisławowie. Jego losom poświęcił osobny rozdział swej książki. Był obywatelem polskim urodzonym w Tczewie, ale znał tylko kilka słów polskich. Wiele lat przed wybuchem wojny uciekł do Niemiec, by uniknąć służby wojskowej. Pracował tam jako murarz i działał w szeregach niemieckiej partii komunistycznej. Wielokrotnie za tę działalność aresztowany, wyrzucony wreszcie z Niemiec, błąkał się po Europie, zawędrował nawet do Maroka, wszędzie musiał odsiadywać karę za nielegalne przekroczenie granicy, uprawiał bowiem turystykę bez żadnych dokumentów.

„— Och, podłe są więzienia francuskie! Nic, tylko kapusta i kapusta. Za to w Danii! Jajka się fasuje! A w Maroku dają codziennie po dziesięć papierosów i wypłacają taki żołd, że wystarcza na dokupienie dalszych trzydziestu. Cały dzień leży się na podwórzu nad basenem, w słońcu lub w cieniu. Bardzo przyjemny kryminał! (...) W Danii dostałem 12 dni za przekroczenie granicy nielegalnie, we Francji sześć tygodni, w Hiszpanii trzy miesiące” (93).

Trafił wreszcie do rodzinnego Tczewa, gdzie za dezercję odsiedział rok w więzieniu, po czym — w wieku 31 lat — odbył służbę wojskową, po kilku miesiącach, w marcu 1939 został ponownie zmobilizowany. Wojna zastała go w polskim wojsku: „— Biłem się przeciw bandom hitlerowskim — opowiadał i nagle wydawał z siebie dziki wrzask po polsku: — Ognia!” (93).

W bliżej nieokreślonych okolicznościach zatrzymany przez Rosjan na stacji kolejowej w Kołomyi. Trzyletni wyrok za próbę przekroczenia granicy wydał mu się zbyt surowy. Był zgorzchnięty warunkami panującymi w więzieniach państwa proletariackiego. Zdrapuje paznokciami wytatuowaną na piersiach pięcioramienną gwiazdę. Już pierwszego dnia po przyjeździe na Kołymę ucieka, powraca jednak szybko nie widząc szans powodzenia ucieczki. Po kilku miesiącach ponownie próbuje uciec, tym razem wspólnie z Polakiem Andrzejem Zarosińskim, wychowankiem belgijskich szkół, nie znającym niemieckiego. Hans nie zna francuskiego. Kiedyś, jeszcze w więzieniu, nie cierpieli się wzajemnie. Ucieczka

się nie powiodła, wpadli w zasadzkę i zmasakrowani przyprowadzeni zostali z powrotem do obozu. Pewnego dnia w przechodzącym „orszaku cieniów” Krakowiecki dostrzega dwa najstraszniejsze. Mógł z nimi zamienić tylko kilka słów:

„— Czy bito was, Andrzeju?

Andrzej poznaje mój głos. Kieruje niewidzące oczy w moją stronę, zwraca ku mnie twarz i uśmiecha się!!! Ten strzęp ludzki uśmiecha się!

Odpowiada:

— Bili nas i biją ciągle!

Hans wykrzykuje:

— *Redakteurchen!*

Poznał mnie, chociaż też mało przypominam samego siebie sprzed dwóch miesięcy. Rzucam do Hansa po niemiecku to samo pytanie.

— Wściekle zwierzęta, to szatany. Biją nas bez przerwy — miota się Hans.

Dookoła mnie zbiera się tymczasem gromadka innych więźniów. Szukają znajomych i znajdują. Zaczynają się rozmówki. Znienacka podchodzi dozorca i wali kolbą w żebra Ukraińca, który stoi koło mnie...” (118).

Tak wyglądało pożegnanie przyjaciół.

Obstawiony dozorcami i psami orszak więźniów rusza i znika za wzgórzem.

Denisow, były dyrektor teatru z Baku, były członek partii, odznaczał się poczuciem humoru. Tak opowiadał swoje dzieje, że nie wiadomo było, ile w tej opowieści jest prawdy, a ile zmyślenia ku pokrzepieniu siebie i innych surrealistycznym humorem. Aresztowany pod zarzutem utrzymywania kontaktów z Hitlerem w celu skłonienia go do zajęcia Baku. Bity przez dzień dni, odmawiał przyznania się, wreszcie pod wpływem współwięźnia („przyznaj się, bo inaczej zatłuką cię na śmierć...”) złożył wymagane zeznanie.

„Ale tego było mi jeszcze za mało, więc z własnej ochoty dodałem, że również pisywałem listy do cesarza Mandżurii Puji, ażeby zajął Tyflis. Wywarło to wstrząsające wrażenie. Otrzymałem całą górę papierosów, dano mi porządnie jeść i odprowadzono nie na pojedynek, ale do izby chorych...” (165).

Brygadier, sześćdziesięcioletni Łotysz, Jan Juriewicz, w chwilach szczerości porównuje carską katorgę z obecną. W 1905 roku dokonał w Rydze udanego zamachu na życie miejscowego gubernatora, popełniając przy tym dla zatarcia śladów włamanie, za które został skazany na trzy lata katorgi: „Życie w katordze wydawało się nam, jak wykradzione marzeniom! Chleb, pożywienie, mięso kilka razy w tygodniu i ruble pełne wartości, za które można było coś kupić” (178). Brał udział w rewolucji, później za zasługi długie lata mieszkał w Rzymie i Berlinie jako przedstawiciel firmy eksportowej. Pewnego dnia wezwano go do Moskwy i skazano na dziesięć lat „wychowawczych obozów pracy”.

Ta pochwała carskiej katorgi nie jest wyjątkiem. Czebykin, Sybirak, analfabeta, poznał ją również i wspomina „z rozrzewnieniem”. Wzięty do niewoli niemieckiej w czasie pierwszej wojny światowej, uciekł z obozu w Wiener Neustadt do Włoch, skąd po wojnie statkiem dostał się do Baku. Kołyma jest już trzecim wyrokiem — za śpiewaną po pijanemu piosenkę satyryczną został skazany na pięć lat jako kontrewolucjonista-agitator; „Czebykin wyśpiewywał mi kilka razy tę piosenkę, ale jej nie zapamiętałem. Szkoda!” (179).



Z przytoczonych wyżej przykładów wynika, że Polacy raczej chętnie i łatwo nawiązywali kontakty z więźniami innych narodowości. Zdarzały się jednak i spięcia.

„Wpychają nas do celi, w której z trudem można znaleźć miejsce do siedzenia. Jest coś czterysta chłopów. Sami skazańcy. Przybycie Polaków wywołuje sensację, chociaż w tej celi jest już kilku Polaków, a chyba nie ma jednej celi w tym kraju gigantycznych więzień, aby już teraz — koniec marca 1940 roku — nie 'gościli' Polacy 'uwolnieni od ucisku polskich panów’.

Tworzy się 'polski kąt'. Jakiś Rosjanin odzywa się złośliwie:

— Ot i macie Polaków. Już tworzą grupę, już się znaleźli” (62).

Być może tam, gdzie pojawiała się niechęć Rosjan wobec przejawów polskiej więziennej solidarności, była ona nie tylko refleksem antypolskiej propagandy czy też reakcją na nierzadkie

przejawy polskiej megalomanii. Być może w taki sposób wyrażała się czasem ukryta tęsknota za życiem w łagodniejszym międzyludzkim klimacie?

Wiele miejsca poświęca Krakowiecki swoim rodakom, jednakże nie jako grupie, ale poszczególnym osobom, z którymi bliżej się zetknął i zaprzyjaźnił. Osobny rozdział poświęca Henrykowi Sierosławskiemu — nazwisko to wiele razy powraca na kartach *Książki o Kołymie*. W Palestynie dowie się, że jego przyjaciel był synem Józefa Sierosławskiego, zamęconego przez bolszewików w 1919 roku.

„Inżynier Henryk Sierosławski mówił sześcioma językami. Skończył Wyższą Szkołę Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Był w Anglii, kiedy zanosło się na wojnę. Bardzo się śpieszył, aby zdążyć — uważał że wojna bez niego — obyc się nie może. Dwa razy uciekał z niewoli niemieckiej, raz uciekł z niewoli sowieckiej” (130).

Zmarł 7 października 1940 roku w wieku 31 lat, po czterech miesiącach i siedmiu dniach niewolniczej pracy.

„Co się działo 8 października — nie pamiętam. Jak przez mgłę przyćmiona moja świadomość notuje, że mnie wypędzono na robotę. Ale chyba nie pracowałem? Zdaje się, że siedziałem na boku, obojętny na to, co się ze mną i koło mnie dzieje. Przychodzili ludzie z innych zabojów i dawali mi machorkę. Ktoś obcy wywiózł za mnie kilka tacek — a było to tak niezwykle, tak nadnaturalne w kraju i w warunkach, gdzie nikt za nikogo pustej łopaty nie podniesie, że nie mogę się mylić co do tego drobnego szczegółu...” (129).

O Izydorze Winiaku, kolejarzu spod Worochty, towarzyszu niewoli począwszy od więzienia w Stanisławowie, Krakowiecki opowiada w słowach pełnych szacunku i wzruszenia. Człowiek ten potrafił nadać głęboki sens swej ciężkiej pracy i zapalał innych jej umiłowaniem, gdy opowiadał o budowie własnego, rodzinnego domu. Aresztowany za próbę przekroczenia granicy węgierskiej, już nigdy do tego domu, w którym zostawił żonę i dzieci nie wrócił. Na początku kołymskiego zesłania zadziwiał wszystkich pracowitością i wytrzymałością. Pewnego dnia — notuje Krakowiecki — w przerwie obiadowej oświadczył: „— Praca mi nie dziwna, tylko że jako niewolnik pracować nie będę”

(96). Wkrótce potem wraz z dwoma innymi Polakami uciekł z obozu i nikt o nim więcej nie słyszał. W kożuchu, który zostawił przyjaciółom, Krakowiecki znalazł zaszyty brązowy krzyż zasługi. Zakopał go na siódmym porabstwie, dwadzieścia kilometrów od Kadak-Czanu: „Pieczołowicie i troskliwie owinąłem go w lniany ręcznik z pieczętką 'Więzenie Łukiszki' (przewieziony ze Stanisławowa) i podsunąłem pod wielki kamień...” (108).

Jan Filipowicz Wywiał — Polak z Baku, który przed pierwszą wojną opuścił Radomsk, opowiada w więzieniu w Stanisławowie z rozczuleniem o rodzinnym mieście.

Oleksy, chłop z Chełmszczyzny, któremu obojętne było, czy go uważano za Polaka, czy za Ukraińca, a który w październiku 1939 roku opuścił rodzinną wieś, by z rodziną i całym dobytkiem szukać szczęścia za Bugiem; aresztowany, gdy z żoną i trojgiem dzieci bez dobytku wracał z powrotem przez Bug.

Ksiądz Arkadiusz Rudenko Rudnicki, profesor Uniwersytetu w Kijowie, po rozpędzeniu Uniwersytetu aresztowany. Śledztwo, bicie, praca przy Białomorkanale, ucieczka, powrót, by w konspiracji sprawować posługę duszpasterską na wsi pod Kijowem, ponowne aresztowanie... W obozie przejściowym we Władywostoku powierza przyszłemu autorowi *Książki o Kołymie* tajemnicę spowiedzi: „Spowiadałem ludzi z grzechu ludożerstwa...”. Opowiada o latach, gdy na Ukrainie miliony ludzi umierało z głodu (78-83).

Modry, zawodowy przestępca i kryminalista, pełen pogardy dla więzień w ZSSR i miejscowego świata przestępczego; staje się „znakomitością łagru”, udziela Krakowieckiemu fachowych rad, jak przetrwać katorgę (106).

Babicz posiada w swoim dowodzie dwanaście nazwisk, należących do sześciu różnych narodowości. Zdołał uciec z więzienia w Ufie i przez całą Rosję pieszo wrócić do Polski. Skazany na karę śmierci, którą zamieniono mu na 25 lat „wychowawczych obozów pracy” (66).



Spotkania z umierającymi odsłaniały autorowi *Książki o Kołymie* jeszcze jeden wymiar zniewalania jakiemu poddany był tam człowiek. Było to zniewalanie, które pozbawiało instynktu samozachowawczego i sprawiało, że umierający zgadzali się na śmierć: „Nie bali się śmierci, z ulgą myśleli o niej, ku niej szli spokojnie i ufnie, pogodzeni z nią, jak z wybawieniem” (208). Krakowiecki nie dostrzega w tej zgodzie na śmierć czynnika łagodzącego, a tym bardziej świadomej gotowości zamknięcia do-

konanego żywota, ale skutek wyniszczenia woli życia, przemocy godzącej w wolność człowieka od pragnienia śmierci. Upomina się o tę wolność, spełniając niejako testament umierającego współwięźnia. Śmierć Łomakina była niezwykłą, bo umierając protestował, nie chciał śmierci, nie godził się na nią. Jak ważne było to spotkanie, mówią te oto słowa — końcowe przesłanie *Książki o Kotymie*:

„I wszystko, cokolwiek napisałem w tej książce, staje się mało ważne. Łomakin mnie nauczył! On mi kazał upomnieć się o piątą wolność człowieka:

O wolność człowieka od pragnienia śmierci!” (208).

WIEK ALEKSANDRA WATA

Więcej niż połowa *Mojego wieku* Aleksandra Wata — tego świadectwa „współistnienia z komunizmem” na przestrzeni ćwierćwiecza — odnosi się do dwuletniego pobytu w więzieniach ZSSR (1940-1941)¹. Ten nieomal cielesny powrót po 25 latach do tury wyzwała w pamięci autora obraz mrowia ludzkiego, dźwigającego brzemień jednostkowych i zbiorowych losów, mrowia przerażającego wielością i różnorodnością trudną do ogarnięcia. Czasami wydaje się, że język nie nadąza za dyktandem nabrzmiałej pamięci, a taśma magnetofonowa, rejestrująca ten „pamiętnik mówiony” jest za wąska. Tej zdawałoby się niekontrolowanej erupcji pamięci towarzyszy jednak wysiłek zmagania się z nadmiarem ludzi, idei, wiar, rozmów, rozbieżnych interesów. Jest to wysiłek szukania sensu tej zbitej w jedną masę wielości, zbitej po to, by unicestwić zapisaną w naturze idei i rzeczy zdolność rozmnażania.

W wielowątkowym, pełnym dygresji opowiadaniu przeżyć więziennych od Zamarstynowa przez Łubiankę i Butyrki do Saratowa ciągle obecna jest refleksja nad ich społecznym, międzyludzkim wymiarem:

„Ogromnie zagęszczone poczucie bytu społecznego było na Zamarstynowie. Jeżeli studiować socjologię, to trzeba siedzieć w więzieniu, właśnie takim jak Zamarstynów. Obnaża się esencja, wszystkie różnice uspołecnień, różne kręgi uspołecnień i różne piętra uspołecnień” (I, 344).

1. A. Wat, *mój wiek. Pamiętnik mówiony*. Przedmowa Czesława Miłosza. Do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa, Londyn 1981, t. I-II, Polonia Book Fund.

Cela więzienna na Zamarstynowie nie jest jednak przykładem typowym, Wat podkreśla jej wyjątkowość w porównaniu zarówno z więzieniami polskimi, jak i rosyjskimi. Wyjątkowość warunków sprawiła — jego zdaniem — że 28 osób na 11 metrach kwadratowych złożyło się w „idealną społeczność”. Polacy stali się wzorową społecznością bezklasową, Ukraińcy świecili przykładem wierności i solidarności, a pomiędzy tymi dwiema grupami narodowościowymi panowała naturalna zgoda („To było jedyne miejsce, gdzie na przestrzeni tych ostatnich lat była naturalna zgoda dwóch narodów”, I, 347).

Cela zamarstynowska pozostanie niepowtarzalnym przykładem społecznego obcowania w przeciwieństwie do panujących w innych więzieniach stalinowskich stosunków społecznych, wyrażających się regułą: „socjalizacja przez desocjalizację”. Nie znaczyło to, że nagle zniknęły tu społeczne i narodowe antagonizmy. Wat podkreśla bezklasowość społeczności celi zamarstynowskiej, w której hierarchie wyznaczały nie majątek, pochodzenie czy wykształcenie, ale stare cnoty jak dobroć, mądrość, umiarkowanie. Wodzem duchowym takiej celi mógł zostać Drobut, robotnik, pepesowiec i działacz związkowy, choć przebywali w niej też pułkownicy. Wat nie popada jednak w euforię, nie ma złudzeń co do tego, jak bardzo społeczeństwo polskie jest klasowe, jakie postawy zakorzenione są w polskiej mentalności. Jest też powściągliwy w ocenie tego przykładu zgody narodów.

„Ukraińcy odnosili się do Polaków z rezerwą, ale z niesłychaną lojalnością. Jesteśmy wrogami, ale nie tu. Tu mamy wspólnego prześladowcę. Stosunek zimny, ale niesłychanie grzeczny. Na ogół nie spoufalali się z Polakami. Ci Ukraińcy to byli antysemita. Ponieważ byłem jedynym Żydem, czyli właściwie też mniejszością narodową, więc jakoś ze mną paru z nich się spoufaliło. Teraz: stosunek Polaków do Ukraińców. Znowu niestety brzydka cecha wychodziła, przymilność — stosunek Polaków do mniejszości” (I, 349).

Stosunek Polaków do mniejszości określa Wat, powołując się na opinię Dostojewskiego, który w tej postawie widział stop przymilności i pogardy: „przymilność, a na boku pogarda, ale bardzo zdyscyplinowana, tylko między sobą, a tak — to słodyczka Polaków dla mniejszości. To samo dość często do Żydów. Wiesz: Żyd, ale porządny człowiek, Ukrainiec, ale porządny człowiek” (I, 349).

Potrzeba wynoszenia się nad innych jest zdaniem Wata szczególnie silna u Polaków i uzasadnia rosyjski stereotyp „*kuczliwowo Polaka*”. Przejawiała się w różnych stopniach nie tylko w więzieniach, ale i później, po tzw. amnestii, szczególnie w stosunku do Rosjan: „nie tylko Polacy, także Żydzi polscy zachowywali się z ogromną arogancją, traktowano ludzi sowieckich jak podludzi. To — mimo woli, to — nawet ludzie bardzo przyzwoici, delikatni, subtelni” (II, 290).

Nie jest to jednak spowiedź z cudzych grzechów. Wat nie ukrywa swojego udziału w tych starych grzechach, które jego wiek doprowadził do monstrualnych rozmiarów. Jeśli jednak *Mój wiek* jest bardziej przesłaniem niż spowiedzią, to m.in. dlatego, że zawiera dzieje przewycięzania pogardy, mściwości, nienawiści. Wiąże się to z nawróceniem na chrześcijaństwo, ale też nie w sposób prosty, zważywszy że moment nawrócenia, określany przez Wata jako „szczytowy punkt” jego życia, podszyty był „diabelstwem, fanatyzmem, nienawiścią” (II, 207). Widzeniu Boga towarzyszy wizja diabła. Jako konsekwencję tego przeobrażenia podkreśla Wat zmianę postawy wobec współwięźniów: „Mam wrażenie, że po tej nocy dopiero stałem się ludzki, umiałem z ludźmi współżyć społecznie. Zmieniłem się, rzeczywiście się zmieniłem. Zmieniłem stosunek do współwięźniów, mniej myślałem o sobie” (II, 207-208).

Impuls do współżycia społecznego ma dla Wata naturę chrześcijańską. Współżycie jest procesem nie mieszczącym się w koleinie stereotypu, raz na zawsze zdobytej wiedzy o bliźnim. By wznieść się ponad ustaloną przez tradycję i własne doświadczenie wiedzę o drugim trzeba tej gotowości, jaką zwykło się nazywać miłością bliźniego.

Także błędne koło polsko-rosyjskich stereotypów bez tego chrześcijańskiego impulsu wydaje się niemożliwe do rozerwania. Rosyjski wzorzec „*kuczliwowo Polaka*” ma swój odpowiednik w polskiej pogardzie dla rosyjskiej uległości i akceptacji cierpienia jako narzuconej konieczności. Oto np. gdy współwięzień Rosjanin radzi Watowi, by przyznał się do wszystkiego, czego wymagają w śledztwie, ten odpowiada arogancko, „z jakąś polską pychą”: „wy, Rosjanie przyznajecie się do wszystkiego, a Polacy nie robią tego. Nie przyznają się do win nie popełnionych. Widziałem, że go to bardzo zabolalo. Myślałem, że z powodu jakiegoś patriotyzmu rosyjskiego” (II, 90). Powodem było jednak co innego: niesprawiedliwość tych oskarżeń wobec sytuacji człowieka w ZSSR. Groza osiągnęła tu bowiem takie rozmiary, że sztywnie i pewnie siebie stosowanie tradycyjnych kryteriów moralnych

może zakrawać na cynizm. Nie chodzi o to, by kryteria moralne miały być dostosowywane do sytuacji, ale by sytuację człowieka widzieć nie tylko poprzez pryzmat reguł. Czytelnik *Mojego wieku* może śledzić, jak dumny i bezwzględny sędzia przemienia się w pełnego współczucia świadka wielkiego nieszczęścia. Nie przychodzi mu to bez oporu:

„Przemoc bolszewików nie mogłaby się utrzymać bez narodowej zgody na zebraczą sakwę i na *tiurmy*: 'idee-siły, wylęgle na Zachodzie z monstrialnego ucisku krzywd i odwetów, w Rosji znalazły ziemię wybraną': tak sobie myślałem urągliwie" (II, 14).

Mocniejsza jest jednak siła perswazji zrodzona w spotkaniach, które niosą tak wiele przykładów zachowania godności, czasem heroicznych, częściej tylko na ludzką miarę. Ale nawet degradacja, jakiej większość nie potrafiła się oprzeć, widziana w kontekście tego „wielkiego nieszczęścia”, nie jest już w stanie wywołać typowej reakcji pogardy. Przełomowa noc nawrócenia przyniosła też „niesłuchanie ostre odczuwanie skórą, całą istotą, wszystkimi nerwami, nieszczęścia milionów rodzin, strasznego nieszczęścia, nie do powetowania. I przez los i przez degradację" (II, 226). To już nie jest doświadczenie z zewnątrz, ale akt poznania od środka, przez skórę, całą istotą. Nie zdobyta tylko empirycznie wiedza, ale objawienie, które jest łaską poznania od wewnątrz sytuacji drugiego, stanie się podstawą nowej, współodczuwającej i solidarnej postawy wobec Rosjan:

„... dawniej Rosją pogardzałem, wywyższałem się, a teraz czułem głęboką sympatię dla Rosjan. To znowu jest paradoksalne, bo właśnie w poniżeniu oni w porównaniu z Polakami brzydko się zachowywali. Nie mówię o inteligencji, zwłaszcza o pisarzach, ale trzeba porównać lud polski, który nie dał się tak zdegradować i lud rosyjski, który dał się tak zdegradować. Jednak moja sympatia sła, może jest to i naturalne, właśnie do tych Rosjan. Gdy słyszałem w Oborach czy gdzie indziej tych szczeniaków, którzy wracali z Moskwy, już po powrocie Gomułki, tych samych którzy przedtem byli 'pryszczatymi', odzywających się z pogardą o rosyjskich pisarzach i o młodzieży, krzyczałem na nich: nawet cienia tego nie przechodziliście, a jak prędko degradowaliście się. Nawet cienia nie widzieliście tego teroru, który tam był" (II, 226).

Długi jest indeks osobowy *Mojego wieku*, niezliczone świadectwa spotkań i zdarzeń, tyle zadziwiających pamięciowych stenogramów odbytych rozmów. Wat nie zamierzał jednak — jak podkreśla w przedmowie Czesław Miłosz — być kronikarzem, ta „rekapitulacja” jego wieku jest przede wszystkim poszukiwaniem ukrytej treści zdarzeń. „Kształt nadany myśli Marksa w Rosji był dla niego — pisze Miłosz — dotykającym objawem wyroków do odcyfrowania, plag ściągniętych na siebie przez całą ludzkość” (I, 10).

Wat odcyfrowuje te wyroki nie tylko rozumem, nie tylko kanałami empirycznie dostępnej wiedzy. Odczytanie pełni wyroków dokonuje się w świetle objawienia. Ono pozwala przeniknąć do ocalonego, ukrytego we wnętrzu drugiego człowieka sensu dziejów i odnaleźć też w sobie wiarę w istnienie dobra, które przewyższa pozornie tylko i czasowo tryumfujące siły zła. Analiza źródeł i mechanizmów komunizmu prowadziła wprawdzie do wniosku, że „przyszłość należy do imperium Stalina i to w gradacji coraz bardziej rygorystycznej” (II, 347). Ale:

„Ale takich perspektyw ani ja, z moimi przeżyciami religijnymi, ani Tajc, którego ateizm przeszedł przez wszystkie próby i zahartował się w torturach, nie mogliśmy dopuścić, po prostu nie mogliśmy. Obydwaj, każdy na swój sposób, przeżywaliśmy, nie myśląc o nim, ontologiczny dowód istnienia Boga św. Anzelma z Canterbury: Trzeba, by istniało dobro najwyższe, a przeto istnieje” (II, 350).

KAZACHSTAN

Wiosną 1942 roku dwie młode dziewczyny, Polki, spotykają w kazachskiej wiosce Bułak syna powstańca z roku 1863. Pokazuje im pamiątki po ojcu, m.in. różaniec i wiszący na ścianie pociemniały i zniszczony obraz Matki Boskiej z Kalwarii Zebrzydowskiej. Gdy żona, Rosjanka, podaje bliny ze śmietaną, on opowiada historię Kazachów. W niecałe czterdzieści lat później Instytut Literacki w Paryżu powieli to opowiadanie, publikując spisane po latach wspomnienia jednej z tych dziewcząt:

„Kazachowie — dawniej po prostu Kirgizi — byli bardzo bogaci, całe lato i ciepłe jesienie spędzali na stepie wraz ze swoimi rodzinami, wędrując ze swoimi niezliczonymi stadami owiec, krów, koni i wielbłądów po pustych, bujnych stepach Azji, w poszukiwaniu pastwisk. Kiedy kazano im osiąść i oddać bydło państwu sowieckiemu — na znak protestu bydło wyrznęli. Zjedli, ile zjeść byli w stanie — reszta się zmarnowała. Zaczęły ich dziesiątkować choroby i głód. Władza sowiecka czekała. Ci, co przeżyli — nie mieli wyjścia: osiedli na stałe w swoich zimowiskach. Na lato jedynie przenoszą się do jurt, w których można zobaczyć resztki dawnych bogactw: wspaniałe, grube, haftowane wołoki, piękne srebrne i porcelanowe naczynia, misternej roboty srebrne pierścienie, zausznicze i bransolety na rękach i w uszach szczupłych, milczących, delikatnych kobiet” (99-100)¹.

Kazachstan jest miejscem spotkania wydziedziczonych. Czas

1. M. Januskiewicz, *Kazachstan*, Paryż 1981, Instytut Literacki.

spotkania: kwiecień 1940 - marzec 1946. Opowiada o nim wywieziona jako kilkunoletnia dziewczyna z matką i sześciorgiem młodszego rodzeństwa z zajętego przez Rosjan miasteczka na wschodnich ziemiach Polski pewnej nocy, gdy spokojny sen dzieci przerwany został wyrokiem: „*Sowietskaja własť prisuż-dajet was k' pieriesieleniju na dalnyj Wostok*”. Jedyną winą tej cieszącej się autorytetem nauczycielki było aresztowanie ojca, oficera Wojska Polskiego, który — jak się później okazało — skazany został na 25 lat obozu karnego „za działalność kontrrewolucyjną i wrogość w stosunku do Związku Radzieckiego” (66). Mogli zabrać ze sobą po 100 kg bagażu na osobę, enkawudysta radził spakować jak najwięcej ciepłych rzeczy. Należeli do milionowej rzeszy Polaków wywożonych z ojczyzny w pierwszych miesiącach drugiej wojny światowej na wschód. Żołnierze pomagali przenieść rzeczy do samochodu i później do bydłowego wagonu. Trwała wojna i zarazem rewolucja. Siły zbrojne ZSSR przynosiły Polsce rewolucyjne przemiany, zmieniając strukturę społeczeństwa — bydłowe wagony unosiły w głąb ZSSR wyrwane z narodu żywe jego tkanki.

Po dwóch tygodniach podróży obudzą się na bezmiernym, pustym stepie. Żołnierze pomagają wyładować z wagonu bagaże, matka pociesza płaczące dzieci przerażone obcym krajobrazem, nad którym świeci blade zauralskie słońce: „Musimy być silne. Spójrzcie, ziemia i nawet rośliny wszędzie są jednakowe. Taka szara trawa rośnie i u nas w suchych, słonecznych miejscach, a takie same żółte kwiatki pięciornika i u nas o tej porze zaczynają kwitnąć” (19).

Kraj zamieszkały przez wielobarwną społeczność wita nowych zesłańców narzucającą się szarością. Może ta szarość symbolizuje wydziedziczenie, które jest przecież odcięciem również od źródła odnawiającej się barwy?

Mieszkają tu Rosjanie, głównie potomkowie zesłańców z czasów carskich lub kolonizatorów i potomkowie rdzennych Sybiraków z plemienia Mordwa, mieszkają skupieni w swych wioskach niby rezerwach Kazacy, a także Ukraińcy, przesiedleni karnie lub dobrowolnie na początku wieku, mieszkają rodziny wysiedlonych z Kaukazu Inguszków i Czezeńców, Polacy — potomkowie powstańców z XIX wieku i wywiezieni w 1936 roku z zachodniej, graniczącej z Polską Ukrainy, nieliczni Żydzi, Białorusini, Koreańcy, Tatarzy, Azerbajdżanie, rodziny o pochodzeniu niemieckim z Odessy i Donbasu.

Wydziedziczenie jest pozbawieniem prawa do dziedziczenia. Są jednak takie wartości i takie dziedzictwo, których żadne pra-

wo ani bezprawie nie może człowieka pozbawić, jeśli tylko sam się ich nie wyrzeknie. Jest to dziedzictwo duchowe, jakie przeszłość ciągle zapisuje w testamencie nowonarodzonemu. Niestety, które pozbawia człowieka dziedzictwa jego naturalnego i kulturowego środowiska, zagraża również temu określającemu tożsamość dziedzictwu duchowemu, dla którego czas wygnania jest czasem wielkiej próby. Dla zesłanych do kołchozów Kazachstanu była to w dodatku próba głodu i chłodu, walki o biologiczne przetrwanie, próba niewolniczej pracy i coraz to załamującej się nadziei, próba chorób, pogardy i wrogości.

Nasuwa się pytanie, co ostało się wobec tej próby z owego duchowego dziedzictwa przywożonego na ziemię wygnania przez przedstawicieli tak wielu narodów? Gdy w dokumencie, jakim są wspomnienia Marii Januszkiewicz szukamy odpowiedzi na pytanie, co jest tym dziedzictwem, które w skali całej przedstawionej tu społeczności najwyraźniej broni się i nie poddaje próbom, wówczas jawi się jako ta podstawa *z d o l n o ść s p o t k a n i a*. Człowiek jest istotą zdolną do spotkania z drugim, nawet w warunkach zabijających tę zdolność, spotkania w którym potwierdza swą tożsamość.

Już na początku zesłania rodzina Januszkiewiczów doświadcza brutalności tego środowiska, urządzanego jakby na przekór ludzkiej potrzebie spotkania. Gdy wioząca ich ciężarówka zatrzymała się na chwilę przed biurem kołchozu, otoczyła ją gromada mieszkańców, przyglądających się „*panom z Polszy*” z wrogą ciekawością. Na drugi dzień po zakwaterowaniu, gdy matka zapytała przewodniczącego kołchozu o możliwość przeniesienia do bardziej odpowiedniego pomieszczenia, otrzymała taką odpowiedź: „Nie oczekujcie tu wygod, jesteście przecież *wragi naroda* i was na to *zdieś priwieźli, sztoś wy podochli*” (23).

Powoli jednak, gdy mieszkańcy wioski przekonują się, że nie mają do czynienia z wrogami ani też z ludźmi stroniącymi od pracy, ta początkowa niechęć i wrogość zaczynają ustępować. Zapowiedzią tego jest już sposób, w jaki gospodarz zareagował na narzuconych mu gości i tłumy przychodzące oglądać „*panów z Polszy*”:

„W tym dniu wrócił gospodarz, Paweł Osipow. Obawialiśmy się go bardzo, gdyż na fotografii, wykonanej przez jakiegoś 'artystę' z rejonu, miał odstraszący wygląd i był dla nas uosobieniem bolszewika. Okazało się jednak, że był to całkiem porządny i łagodny człowiek. Miał ponure

życie — jak wszyscy w tym kraju — i rysy twarzy układały mu się w posępny grymas. Zaskoczony trochę 'gośćmi', pogodził się szybko z losem. Na drugi dzień wygnał ciekawskich, mówiąc do nich: *'Szto eto, ludiej nie widieli?'* Baby, wynoście się do domów, popatrzcie, te przyjechały i zaraz coś robią. A wy co..." (24).

Maria Januszkiewicz nie pomija w swoich wspomnieniach przykładów doznanej krzywdy, niechęci, braku życzliwości. Są one jednak nieliczne — przeważają spotkania, w których ujawniają się cechy wprost przeciwne. Trzeba tu podkreślić, iż były to spotkania w dużym stopniu wypracowane przez tę rodzinę, jej otwartością wobec drugih, chęcią niesienia pomocy, pracą matki i dzieci, nie tylko z myślą o zabezpieczeniu własnej egzystencji, ale i wysiłkiem obrony zdegradowanego sensu pracy. Gdy na skutek głodu wybucha epidemia tyfusu brzuszego i w szpitalu brakuje personelu, matka zgłasza się do pracy jako pielęgniarka. Marysia zdobywa samodzielnie fach szewca i zduna, staje się cenionym fachowcem, zyskuje szacunek i wdzięczność władz i mieszkańców kołchozu.

Oto kilka cytatów, obrazujących atmosferę tamtych spotkań:

„Po szczęśliwym ocaleniu matki i córki od niechybnego utonięcia w czasie letnich roztopów cała wieś przychodziła oglądać niedoszące topielice. Niektórzy przynosili nawet drobne prezenty: parę jaj, litr mleka, kilka pierożków, pół bochenka chleba. Wszyscy we wsi byli już z nami zaprzyjaźnieni. Mama dużo szyła, dziergałyśmy na zamówienie swetry, wyszywałyśmy chustki, pomagaliśmy w robotach ogrodowych, chodziliśmy razem z nimi do roboty w polu latem i na *śniegozadierzanie* w zimie, a także na wyprawy po słomę. Dużą rolę w ukształtowaniu się stosunku mieszkańców Awierjanowki do naszej rodziny odegrała również nasza stała walka z przeciwnościami i niepoddawanie się losowi. Ta niewielka społeczność, żyjąca w nieludsko trudnych warunkach, pozbawiona sentymentów i uczuć miłosiernych, umiała docenić naszą nieustępliwość w poszukiwaniu wyjścia z trudnych sytuacji, nie opuszczając nas — pomimo wszystko — pogodę ducha i niezwykłą życzliwość naszej Mamy w stosunku do ludzi" (71).

Na początku roku 1943 przyszedł nakaz wymiany dokumentów, otrzymanych wcześniej po umowie Sikorski - Stalin. Było

to kolejne załamanie się nadziei na rychłe uwolnienie. Polacy protestują, nie chcą oddawać polskich paszportów. Organa NKWD zatrzymują wszystkich opornych, stosując wobec nich różnego rodzaju perswazję:

„Pilnujący nas strażnicy — miejscowi i mieszkańcy — zmieniali się co kilka godzin. Byli przerażeni i milczący. Wszyscy nas tu dobrze znali, razem z nimi chodziliśmy do pracy i na nocne wyprawy po kartofle na kołchozowe pola, czy po kłosa, przegadywaliśmy zimowe noce w wiatrakach, czekając na kolejkę zmielenia nie zawsze legalnie zdobytej pszenicy, dzieci polskie chodziły do szkoły z dziećmi miejscowymi i grały w dni wolne od zajęć i pracy w różne szalone gry, toteż stosunek mieszkańców Korniejewki do nas uległ w czasie tych kilku lat wielkiej zmianie. Nikt nas tu już nie nazywał *wragi naroda*, czy 'burżu', traktowali nas jak swoich sąsiadów: bez serdeczności — tej już ich dawno oduczyły okrutne życie i nędza — ale i bez wrogości. Teraz — nieproszeni — przywozili nam kiziak do palenia w piecu, żebyśmy nie zmarzli i pozwalali nam dostarczać jedzenie z domów” (123-124).

W czasie ciężkiej choroby Marysi siostra jej idzie prosić przewodniczącego kołchozu o przyznanie dla chorej litra mleka dziennie:

„Kiedy Kasia weszła do jego biura, był u niego jakiś gruby interesant, który przysłuchiwał się, z jaką ciekawością połączoną ze współczuciem przewodniczący kołchozu Jużnoje wypytuje o zdrowie kogoś z Polaków. W końcu zapytał: 'A kto to choruje?' — Aresztowicz na to: 'Polka, dziewczyna, murarz — zresztą znasz ją, bo u ciebie w MTS piec budowała w październiku. A teraz jest taka chora, że nie wiadomo, czy przeżyje!' — Na to ten gruby: 'A szkoda by było, bo ten piec, który ona postawiła, jest najlepszy ze wszystkich czterech, jakie wtedy u nas zbudowano!' — I jeszcze rozmawiali o piecach w szkole, ale już Aresztowicz wypisał tę kartkę na mleko...” (184).

Były też i takie dialogi, w których objawiała się mądrość i wrażliwość rosyjskiego ludu, a także troska o losy innych, dobywająca się z głębi własnych doświadczeń:

„Był on [Mikołaj Antimow] mądrym człowiekiem, by-

wałym w świecie, pobożnym i uczciwym. Lubił rozmawiać z Marysią, kiedy budowała u niego w domu piec, a potem chodziła odbierać zarobione mleko. Pytał ją o warunki życia w Polsce i o wszystkie jego przejawy. Kiedyś powiedział: „Wygłada na to, że nasi (Czerwona Armia) zajmą wasz kraj. Biedni wy będziecie, biedni! Patrz, co oni z naszym narodem zrobili! Oduczili naszych ludzi uczciwie pracować! Wszystko się opiera na złodziejstwie i oszustwach. Jedni drugich już oszukują i okradają, nikomu wierzyć nie można. Jeżeli nasi u was dłużej posiedzą, to i z waszym polskim narodem będzie to samo: wasi ludzie też się oduczają prawdziwej pracy..” (140-141).

Matka cierpliwie uczyła nawiązywania dialogu w sytuacjach, gdy wydawało się to niemożliwe, godziła zwaśnione rodziny, pośredniczyła w konfliktach między Polakami a miejscową ludnością, potrafiła wzbudzić szacunek sąsiadów i władz. Oto jeden z epizodów życia codziennego a zarazem przyczynek do jej portretu. Zaprzyjaźniony żołnierz, Azerbajdżanin, przyprowadza swego dowódcę:

„Wasia Siennikow, młody człowiek spod Moskwy, zaraz po przywitaniu zapytał Mamę: *Tiotia, kak wam nrawitsia sowietskaja vlast'*? — Myśmy oczywiście ryknęli chóralnym śmiechem. Wasia się speszył, ale Mama mu poważnie odpowiedziała: 'Pomyśl Wasia, jakby ci się podobało, żeby do twego kraju, do twojego miasta, przyszły obce wojska, zniszczyły wszystko, co twoje państwo stworzyło, zajęły waszą ziemię, ojców rodzin aresztowały, a twoją matkę i rodzeństwo wywiozły daleko od domu, do obcego kraju, bez rzeczy, bez możliwości pracy i wyżywienia się?' — Wasia zastanowił się chwilę i powiedział: 'Masz rację ciocia — pewnie by mi się nie podobało' — ale już nam więcej takich pytań nie zadawał, natomiast interesowało go wszystko z naszego — tamtego — życia” (88).

Wiele miejsca w swoich wspomnieniach poświęca Maria Januszkiewicz Inguszom i Czeceńcom z Kaukazu, których kilkanaście rodzin przybyło w marcu 1944 roku do tak odmiennego i obcego im świata. Zupełnie nie przystosowani do życia w tych warunkach, wyrwani z łagodnego klimatu, z gór, oderwani od bliskich, jedyną pociechę znajdowali w tej cząstce własnej narodowej kultury i religii, jaką przynieśli ze sobą.

„Wieczorami na topniejącym śniegu rozkładali swoje modlitewniki i odprawiali rytualne modły w stronę zachodzącego słońca. Wkrótce zaczęły im umierać dzieci i starzy ludzie. Przybysze ci, rozmieszczeni w domach razem z miejscową ludnością, źle mówiący po rosyjsku, powodowali konflikty i starcia przez samą swoją inność...” (138).

Stopniowo jednak, dzięki dobrej woli zarządu kołchozu oraz mieszkańców wnioski, którzy pamiętając swe niedawne początki w tym kraju, chcą zagubionym przybyszom oszczędzić tragicznych przeżyć, rodziny Inguszów i Czezeńców przyzwyczajają się po mału do nowych warunków. Rodzą się przyjaźnie, czasem tylko zakłócanie gwałtownym temperamentem ludzi południa. Jedna z dziewcząt, Marysia, zaskarbiła sobie ich zaufanie i przyjaźń, budując im piece i służąc pisaniem i odczytywaniem listów. „Zapraszano ją na uroczystości rodzinne i obchody świąt mahometańskich, podczas których śpiewano poważne, smutne i jednostajne, ale melodyjne pieśni-modlitwy” (152). To właśnie u Inguszów rodzina Januszkiewiczów znalazła schronienie w krytycznym momencie utraty mieszkania. Różnice kulturowe nie ułatwiały współżycia, zarazem jednak wierność rodzimej kulturze i religijność prowadziła do spotkań i były to spotkania, w których na przekór siłom wydziedziczającym, objawiało się zachowane dziedzictwo pokoleń.

Zdumiewająca jest gorliwość religijna tych modlących się w różnych językach mieszkańców Kazachstanu, gdzie religijne i duchowe potrzeby człowieka nie znajdowały zrozumienia u władz. O ile religijne praktyki przybyszów z Kaukazu nie napotykały na przeszkody (przynajmniej we wspomnieniach Januszkiewicz), to chrześcijanie — rzymscy i prawosławni — często muszą ukrywać swoją wiarę. Mimo to, nawet tam, gdzie miejscowe władze tępią religię ze szczególną bezwzględnością, wiara nie ginie i trwa — również w dostosowanej do warunków formie praktyk:

„Nowonarodzone dzieci chrzczono po kryjomu w nocy, modlono się przy zmarłych, znano daty świąt ruchomych, przechowywano ikony i medaliki. Ojciec naszej dawnej gospodyni — Mikołaj Antimow — pokazał Marysi schowane u niego obrazy z cerkwi” (140).

Ale bywały też wioski, w których władze wykazywały szacunek dla religii i nie utrudniały modlitw i nabożeństw. Taką wsią była ostatnia z czterech, przez które przeszła rodzina Januszkie-

wiczów. Autorka wspomnień zwraca uwagę na fakt, iż charakterystycznym zjawiskiem w życiu tej wsi było zachowywanie praktyk religijnych:

„W domach wisały na ścianach polskie święte obrazy, ludzie mieli stare polskie książki do nabożeństwa, różańce, śpiewniki kościelne. Obchodzono uroczyscie roczne święta, znano daty świąt ruchomych, przechowywana troskliwie woda święcona, przywieziona z kościoła na Ukrainie, coraz bardziej rozcieńczona, służyła do udzielania chrztu dzieciom, kropienia zmarłych, święcenia potraw na Wielkanoc (...). W każdą niedzielę zbierały się kobiety (a i mężczyźni czasem zaglądali) w którymś domu na modlitwy. Przewodniczyła im zwykle starsza kobieta, pani Komorowska, otoczona powszechnym szacunkiem. Odczytywała ona 'modlitwy w czasie mszy świętej' ze starej książki do nabożeństwa, znała kolejność czynności przy udzielaniu chrztu, modliła się przy zmarłych, do niej po błogosławieństwo przychodzili młode pary, idące do tzw. rejestracji w urzędzie” (171).

Rodzina Januskiewiczów opuściła Kazachstan w marcu 1946 roku, udając się do Polski w transporcie tysięcy innych, wywiezionych na początku wojny, o których zabiegał Związek Patriotów Polskich. Nie wszyscy Polacy opuszczali Syberię, nikt nie upominał się o tych — a jeśli nawet to bezskutecznie — których nieszcześnie wcześniej zagnało na tę ziemię, którzy przez tyle lat pełnych prześladowań nie stracili wiary, zachowali język i tradycję, przekazując to dziedzictwo swoim dzieciom. Opowieść o spotkaniach w Kazachstanie zamyka scena odjazdu. Niezwykła to scena. To również spotkanie: w bólu rozdarcia, ponad przepaścią nie do pokonania, spotkanie nie do powtórzenia:

„Wszyscy Polacy, cała wieś Južnoje szła z nami po śniegowej drodze. Step, pokryty twardą skorupą zmarznętego śniegu, lśnił w popołudniowym, czerwieniejącym słońcu. Idąc śpiewaliśmy wszyscy polskie stare pieśni: 'Serdeczna Matko...', 'Zdrowaś Maryja...'. Tak doszliśmy wszyscy do cmentarza i do pamiętnego krzyża. Polacy z Juznego uklękli na śniegu. Wyciągnęli do nas ręce. Wielki szloch wstrząsnął nimi i nami! Za chwilę myśmy odjechali na Zachód, na męczącą podróż do kraju, a oni zostali, klęcząc na śniegu, mała, zagubiona, czerniejąca na białej pustyni garstka płaczących Polaków!” (188).

KAZACHSTAŃSKIE NOCE

Kazachstańskie noce Herminii Naglerowej to cykl opowiadań, jeden z pierwszych literackich raportów o więziennych i obozowych przeżyciach Polaków w ZSSR czasu drugiej wojny światowej¹. Literackość tego dokumentu sprawia czasem wrażenie nieodpowiednio dobranego kostiumu czy też niepotrzebnego retuszu słów, np. gdy w opisie ucieczki z obozu znajdzie się zdanie: „Palba karabinów okłaskiwała rozrzutnie jakąś scenę, którą odgrywał samotny człowiek” (110).

Jeśli upieranie się przy swym stylu w opowiadaniu zdarzeń, które do niego nie przylegają sprawia wrażenie jakiejś niestosowności, nie zawsze winę musi ponosić pisarz. Czemu nie winić tej odmiany losu, która naraża go na śmiech czy drwinę, gdy chce pozostać wierny swemu charakterowi?

Pełną przedsiębiorczości w niesieniu pomocy współwięźniom i buntującą się przeciw warunkom obozowej egzystencji bohaterkę opowiadania *Chaplin w łagrze* spotykają upokorzenia nie tylko ze strony władz. Drażni kontrast między jej godną pożałowania i komiczną powierzchownością a rzucającą się w oczy energią niezłamanego poczucia godności. Jest świadoma tego kontrastu, świadoma, że weszła w chaplinowską rolę. Porzuci ją dopiero, gdy zrozumie jej niestosowność na tej scenie. Symbolicznym niejako rekwizytem są tu za duże, ciężkie buty gumowe, z którymi w końcu się rozstaje:

1. Herminia Naglerowa, *Kazachstańskie noce*, Londyn 1958, KOW „Veritas”. Książka ta zawiera opowiadania wydane w roku 1945 w Bibliotece „Orła Białego” w Rzymie pt. *Ludzie sponiewierani* oraz drukowane w „Wiadomościach” (1947, 1948) literackie sprawozdania ze śledztwa i pobytu w celach więziennych po aresztowaniu we Lwowie w styczniu 1940 r.

„Kiedy jednak następnego dnia z powrotem włożyłam moje zamarstynowskie pantofle, Marta uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie: — 'Tak będzie lepiej'. — Mądra i rozumiejąca powiedziała i to jeszcze: — 'Nie będziesz się już buntowała, ani laża w oczy komu nie trzeba'. — Nie wiem, czy mówiąc tak, pojęła wszystko. Czy wiedziała, jak ja wiedziałam w tamtej chwili, że pierzchła magia tych śmiesznych butów i że nie podejmę już niczego, pozbawiona tej śmieszności tak przedsiębiorczej, że aż nieznośnej w tym świecie sponiewieranych ludzi” (81-82).

W ten świat sponiewieranych ludzi Naglerowa wchodzi pełna przedsiębiorczości literackiej, która jednakże załamuje się i oto jej opowiadania stają się przede wszystkim zapisem spotkań. Tak na planie narracji zdaje się odzwierciedlać to doświadczenie, o którym mówi opowiadanie *Chaplin w łagrze*. Nie jest to oczywiście sprawozdanie, ale kompromis między beletrystycznym charakterem narratora a tym jego osobistym doświadczeniem, które dyktuje pokorę i ascetyzm środków.

Przez *Kazachstańskie noce* przewija się długi szereg postaci, które łączy to, że się nie poddają i na różne sposoby bronią swej godności. Narracja skupiona jest na drugim, w taki sposób, że odzwierciedla atmosferę wspólnoty, w której forma oporu nie jest już sprawą wyłącznie osobistą. Świadczy o tym również żarliwość, z jaką narrator kreśli sylwetki towarzyszy niedoli. Oto jedna z nich:

„Z ukraińskiego kułactwa zesłana na Kamczatkę wraz z mężem, znowu zawiniła dostatkiem, wypracowanym po latach w rybackim trudzie. Opowiadając o srogich zimach kamczackich, o burzach morskich, o stadach psów pociągowych, stawiała się patetyczna w swojej prostocie. Jej opalona, pobrużdżona twarz, jej jasne oczy były jak piękna, królewska jesień. Ale Marfa była przede wszystkim rozumiejąca i mądra. Bolesnym i drwiącym uśmiechem przeciwstawiała się temu światu, który poniżał i gnębił. Mówiąc o swoich psach, jakby poprawiała ten zły ludzki świat. Kiedyś objęła mnie i przytuliła do siebie. Jej odzież pachniała jeszcze psami i rybami morskimi” (71).

Stosunki międzyludzkie, które są w centrum narracji, odznaczają się dużą różnorodnością i rozpiętością uczuć. Naglerowa

również w tym sposobie wzajemnego traktowania się szuka śladów osobistych dramatów swych towarzyszek niedoli. W noweli *Kazachstańskie noce* jedną z głównych postaci jest Natasza, która pełniąc funkcję więźnia-agronoma mieszkała samotnie w izdebce obok składu trucizn. Jako nocny stróż owego magazynu, Naglerowa zbliżyła się do Nataszy, choć ta od początku wykazywała powściągliwość ze względu na „obcość narodową” Polki. Natasza była komunistką, pozbawioną wolności za jakieś bliżej nieokreślone odchylenia ideowe oraz za podobne przestępstwa swego męża. Naglerowa pomija jednak ten wątek, te sprawy „niepojęte”, by skupić się na tym, co bliskie i dostępne bezpośredniemu doświadczeniu.

„W systemie łagrowym, choć wszystko odbywało się na jednakowej płaszczyźnie nadmiernej pracy, głodu i sponiewierania, istniały jednak różnice i hierarchie. Toteż inżynierka Natasza okazywała mi swoją łaskawość słowem i gestem właściwym osobom wyżej postawionym. A może tak właśnie — powściągliwie i oficjalnie — objawiał się jej beznadziejny smutek po niespełnionych zamiarach nauki i pracy, po zawiedzionych uczuciach i zgaszonych ogniach osobistego życia” (113).

Spotkania z Nataszą pomagały też przezwyciężyć niebezpieczeństwo egotyzmu, w jaki łatwo zagłębia się człowiek pozbawiony wolności. Zagłębianie się w przeszłość dla ratowania swojego „ja” wzmacnia tylko — zdaniem Naglerowej — proces utraty sił duchowych i fizycznych; tak właśnie „kona powoli, uporczywie walcząc o swoje przebrzmiałe ‘ja’, sowiecki łagiernik” (113). Naglerowa przeciwstawia tej ucieczce w przeszłość obecność w świecie zaludnionym i troskę o innych.

„Natasza zaludniła mój nocny, księżycowy, gwiazdny albo zaciemniony świat nie tylko sobą. Odwiedzali ją niekiedy znajomi, których także usiłowałam rozpoznać ze słabości oznak życia. W skojarzeniach tłumaczyli się wyraźniej, a nabierając znajomych mi cech ludzkich, budzili współczucie. Nie wiedząc o tym, stali się moją troską i niepokojem” (113-114).

Izbę Nataszy często odwiedzała Szura, młoda aktorka, która przynosiła ukradzione jarzyny i przy zamkniętych drzwiach recytowała poezję.

„Czasem mogłam uchwycić dobiegające do siebie rymy, czasem krzyknęło słowo protestem albo rwało się płaczem, aby potem powoli i długo zamierać, jak człowiek umęczony torturą. Bywały jednak i zwroteczki pełne czułości, młodziutkie, kapryśne, kolorowe” (114).

Pewnej nocy przy magazynie jarzyn rozległ się krzyk trwogi, a po nim sześć strzałów i długi jęk kobiety. Tak umarła młoda aktorka Szura, która nie mogła pogodzić się z tym co przepadło. Ludzie umierają tam dwa razy — pisze Naglerowa — najpierw kończą życie na wolności, a potem to drugie, obozowe, po którym ma nie zostać żadnego śladu. („Zakopawszy ciało, przydeptują płasko ziemię, żeby nie było znaku”, 105). A jednak *Kazachstańskie noce* są bardziej świadectwem życia niż umierania i gdy rozlega się strzał, jest on nagły i niespodziewany, a gdy w obozowym szpitalu kona stary, schorowany profesor Wasilij, zalega cisza, a zawieszane na szybach paciorki stają się niebieskie jak łzy płaczących aniołów (104).

NA MONGOLSKICH BEZDROŻACH

„Trzeba obserwować najdokładniej, skoro jesteśmy tu nie w charakterze widzów podróżników, ale w stokroć rzadszym dla Europejczyków położeniu członków miejscowej społeczności. Możemy więc od wewnątrz widzieć Mongołów w centralnej Azji ruszających wiosną na koczowiska”¹.

Wspomnienia Magdaleny Dubanowiczowej mogą stanowić cenny materiał dla etnografa i antropologa, tak wiele miejsca poświęciła w nich autorka ziemi zesłania oraz jej mieszkańcom. Wartość poznawcza tego materiału nie ogranicza się jednak do inwentarza poczynionych obserwacji. By ją w pełni odczytać trzeba wziąć pod uwagę całość zawierającego się w tych wspomnieniach doświadczenia. Bo podstawowym faktem antropologicznym, którego dokumentację stanowią wspomnienia Dubanowiczowej jest spotkanie, będące wynikiem oddania w niewolę podbitym i zniewolonym mieszkańcom Azji przedstawicieli kultury europejskiej. „Niewolnicy niewolników” — tak określa Dubanowiczowa sytuację 540 Polaków skazanych bez sądu za nie nazwaną i nigdy nie ujawnioną winę na 5 lat ciężkiej pracy w sowchozie Myn-Bułak w Kazachstanie, 200 km od granicy chińskiej.

Wywieziona została ze Lwowa w kwietniu 1940 roku wraz z mężem Edwardem, profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, posłem na Sejm Ustawodawczy, trzema córkami w wieku 14, 16 i 17 lat oraz siostrą z dwójgiem małych dzieci. Po 15 miesiącach niewoli i półrocznym pobycie w Ajaguzie, gdzie prof. Dubanowicz pełni funkcję męża zaufania polskiej ambasady,

1. M. Dubanowiczowa, *Na mongolskich bezdrożach. Wspomnienia z zesłania 1940-1942*, Londyn 1980, Polska Fundacja Kulturalna (wyd. II poszerzone).

cała rodzina wyjeżdża do Jangi-Jul i wraz z armią gen. Andersa opuszcza granice ZSSR.

Praca przymusowa w tej odmianie niewolnictwa nie zapewniała podstawowych środków utrzymania i przeżycia, była — jak pisze Dubanowiczowa — środkiem zniszczenia przez wysłanie maksimum siły roboczej. Wynagrodzenie za pracę nie wystarczało nawet na zakup przydziału chleba; „że dzięki rozumowi mego męża, moim siłom i przywiezionym, czy nadsyłanym z Polski prowiantom potrafiliśmy przetrwać 15 miesięcy bez utraty zdrowia — to nie ma nic wspólnego z wynagrodzeniem za pracę dla państwa — naszego pracodawcy” (123). Nie jest też skłonna przyznać miejscowej ludności udziału w ocaleniu swej rodziny. Bezinteresowna pomoc była zjawiskiem rzadkim, można było natomiast kupić żywność i opał, pozbywając się zapasów odzieży, czy w zamian za herbatę.

„Ludzie, którzy z nami żyli na Karantynie wiedzieli, w jakich znajdujemy się warunkach: że nie mamy gdzie wysuszyć przemokłych przy pracy ubrań, że nie mamy gdzie zgotować jadła, że małe dzieci chorują z zimna, że musimy spać w lodowatym cieletniku. A jednak ani miejscowi, ani 'naczalstwo' w Aji nigdy się o nas nie zatroszczyli. Mogliśmy zginąć, najpierw małe dzieci, potem my wszyscy — nikogo nic to nie obchodziło. Przecież niewątpliwie po to nas przywieźli na Karantin” (59).

Powodów takiego traktowania przybyszów dopatruje się autorka przede wszystkim w odmienności cywilizacyjnej, która ukształtowała inne prawa i obyczaje, inny niż w Europie stosunek do drugiego człowieka, do życia ludzkiego. Wpływ antypolskiej propagandy można było stopniowo przezwyciężyć, natomiast różnice kulturowe trzeba było po prostu zrozumieć: „taki to świat, takie prawa, takie obyczaje. Im ktoś jaśniej to widział i prędzej rozumiał, tym więcej miał szans do przetrwania” (59).

Ludność miejscowa to zbieranina Tatarów, Turańczyków, Uzbeków, Buriatów i innych mieszkańców Azji, przeniesionych w te strony po upaństwowieniu ziem w roku 1930. Rosjanie nazywają ich Kazachami, nie wszyscy oni należą jednak do odwiecznych mieszkańców tych ziem. Dubanowiczowa nazywa ich najczęściej Mongołami, budzą w niej „poczucie odrębności o wiele głębsze od tego co wyraża słowo 'obcy'” (260). To poczucie obcości wobec rasy i kultury nie przesądza jednak o jakości zwykłych międzyludzkich spotkań:

„Usadziła mnie na wojłoku i rozpoczęliśmy dziwną rozmowę po kazacku i na migi. Ucząc mnie lepić tatarskie pierogi zapewniała stanowczo, że ona jak my wierzy w Allacha — Jedyne Boga. (...) Cóż byśmy sobie powiedziały, gdyby nie przedział nieprzebyty obcej mowy. Łączyła nas wiara w Jedyne Boga i tragiczny los z rąk tych samych wrogów. Mnie dosięgli w centrum Europy, ją w górach na rubieży Sin-Kiang. Kazaczka patrzyła na mnie spokojnie siedząc na polepie nędznej chaty, ona, córka i żona potężnych władców.

Przed siedmioma wiekami moich przodków zagnali w te strony w jasyr jej przodkowie. Dziś dzieliliśmy jednakowe losy...” (103).

Konfrontacja kultur była czynnikiem wnoszącym do wzajemnych stosunków jakiś ludzki pierwiastek, łagodzący okrucieństwo stalinowskiej wersji ról pana i niewolnika. Rodziło się wzajemne zainteresowanie, czasem wręcz fascynacja odmiennością. Łączyła wiara w jednego Boga, pamięć przeszłości, tęsknota za wolnością, zdolność rozpoznania i uszanowania tego, co u obcych jest oznaką dostojęstwa. To wszystko na marginesie walki o przetrwanie i ciężkiej, niewolniczej pracy.

W rodzinie Dubanowiczów pracowały tylko córki, 61-letni ojciec zwolniony był z obowiązku pracy w sowchozie, matka zajmowała się gotowaniem i zdobywaniem żywności. Mając do wyboru postanie córek do szkoły lub pracę wybrali, podobnie jak większość Polaków, ciężką pracę fizyczną jako mniejsze zło; w ten sposób bardziej mogli zadbać o ich wychowanie i wykształcenie.

Ciągnący się na przestrzeni 80 km sowchoz Myn-Bułał był też miejscem zesłania dla Rosjan. Wielu z nich pełniło funkcje kierownicze, inni dzielili los polskich zesłańców.

„Największy handel prowadziłam przez pierwsze lato z Rosjanką Olgą (...). Wysoka, jasna blondynka, pochodziła z Ukrainy. Ojciec jej był dońskim Kozakiem. Mówiła nierzeczem zupełnie podobnym do mowy w Małopolsce Wschodniej. Olga nie tuiła swej głębokiej sympatii i współczucia dla Polaków” (91).

Mąż Olgi był jednym z najwyższych miejscowych funkcjonariuszy i nieraz za wstawiennictwem żony pomagał Polakom. Olga nie szczędziła Dubanowiczowej dobrych rad, potrafiła też bez-

interesownie pomóc. Kobieta, która w krytycznym momencie wyciągnęła pomocną dłoń, była inna Rosjanka, żona pocztowego stróża:

„Biedna kobiecina. Za pracę swoją i męża mieszkali w malutkiej izdebce z dwiema córeczkami, które chodziły do szkoły. W izdebce stało żelazne łóżko, stół, kuchenka, wiadro, garnek i skrzynka z ziemniakami. Byli obdarci, brudni, głodni i przemęczeni. Na piersiach pod suknią nosiła medalik i krzyżyk i wierzyła w Boga. Zesłali ich z europejskiej Rosji. Za co? Nie umiała czy nie chciała powiedzieć” (107).

Wyjazd Polaków po odzyskaniu przez nich wolności zgromadził wszystkich sąsiadów. Ci sami — pisze Dubanowiczowa — którzy przez długie miesiące traktowali ich z pogardą, wydzielali chleb, odganiaли od naczynia z mlekiem, nie ukrywali teraz swego wzruszenia:

„Pomogli ułożyć piramidę tobołków na maleńkim wózku, a potem podchodząc kolejno potrząsali nam ręce, powtarzając życzenia koczowników: 'Koś, koś!' — czyli szczęśliwej drogi. Byli wzruszeni i zakłopotani. Nigdy jeszcze nikt z gurtu nie wyruszył — wolny. Nie mieściło im się w głowach to, co się z nami stało. Pocziwa Tatarka Olima wzięła mnie po prostu za szyję i ucałowała serdecznie” (221).

Na mongolskich bezdrożach: jeszcze jedna relacja z tych polskich odkryć geograficznych XX wieku, kiedy to odkrytych zostało tak wiele dróg do człowieka z innego świata, dróg wciąż trudno dostępnych.

CO SIĘ Z NIMI STAŁO?

„...Kazacy dbają o swoje kobiety i dzieci — są bardzo dobrymi ojcami i w większości wypadków dobrymi mężami. Mają jakiś męski urok, bo parę Polek zostało z nimi w Kazachstanie, a trochę więcej, choć wyjechały z Kazachstanu — w Teheranie urodziły 'Kazaczonka'. Pracowałam w Polskim Szpitalu w Teheranie i widziałam te dzieci Polek z Kazachami — nie można było tego ukryć. Polska krew dostała jeszcze jedną — po tatarskiej — przymieszkę krwi azjatyckiej. Gdzie są teraz te 'Kazaczonki' i co się z nimi stało?”¹

Co się z nimi stało? We wspomnieniach Danuty Tęczarowskiej pytanie to powtarza się kilka razy. Zesłana wraz z matką do Kazachstanu, stara się dalej wykonywać swój zawód lekarski i dzięki temu w sposób szczególny poznaje życie mieszkańców tamtej ziemi.

Zaprogramowaną dyskryminację zesłanych „panów z Polski” neutralizuje nie tylko handel wymienny, ale też kultura, współczucie i bezinteresowna pomoc: „Zaznałam bardzo dużo dobroci i pomocy od ludzi różnych narodowości, tak Polaków jak i Kazachów i Rosjan, bez ich pomocy nie byłabym przeżyła zesłania” (6). Nie brakowało przykrych incydentów, ale ich cień nie sięga tam, gdzie zapisała się w pamięci doznana dobroć.

Gdy po trzytygodniowej podróży transport wyczerpanych i przerażonych kobiet, dzieci i starców dotarł do położonego w stepie kołchozu Ak Bułak, na spotkanie im wyszli pełni godności Kazacy: „Niosą miseczki z mlekiem (jeszcze wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jak nas ugościli) i podają je dzieciom. Widzę, iż paru starych Kazachów ma łzy w oczach, płaczą nad nami” (36).

1. D. Tęczarowska, *Deportacja w nieznane. Wspomnienia 1939-1942*, Londyn 1981, Veritas, str. 121.

Kołchoz nie jest przygotowany do wyżywienia nowych przybyszów. Nie widać tu młodych mężczyzn, panuje wielka bieda i głód. Tylko nieliczni zesłańcy zdolni są do pracy w kołchozie. Istnieje jednak możliwość wymiany zawartości ich bagażu na żywność. Wymiana ta daje również okazję do bliższego wzajemnego poznania, tym bardziej, że Kazacy bronią się przed sprowadzaniem jej do czynności czysto handlowej:

„Kazacy są za dumni, żeby handlować, 'to stepowy wolny naród' i trzeba im dać złudzenie, że przychodzi się do nich na wizytę, a nie po jaja czy mleko. Należy, po pozdrowieniu, kucnąć obok Kazacha, który zwykle siedzi na progu chałupy i... siedzieć w milczeniu aż do czasu, gdy Kazach sam zacznie 'rozmowę'. Czasem trwa to bardzo długo i trzeba mieć dużo cierpliwości. A gdy Kazach coś powie, zwykle łamanym rosyjskim, trzeba podtrzymywać tę rozmowę, wtrącając co parę minut jakieś słowo” (51).

Po trzymiesięcznym pobycie wśród Kazachów Tęczarowska przenosi się do pobliskiego miasta, gdzie zatrudniona zostaje w przychodni lekarskiej. Pobyt wśród Kazachów, a także możliwość porównania ich wioski z osiedlami Rosjan, pozwolił dostrzec rozmiary dyskryminacji i systematycznego niszczenia tego przymusowo osiedlonego, nie przystosowanego do pracy na roli koczowniczego ludu. „Polubiłam ten naród — współczułam im i ciągle współczuję” — pisze, podkreślając życzliwość mieszkańców wioski Ak Bułak wobec polskich zesłańców: „Żaden Kazach nigdy nie skrzywdził mnie ani nie zrobił mi żadnej przykrości i nie słyszałam też nigdy o takim przypadku wśród moich znajomych” (58).

Wyjeżdżając z kołchozu Ak Bułak autorka wspomnień nie rozstaje się jednak z Kazachami. Leczy ich dzieci, co pozwala na nawiązanie bliższych kontaktów. Gdy zostaje nagle zwolniona z pracy, poznana w przychodni nauczycielka przychodzi i ofiaruje swą pomoc:

„Uważam wizytę nauczycielki Kazaczki za jeszcze jeden 'cud' kazachstański. Przyszła do mnie do domu w chwili dla mnie bardzo ciężkiej, podniosła mnie na duchu i natchnęła wiarą w dobroć ludzką. Gdy sytuacja wydawała mi się zupełnie beznadziejna, zjawiała się i ofiarowała mi pomoc. Nigdy jej tego nie zapomnę — mam wobec niej duży dług wdzięczności, którego nigdy nie będę mogła jej spłacić” (93).

Nauczycielka ta, choć jest członkiem partii, zdaje sobie dobrze sprawę z postępującej rusyfikacji, niszczenia kultury kazachskiej i pełna jest troski o losy swego narodu. Opowiada z oburzeniem o niszczeniu i wycofywaniu z bibliotek książek kazachskich, o wprowadzaniu na siłę cyrylicy. Rozmowa schodzi też na temat religii; kwestia istnienia Boga nie została widać definitywnie rozstrzygnięta, skoro wymiana poglądów prowadzi do zgodnej opinii, że „coś musi być nad nami”.

Stosunek do religii charakteryzuje też wymownie sytuacja zesłanego do Georgiewki popa:

„Jako pracę ma za zadanie czyszczenie publicznych ustępów. Tylko w ten sposób może żyć, gdyż nie dostanie żadnego innego zajęcia, a bez zajęcia umrze z głodu. Kłozety tutaj — to doły bez żadnych sanitarnych urządzeń. Pop cuchnie. Jest zupełnie sam, obdarty, ale ciągle w swojej długiej szacie do ziemi. Brudny i cuchnący, budzi u Rosjan wstręt, a we mnie podziw swoją pełną godności postawą. Ten starzec z długą brodą jest ciągle popem, nie sprzeniewierzył się Bogu! Nikt do niego nie mówi, nikt się nie zbliża z obawy przed narażeniem się 'władzy'. Pop jest wyklęty, gorzej niż trędowaty, bo nikt by mu nie podał nawet miseczki z wodą” (70).

Stosunki z Rosjanami nie zawsze układają się pomyślnie. Na płaszczyźnie służbowej są oni często zobowiązani do egzekwowania rozporządzeń dyskryminujących polskich zesłańców. Zdarza się jednak, że sami pomagają przezwyciężyć ich skutki. Tak było np. gdy lekarz naczelny, dr Kuzienkow wydał Tęczarowskiej zakaz wystawiania skierowań do specjalistów, a po kilku minutach przyniósł jej plik skierowań z własnym podpisem: „Nie spodziewałam się, że lekarz-Rosjanin może być taki koleżeński — mógł przecież sam się narazić” (90).

Możliwa jest wzajemna życzliwość i pomoc, gdy występują poważne różnice poglądów; tak np. układa się współpraca z felczerką Anną Sacharową, choć ta nie ukrywa, że chciałaby aby Warszawa — to „śliczne, wesołe miasto”, poznane jeszcze za czasów carskich, „była znowu n a s z a” (64). Inaczej jest z pielęgniarkami, którym nie podoba się, że Polka zatrudniona jest na stanowisku lekarza i Tęczarowska musi się bardzo pilnować, by nie dać powodu do donosu. Jest jednak wobec nich wyrozumiała i z perspektywy 30 lat nie ukrywa swej troski o te żyjące wówczas z dala od rodziny dziewczęta, zwłaszcza gdy wspomina entuz-

jazm, z jakim szykowały się na front po wybuchu wojny z Niemcami:

„Czy przeżyły wojnę te naiwne dziewczęta? Takie młode i właściwie dobre dziewczątka. Były moralne i uczciwe, wychowane bez religii, odróżniały jednak dobro od zła. Ze sobą na mnie używały to wina systemu — tak zostały wychowane. Miały dobre głosy i nadzwyczajny słuch. Gdy szły drogą we trójkę czy czwórkę, jedna zaczynała śpiewać i zaraz wpadały następne głosy — robił się chór. Śpiewały cicho i bez żadnego wysiłku. Co się z nimi stało?” (112).

Po tzw. amnestii Tęczarowska wraz z matką przemierza tysiące kilometrów, by dostać się na południe do polskiego wojska. Spotyka tam swego męża, byłego więźnia Starobielska. Po wielu perypetiach, chcąc być pożyteczna jako lekarz, wraca na północ z misją zorganizowania polskiego sierocińca. Trudno ukryć — bo i Tęczarowska tego nie ukrywa — cień, jaki rzuca końcowy epizod tych wspomnień. Oto Rosjanie nie życzą sobie, aby zabierać do Iranu dzieci, których stan zdrowia nie daje szans przeżycia podróży. Obiecują wprawdzie zaopiekować się nimi, ale tuż przed ewakuacją nie przyszedł jeszcze nikt, by przejąć nad nimi opiekę. Nikt z Polaków z nimi nie został.

MATER DOLOROSA

Gdy Polacy opuszczali obozy, zdarzało się często, że zaprzyjaźnieni towarzysze niedoli prosili ich o przekazanie najbliższym wiadomości o sobie. Była to nieraz jedyna od wielu lat okazja powiadomienia matki czy żony o tym, że żyją i jak żyją. Cenna była nie tylko możliwość przekazania wiadomości, ale też spotkania z tymi, którzy już samą swoją obecnością przybliżali utraconą osobę.

Ile takich zapośredniczonych spotkań miało miejsce?

O jednym z nich opowiada Tadeusz Wittlin, który w drodze do Buzułuka zatrzymał się w Orenburgu, by odnaleźć matkę przyjaciela z obozu, Łonki Szapoczkina. Trafił on do więzienia a później łagru na dalekiej północy za sprawą własnej żony, która — jak okazało się na procesie — wyszła za niego za mąż z nakazu NKWD: „Głównym świadkiem przeciw mnie była Tania, moja ukochana żona, zawodowa agentka, która śledziła mnie na uniwersytecie od dawna jako niepewnego i wyszła za mnie za mąż tylko po to, by lepiej mnie obserwować”¹. Bezpośrednim powodem aresztowania było wyrażone w rodzinnym gronie krytyczne zdanie na temat kołchozów, które jako inżynier agronom znał nie tylko z teorii. Od chwili aresztowania mijało pięć lat, tj. połowa wyroku, a Łonka Szapoczkina ciągle nie miał możliwości przesłania matce znaku życia. Okazją do tego stało się dopiero wyjście na wolność zaprzyjaźnionego Polaka.

Drzwi otworzyła siostra Łonki. Niespodziewany gość w więziennym stroju, przynoszący pozdrowienia od brata wzbudził przerażenie i niechęć. Lękała się zaprosić przybysza do wnętrza i gdy-

1. T. Wittlin, *Diabeł w raju*, Londyn 1951, Gryf Publications Ltd., str. 162.

by zza szerokich jej ramion nie wysunęła się drobna, pomarszczona staruszka, uderzająco podobna do Lońki, na tym zakończyłby on swoją misję.

„Matka, gdy usłyszała o zaginionym dziecku, które uważała za stracone, nie zlekła się o własne bezpieczeństwo, niebaczna plotek sąsiadów, aresztowania, ani śledztwa.

— Lońka żyje?!

— Żyje i zdrow. Prosił, żeby się wam pokłonić” (196).

Wittlin, który w swej książce stara się zachować dystans wobec dramatycznych przeżyć, ujmując je w formę tak często graniczącą z satyrą, tutaj nie ukrywa wzruszenia. Matka przyjmuje go jak syna, a on uczestniczy w jej radości i bólu. Pada wiele pytań. Odpowiada na nie tak, by matkę przyjaciela uspokoić i podtrzymać rozbudzoną nadzieję na spotkanie z synem. Wizyta musi być krótka — i tak ryzyko donosu jest wielkie. Matka wybiega jeszcze za odchodzącym i wciska mu w dłoń trzyrublowy banknot.

„Pochyliłem się i pocałowałem ją w rękę. Objęła mnie za głowę i przycisnęła do piersi.

— Jedź z Bogiem. Taką radosną wiadomość przywiozłeś... Mój Lońka żyje, zdrow. Cóż ci dać jeszcze, prócz błogosławieństwa? Masz, weź to.

Podawała mi chusteczkę, którą ocierała spłakane oczy. Zwykły, płócienny gałganek (...).

Jeszcze raz ucałowałem jej ręce i szybko odszedłem, lecz gdy po kilkunastu krokach spojrzałem za siebie, dostrzegłem, jak wciąż stała tam, gdzie ją pożegnałem. Rosyjska Mater Dolorosa, której syna pognali na Golgotę Uralskich gór” (199).

K O M U N I A

„Zdarzyła się w stołówce chwila osobliwa. Minęła, a nikt o niej nie zapomniał. Młoda Ukrainka, Nastia, z wesołymi dołeczkami w okrągłej buzi, kruczowłosa i czarnobrewa, która zazwyczaj zapowiadała przy stole różne przyjemne rzeczy, że zjawi się kino objazdowe albo że w którymś z baraków będzie można potańczyć, wstała i gdy wszyscy oczekiwali jakiejś miłej nowiny, Nastia bezradnym gestem rozkładając ręce powiedziała: 'Zabili mi męża na kaukaskim froncie'. Oświadczyła to bardzo spokojnie, tak spokojnie, że zimno przeszło po kościach. I stała samotna w milczącej stołówce. Wtedy Stiopa przekroił swoją czarną pajdę na pół, podszedł i położył przed Nastią skibkę chleba. Kiedy wszyscy to ujrzeni, nóż Stiopy jął przechodzić z rąk do rąk. Polki, Ukrainki, Rosjanki, Żydówki, Kazaczki. I mężczyźni. Krajali swój chleb i kładli przed Nastią. Ktoś powiedział później, że to był prawdziwy żołnierski pogrzeb, zaś Nastii starczy sucharów do końca wojny. A święta prawda, że dopiero ten, kto miał suchary, prawdziwie nie bał się głodu. Wieczorem dźwigając ogromny worek Nastia chodziła po barakach, dopóki nie rozdała chleba dzieciom” (147)¹.

Głodni dzielą się chlebem, więc jakby część siebie oddawali drugiemu, jakby tą komunią na pamiątkę śmierci żołnierza, który oddał życie za drugich, chcieli przedłużyć życie najbliższej mu osoby. Nastia ten chleb rozdała dzieciom, przekazała tę komunię — źródło życia następnemu pokoleniu.

1. J. Krzysztoń, *Wielbłąd na stepie*, Warszawa 1978, Czytelnik.

Dużo takiego pokarmu spożyć musiał Jerzy Krzysztoń, skoro z jego powieści opartej na kazachstańskich i uzbeckich doświadczeniach 9-11-letniego chłopca, napisanej wiele lat później, wyłania się ocalony świat dziecięcej wrażliwości. Główny bohater powieści, który nieprzypadkowo ma na imię Jurek, słyszy od matki przy końcu pobytu na zesłaniu takie oto słowa:

„... chwała Bogu, znaleźli się ludzie, którzy podzielili się kawałkiem chleba! Pamiętasz, prawda? I tego nigdy nie zapomnij. Kiedy dorosniesz, nie zgub w pamięci, dzięki temu nie będziesz patrzeć na innych przez krzywdy, które ci wyrządzili, ale inaczej, po ludzku, tak jakbyś chciał, aby ciebie wspominali” (229).

Powieść Krzysztonia nie ukrywa tych doświadczeń, którym na imię cierpienie, sygnalizuje znane dokładniej z wielu innych wspomnień twarde warunki życia w kraju zesłania, rysy i charakterystyki postaci nie budzą podejrzeń o jakieś sfałszowanie. Kryje w sobie jednak przemilczenie, które — gdyby nie pewne naturalistyczne epizody, wyraźnie dozwolone od lat 18 — można by tłumaczyć jako skutek troski o młodzieżowego czytelnika. Jest to przemilczenie poczucia krzywdy i świadomości jej pełnego kontekstu. Brak ten może być zrozumiały u dziesięcioletniego chłopca, którego przeżyciom patronuje duch wielkiej przygody, ale nie u dorosłego narratora. Takie przemilczenie, celowe wzięcie w nawias, najprościej wytłumaczyć względami cenzuralnymi, ale kto wie, czy w tym przypadku nie byłoby to za duże uproszczenie.

Bo może to powaga chłopięcej zabawy powraca, aby dopełnić dojrzałość, oczyszczając ją z tych uczuć niepotrzebnych, które mają swe siedlisko w wykształconej zbiorowej pamięci?

Narracja powieści Krzysztonia nie jest prowadzona z perspektywy zbiorowej pamięci, ale indywidualnych przeżyć, tak mocno naznaczonych międzyludzką solidarnością i tą dziecięcą fascynacją człowiekiem i światem.

TUŁACZE DZIECI

Miała sześć lat, gdy została wraz z rodzicami wywieziona do tajgi pod Krasnojarskiem. Wspominając po trzydziestu latach ten okres swego dzieciństwa w książce o zapożyczonym od Gorkiego, ironicznym tytule *Moje uniwersytety*, Janina Kowalska załącza kartki z pamiętnika, pisanego na trasie Teheran - Kermanshah - Bagdad - Palestyna. Za szczególnie wymowne uznaje to, czego w pamiętniku tym brak:

„... uważam że to, czego w pamiętniku nie ma, właśnie przez swą nieobecność ma szczególną wymowę, pokazuje bowiem, jak łatwo dziecko przyjmuje otaczającą je grozę za rzecz oczywistą i samo przez się zrozumiałą, taką że nawet nie potrzeba o niej pisać, i wśród tego wszystkiego do końca pozostaje realistą. Dopiero z upływem lat, gdy już przestaje być dzieckiem, uświadomi sobie że przeszło przez piekło — bo wszystkich tych szczegółów nie zapomni, tak jak nie zapomina się koszmarnego snu”¹.

Tym, czego dziecko nie może przyjąć za rzecz „oczywistą i samo przez się zrozumiałą” jest głód. Zmaganie się z nim wysuwa się na pierwszy plan dziecięcych wspomnień.

Melchiora Wańkowicza przejmują trwogą sposób, w jaki 19-letnia Hanka Korzeniewska opowiada dzieje swej rodziny. Ona tylko ocalała — dla rodziców, brata, siostry i jej dziecka ziemia zesłania stała się ziemią męczeńskiej śmierci.

„Hanka jest wierząca, Hanka jest gorącą patriotką,

1. J. Kowalska, *Moje uniwersytety*, Londyn 1971, Polska Fundacja Kulturalna, str. 64.

Hanka jest całkiem z kultury zachodniej, a przecież w jej opowiadaniu nie dostrzegam tonu głębokiego oburzenia. Relacja jej jest ponura, jak wschodni kismet, czasami po prostu się zdaje, że uważa za rzecz naturalną fakt, iż człowiek nie ma żadnych praw”².

Tu również walka o biologiczne przetrwanie jest wątkiem dominującym. Przybiera ona i taką formę, jak w dzienniczku starszej o pięć lat siostry, gdzie modlitwa o chleb powszedni sąsiaduje z przepisem na torcik czekoladowy i pochwałą krwawo zapracowanego a także ofiarowanego przez innych kawałka chleba.

Hanka Ordonówna poznała tułaczę, osierocone dzieci, opiekując się nimi, gdy po tzw. amnestii zaczęły powstawać liczne polskie sierocińce. *Tułacze dzieci* to opowieść o losach jednego z takich sierocińców, w której autorka daje zbiorowy portret polskiego dziecka w Rosji — a także na drogach Bliskiego i Dalekiego Wschodu — starając się wnikać w dziecięcy świat i być jego rzecznikiem. Często jest nieufność dzieci wobec opiekunów, niektórzy próbują uciec z tego nowego „dietdoma”, robią zapasy chleba: „A kto wie co to za posiołek te Indie i gdzie to jest, może tam tak zimno jak na Syberii i kto zaręczy, że im później coś dadzą”³. Ocalały, zdążyły przywyknąć, nagła odmiana stała się dla wielu z nich niezrozumiała.

Spśród około 2.300 złożonych w Instytucie Hoovera dziecięcych wypracowań niewiele ukazało się drukiem. Najobszerniejszym wyborem jest jak dotąd przekład angielski 150 z nich⁴. Z kilkunastu ogłoszonych przez Jana T. Grossa w *Zeszytach Historycznych* wyłaniają się sylwetki dzieci zranionych. Tak często w spotkaniu ze złym człowiekiem. Rany w języku, w świadomości i wrażliwości dziecięcej, ale jak znak ocalenia trwa pewność doznanego zła i słuszności stawianego mu oporu. Czasem rany są tak wielkie, że dla obserwatora z zewnątrz — jak Wań-

2. M. Wańkowicz, *Dzieje rodziny Korzeniewskich* (fragm.), w: *Polacy w ZSSR (1939-1942). Antologia*. Opracowanie i wstęp Marii Czapskiej, Paryż 1963, Instytut Literacki, str. 98.

3. W. Hort [pseud.], *Tułacze dzieci*, Bejrut 1948, Instytut Literacki, str. 142.

4. J. T. Gross, I. Grudzińska-Gross [opr.], *War through Children's Eyes*, Stanford 1981, Hoover Institution Press. *W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali... Polska a Rosja 1939-1942* — obszerny wybór (166 relacji, w tym 130 dziecięcych) w opracowaniu tych samych autorów ukazał się po polsku za późno, by mógł tu zostać wykorzystany (Londyn 1983, „Aneks”).

kowicz — opór ten staje się niedostrzegalny. W świetle tych dokumentów przytoczone wyżej opinie Kowalskiej i Wańkowicza wyglądają na mało precyzyjne. Trudno bowiem nie dostrzec obecnej w tych dziecięcych sprawozdaniach żywotnej siły oporu. Niewinność już nie jest bezbronna, już nie jest niewinna...

„Nastąpiły czasy głodu i chłodu i co gorsze śmiercie. Trzysta m² zasłało się trupom. Nik na to niemógł poradzić. Jednym i w Jednym można było mieć wiarę w Boga.

Stosunek N.K.W.D. do nas był bardzo zły i szyderski.

Nasza młodzież robiła zasadzki na enkawudzystów (w której partii sam brałem udział)”.

„Dzieci sowieckie dokuczają każdemu Polakowi jak jakie psy”.

„Z tej biedy nic dobrego nienauczyłem się oprócz kradzieży”.

„Na drugi dzień gdy matka była w szpitalu poszedłem po lipioszki ale rosyjanki nie chciały sprzedać. Powiedzieli mi że matka nie pracuje to niedadzą chleba. Ja odeszłem z płaczem i siadłem na okno”.

„A przekłęci rusini [Rosjanie] stale odmawiali nas od pacierzy i pieśni polskich, ale to nic pan Bóg im za to zapłaci i my także się odwdzięczymy (...). Może im Pan Bóg i Najświętsza Marja Panna za te męki nasze zapłaci gorzko”.

„Pewnego wieczora przyszli uzbegy i chcieli nas pozabijać, myśmy nie odemknęli drzwi tylko patrzelismysie przez małe okienko”.

„My, dzieci żydowskie, przestaliśmy pomiędzy sobą mówić po żydowsku, aby nikt nas nie podejrzewał, że jesteśmy Żydami”⁵.

Mam przed sobą wydaną w Rzymie w roku 1945 książkę Kazimierza Zamorskiego i Stanisława Starzewskiego pt. *Sprawiedliwość sowiecka*⁶. Z pożółkłej fotografii patrzą chłopcy, ubrani w za duże mundury, za duże buty, na jednej czapce orzełek.

5. J. T. Gross, *Okupacja sowiecka i deportacje do Rosji w oczach dzieci*, „Zeszyty Historyczne” nr 48, 1979, str. 67-82.

6. S. Mora, P. Zwierniak [pseud.], *Sprawiedliwość sowiecka*, Rzym 1945.

To junacy, mogą mieć od 8 do 15 lat. Pozują do zdjęcia ze swym dorosłym dowódcą i tylko on się uśmiecha. Wobec tych dzieci zastosowano „środki obrony społecznej charakteru zapobiegawczego i wychowawczego”. Po tzw. amnestii przygarnięte zostały przez oddziały wojska polskiego. Książka jest dokumentem, zawierającym obok części analitycznej bogaty zestaw relacji byłych więźniów i zesłańców, spisanych zaraz po ewakuacji na Bliski Wschód. Oto jedna z nich:

„Dostałem 5 lat kolonii małoletniej w Kijowie. Miałem wtedy lat 17. W kolonii tej nas z Polski było około 30. Byli tu oprócz nas młodociani przestępcy sowieccy, poważnie mordercy, bandyci, złodzieje, homoseksualiści. Wszystkich nas razem było około 2.000. Poziom moralny i życie koleżeńskie można wyrazić krótko: tak jak w ZSRR. Więźniowie ci dzielili się na dwie kategorie: na tak zwanych aktywistów, to ci, którzy obiecali poprawę, byli donosicielami ('sukami', jak ich nazywano) i 'żulików', którzy zaprzysięgli się w bandytyzmie, nie pracowali, nie uczyli się, grali w karty o wszystko, co mieli (nawet o życie innych), bili się, rżnęli się i kradli, co się dało. Pracowałem tutaj, żeby lepiej jeść. NKWD do nas Polaków odnosiło się z rezerwą i niedowierzaniem. Po czterech miesiącach pobytu w tej kolonii zostałem wezwany jako dobry robotnik do naczelnika, kapitana NKWD, Kretowa. Ten zaproponował mi wstąpić do 'aktywistów' i zostać komsomolcem (obeцywał złote góry). Mówił mi, że Polski nie będzie, a jeśli będzie to radziecka. ZSRR podbije *wies mir* (cały świat), że komuna zapanuje wszędzie. Co się ze mną działo i co odpowiedziałem, pisać nie będę. Dość tego, że zbity do nieprzytomności ocuciłem się po kilku godzinach w karczerze (był to pokój 3×2 m o posadzce betonowej zalanej po kostki wodą z moczem i kałem, bez okien). Tu przebyłem półtora dnia bez jedzenia i picia. Po wypuszczeniu zostałem zabrany wraz z resztą Polaków do jednej z cel. Mieliliśmy wyjechać do 'łagieru', czyli do obozu pracy dla dorosłych. Czekaliśmy teraz przeżycia gorsze. Dowiedziałem się potem, że kilku kolegów miało tę samą przygodę, co i ja... (738 — F.S. — uczeń gimnazjalny)”⁷.

Irena Wasilewska jest mniej znana od swej siostry Wandy.

7. *J.w.*, str. 195.

Mało znana jest też jej jedyna książka, wydana w 1945 roku w Rzymie, książka-dokument na miarę *Medalionów* Zofii Nałkowskiej, choć nie jest dziełem literackim, a jej prawdziwymi autorami — jak podkreśla we wstępie — są dzieci. *Za winy niepopłacone* to wybór dziecięcych listów, pamiątek, spisanych opowiadań — przejmujące świadectwo tragicznych losów dzieci deportowanych z Polski do ZSSR.

Aresztowana w lutym 1940 roku, Irena Wasilewska przeszła przez więzienia Lwowa, Odessy, Charkowa i łagier na dalekiej północy. Wszędzie tam spotykała polskie dzieci jako równych towarzyszy niedoli. Po odzyskaniu wolności poświęca się organizowaniu pomocy dzieciom w ramach jednego z biur opieki nad Polakami. Odwiedza sierocińce, prowadzi obszerną korespondencję z rozszanymi po całym obszarze ZSSR dziećmi, które błagają o pomoc. Nie wszystkie interwencje u miejscowych władz dają rezultaty, tysiące skazanych za niepopłacone winy dzieci nie mogło skorzystać z amnestii. Wiele z nich ucieka z domów dziecka, miejsc przymusowego osiedlenia, niektórym udaje się dotrzeć do polskich placówek.

Dzieci dzieliły los dorosłych, ale — podkreśla Wasilewska — cierpiały bardziej, krzywdy im wyrządzone były bardziej niesprawiedliwe, dotkliwiej odczuwały wszystko, co je spotykało. Nie tylko przez większe cierpienie na większą zasługują pamięć. Książka Wasilewskiej pokazuje, jak cierpienie spletało się z bohaterstwem, jak z narażeniem życia potrafiły bronić ojczyzny i dawać świadectwo prawdzie. Ileż to razy, bezbronne w obliczu nieprzyjaciół, nie lękały się stawić czoła, by atak przemienić w spotkanie?

W celi charkowskiego więzienia Wasilewska spotkała 14-letnią Marysię, aresztowaną wraz z matką we Lwowie za „odmowę przyjęcia paszportu sowieckiego”. Ojciec, lekarz, został zmobilizowany na początku wojny i ślad po nim zaginął. Było to już trzecie z kolei więzienie dla Marysi i jej matki. Po kilkumiesięcznym śledztwie matkę skazano na pięć lat łagru, a córkę na trzy lata kolonii karnej dla nieletnich. W kraju tym dzieci od lat 12 odpowiadały przed zwykłym sądem za przestępstwa pospolite, a od 14 lat nawet za przestępstwa polityczne. Po trzech latach autorka spotyka Marysię w Palestynie. Oto fragmenty z jej pamiętnika, poczynając od wspomnień z transportu do kolonii karnej w Starodubie:

„Striełok’ przyniósł nam wreszcie wody i chleba, byliśmy jednak tak zdenerwowane i wygłodzone, że nie mogliśmy jeść.

'Strielok' był dobry i grzeczny w stosunku do nas. Przez pół-otwarte drzwi na korytarz rozmawiałam z nim niemal całą noc. Pytała się o nasz kraj, o naszych ludzi. Opowiadałam mu o wszystkim, rozpoczynając w ten sposób swoją karierę 'kontrewolucyjną'. (...)

Po raz pierwszy spotkałam się z wolnymi obywatelami sowieckimi. Mijając nas kobieta szeptem zapytała: '*Zakluczonyjje?*' — 'Tak'. — '*Nie bojtieś, siestricy, siewodnia wy, zawtra my*' — rzuciła nam przechodząc (...). '*Zawtra my*' tkwi mi zawsze w pamięci. (...)

Kolonia liczyła 500 więźniarek w wieku 13-18 lat. Zosia lat 16 uciekała do Polski z Północnego Kazachstanu... (...)

Harcerki dostały po 8 lat. Śledztwo miały bardzo ciężkie. Wszelkimi sposobami starano się je zmusić do przyznania się do niepopelnionych przestępstw. Siedziały w karcerach z wodą, rozebrane do koszuli. Wandę bili. Przed Kasią *sledowatiel* rozbierał się, grożąc, że ją zgwałci. (...)

Pośród sowietek było zaledwie kilka politycznych: Biełowa Kława, skazana na 10 lat za rozrzucanie antykomunistycznych ulotek (...). Było też około 50 tzw. *pieriebieżyc* z Łotwy, Estonii, Besarabii i Węgier (...). Resztę stanowił podziemny świat Leningu i Moskwy: prostytutka, morderstwo, kradzież, 'chuligaństwo'. (...)

W maju 1941 roku przybyła do kolonii córka jakiegoś dygnitarza sowieckiego (...). Wierzę we wszystko, co mi o sobie opowiadała. A jeśli bym nawet nie chciała wierzyć, przekonałyby mnie o tym zupełnie siwe jej warkocze. (...)

Zabroniono nam rozmawiać po polsku (...). Zapytałam podczas lekcji nauczyciela *politczasti* Pyzina Iwana Iwanowicza, czy leży to w interesie 'internacjonau', byśmy przestały mówić po polsku. Odpowiedział pytaniem: dlaczego nienawidzimy języka rosyjskiego? Potem nastąpił długi wykład na temat, iż język polski jako taki nie istnieje i jest gwarą, pochodzącą od języka białoruskiego. (...)

Kierownik *politczasti* Pyzin odczytał nam z wyraźną satysfakcją wiersz Majakowskiego pt. 'Paszport'. Nawiązując do jego treści powiedział, że Polska, *geograficzeskaja nowost*, zlepek narodów białoruskiego, ukraińskiego i niemieckiego, przestała istnieć. 'I wy myślicie, że Polska jest i będzie?' Nie wytrzymałyśmy, prawie płacząc zaczęłyśmy wołać, że kłamie, beczelnie kłamie. Od tej chwili zaczęto nas śledzić. '*Proklatyje Polaczki organizujutsia*'. (...)

Raja podeszła do mnie i zapytała, czemu napadliśmy na Zwią-

zek Sowiecki, jaki był ustrój społeczny Polski, czy było u nas dobrze, co można było kupić. Narysowałam kredą na stole mapę Polski i wytłumaczyłam wszystko tak, jak było naprawdę. W momencie, jak opowiadałam, iż nie wszyscy na 'Zachodniej Ukrainie' witali z radością czerwone wojska, wszedł naczelnik Chankiewicz. 'Nu chtoż, Maria, zanimajecieś agitacijoje? Wasze dielo molczat'. Powiedziałam mu, że mogę ostatecznie milczeć, ale kłamać nie będę i zawsze powiem prawdę, jak mnie zapytają. (...)

Jedna z nauczycielek, starsza pani z okresu sprzed rewolucji, lubiła nas. Wiedziała dobrze, co nam grozi, chciała nam pomóc. Prosiła, abyśmy się podporządkowały woli naszych zwierzchników, abyśmy były ostrożne, bo nas śledzą... (...)

Wywiązała się gorąca i zażarta dyskusja. W pewnej chwili kierownik klubu podskoczył do mnie i zaczął targać za kołnierz: 'pomni, waszej armii niet i nie budiet'. — Jest i będzie — rzuciłam mu prosto w twarz. (...)

Nie zdążyliśmy dojść do słowa, kiedy *wospitatiel* wezwał mnie do W.Cz. Tam dowiedziałam się o postawionych mi zarzutach: w czasie ogłaszania smutnej wiadomości przez radio o rozpoczęciu wojny miałam się cieszyć i klaskać w ręce, miałam wykrzykiwać: 'Niech żyją Niemcy' i że skończone już jest panowanie komunizmu. 'Co powiecie na swoją obronę?' — Nic, bo wszystko jest nieprawdą... (...)

Zaczyna się śledztwo. Badają nas tylko nocami w licznym gronie naczelników i *sledowatieli*. I znów absurdalne zarzuty, niekończące się dyskusje na temat Polski i stale w kółko, iż jestem z Niemcami. W czasie ostatniego śledztwa powiedziałam im: 'Wiem, że w waszym przekonaniu jestem winna. Będziecie mnie jednak karać nie za niemiecką orientację, ale za Polską'. (...)

Za oknem sowietki wciąż wyją: 'Rozstrzelać Marię i Ewę'. (...)
Ewakuacja (...).

Któregoś dnia sierpniowego do wagonu wszedł naczelnik *politczasti*. Uśmiechał się, żartował, spytał, czy droga nas bardzo męczy. Basię poklepał po ramieniu i zauważył, że wygląda blado. W rękę trzymał gazetę. I z tej gazety odczytał nam tekst umowy polsko-sowieckiej.

Wiadomość była tak nieoczekiwana, że siedzieliśmy jak ogłuszone (...). Sowietki krzyczały 'da zdrastuwjet Polska'. Myśmy milczały. (...)

'Dlaczego nasz Związek zawarł sojusz z Polską?' — spytała któraś z dziewcząt sowieckich.

'Bo one są silne' — odpowiedział naczelnik, wskazując na nas — 'i takich sojuszników nam trzeba'. (...)

22 września 1941 roku na zasadzie amnestii odzyskałam wolność⁸.

Minęło wiele lat i ukazały się wspomnienia z dzieciństwa, w które wdarło się okrucieństwo wojny. Nie słabnie pamięć przeżytej udręki, ale czas wydobywa też coraz więcej wspomnień doznanej dobroci. Różne bowiem były drogi zesłańców i różnych napotykali na nich ludzie.

Obok przedstawionych wcześniej książek Marii Januszkiewicz i Jerzego Krzysztonia, na uwagę zasługuje zbiór opowiadań Zbigniewa Domino pt. *Cedrowe orzechy*⁹. Autor w wieku 13 lat znalazł się z całą rodziną na dalekiej Syberii. Jednym z miejsc dłuższego pobytu jest przysiółek Tajożny nad brzegiem Birusy w dorzeczu Jenisieju.

„Byliśmy w Tajożnym jedyną polską rodziną, którą wojenne losy rzuciły w te strony. Sybiracy, naród z twardym życiem otrzaskany, niczemu się nie dziwili. Od pierwszego dnia przyjęli nas jak swoich. Na mieszkanie wyznaczono nam dużą, widną izbę. Ojciec zarabiał dobrze, jedzenia nie brakowało, więc, jak na warunki wojenne, powodziło nam się nieźle”¹⁰.

Po śmierci matki i wyjeździe ojca do dywizji im. Tadeusza Kościuszki pozostał sam z młodszym bratem i dopiero po wojnie razem z nim wraca do rodzinnej Kielnarowej pod Rzeszowem. Wkrótce po odjeździe ojca przychodzi wiadomość o jego śmierci. Mieszkańcy Tajożny opiekują się troskliwie sierotami, syberyjskie kobiety starają się zastąpić im matkę. Chłopcy pracują, wykonując różne zawody a praca jest dla nich rodzajem przygody. Autor przemilcza powody, dla których bohaterowie opowiadań „znaleźli się daleko na zapleczu ZSRR”. Podobnie jak autorzy tzw. „radzieckiej prozy zaplecza”, Zbigniew Domino bierze w obronę prawo człowieka do życia w pokoju, zwraca się przeciw absurdowi wojny, sieroctwu i wdowieństwu, które z sobą niesie. Tytułowe „cedrowe orzechy” to cenne, smakowite nasiona syberyjskiej limby. Ofiarowane przy wyjeździe przez przyjaciela z tajgi, stają się niejako symbolem rozstania z Syberią i doznanej tam ludzkiej dobroci.

8. I. Wasilewska, *Za winy niepopłacone*, Rzym 1945, str. 29-39.

9. Z. Domino, *Cedrowe orzechy. Opowiadania syberyjskie*, Warszawa 1974, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej.

10. *J.w.*, str. 193.

W te same strony co autor *Cedrowych orzechów* zesłana została jako dziecko również Janina Kowalska, której udało się wyjechać wcześniej, z armią nie cieszącą się w książce Domina dobrą opinią. I ona wspomina ze wzruszeniem objawy życzliwości i współczucia miejscowej ludności, ich tłem jest jednak udręka, nie mająca w sobie nic z wielkiej dziecięcej przygody. Jeśli zestawiam te dwa świadectwa to nie po to, by je sobie przeciwstawiać, ale w przekonaniu, że w tej nienapisanej historii polskich dzieci w ZSSR jakoś się nawzajem uzupełniają.

„Wiadomo — wszystko, co w Sowietach przeznaczone dla ludzi, jest wstrętne, choć z drugiej strony nie wszyscy ludzie są wstrętni. Na przykład ten dieduszka nie jest, który dał mi kawałek chleba w Kara-Su, ani matka Alioszki z dolnego Uzgeny, ani siostrzyczki w szpitalu, ani te różne babuszki, co spotykaliśmy po drodze. No i oczywiście Katia nie jest wstrętna, ani jej starsza siostra Lenoczka, która śpiewa jak anioł, ani też ich rodzice, którzy nie cierpią Leninastalina tak samo jak my. I nasz Osman też nie jest wstrętny, ale z nim to jeszcze inna sprawa, całkiem przedziwna. On zna kilka słów rosyjskich, a ja trochę uzbeckich, zaś wszystko inne można powiedzieć rękami, więc możemy sobie rozmawiać siedząc w kucki na słońcu, plecami do nagrzanego ścianu”¹¹.

Irena Wasilewska podaje przybliżoną liczbę 140 tysięcy dzieci deportowanych z Polski do ZSSR w latach 1939-1941. Według tych samych obliczeń władz polskich ok. 40 tysięcy dzieci nie przeżyło, umierając z głodu i chorób w czasie transportu, na zesłaniu, w łagrach, zakładach specjalnych, więzieniach. Z armią gen. Andersa ewakuowano około 15 tysięcy dzieci, w tym około 7 tysięcy znajduje się w rejestrach wojska, reszta wyjechała wraz z rodzicami w grupie osób cywilnych¹². Dzięki staraniom Australijczyków, którzy w latach 1943-1944 przejęli niektóre funkcje ambasady polskiej w ZSSR, około 300 dzieci z sierocińców mogło w tym okresie opuścić ziemię zesłania¹³.

11. J. Kowalska, *Moje uniwersytety*, str. 31.

12. I. Wasilewska, *Za winy niepopelnione*, str. 92. Według informacji dr. Zdzisława Jagodzińskiego, kierownika Biblioteki Polskiej w Londynie, ukazała się ostatnio książka Tadeusza Bugaja pt. *Dzieci polskie i ich repatriacja 1939-1952*, Jelenia Góra 1982, Karkonoskie Towarzystwo Naukowe.

13. P. Heydon, *Protecting Polish interests in the USSR, 1943-44: an episode in Australian representation*, „Australian Journal of Politics and History” XVIII, 2, 1972.

Ile z nich straciło rodziców i rodzeństwo? Ile przeżyło dzięki pomocnej dłoni i sercu ludzi różnych narodowości? Ilu wywiezionych z Polski chłopców padło pod Monte Cassino, Lenino...? Ile z pozostałych około 85 tysięcy nie objęły repatriacje w latach 1945, 1955, 1956?

Natrafiam na opracowanie poświęcone działalności Szpitala Polskiego w Teheranie. W okresie od marca do grudnia 1942 roku spośród 3.059 dziecięcych pacjentów zmarło 263¹⁴.

Spółród dzieci i młodzieży będącej w rejestrach Polskich Sił Zbrojnych, przed ewakuacją z ZSSR zmarło 1.823. Były wśród nich 5-letnia Aleksandra Parowicz z Białej Podlaskiej, 13-letnia Zdzisława Żurek spod Nowogródka, 14-letnia Czesława Bednarz z Tarnopola¹⁵.

14. M. Trojanowska, *Pamięci zagubionych krzyży. Historia organizacji Pomocniczej Służby Kobiet w Polskich Siłach Zbrojnych na terenie Rosji*, „Zeszyty Historyczne” nr 58, 1981, str. 18.

15. *Niepełny wykaz ochotniczek i junaczek zmarłych w Rosji*, j.w., str. 39-43.

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

„Ruszamy czwórkami, w drodze zaczyna mżyć deszcz, do stacji jest 7 km. Deszcz drobny coraz mocniejszy. Idziemy w błocie poprzez smutny kraj, wieś biedne po drodze, czarne chaty z ogromnych bierwion. Z jednej chaty wychodzi stara kobieta: *Gaspod' z wami, Boh z wami* — mówi. Te same słowa powtarza nam półgłosem inna młoda kobieta na ulicy miasteczka, jak wymarłego, bez światła, bez ruchu, w którym jest stacja”¹.

Na nieludzkiej ziemi Józefa Czapskiego to książka, w której autor zdaje przede wszystkim sprawę ze spotkań na drogach, które przeżył po uwolnieniu z obozu w Griazowcu pod Wołogdą. Na polecenie gen. Andersa przemierza tysiące kilometrów w poszukiwaniu piętnastu tysięcy zaginionych wojskowych z obozów Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa. To druga już podróż Czapskiego w podobnej misji. Pierwszą odbył w roku 1918, poszukując pięciu zaginionych żołnierzy z 1-go pułku Ułanów Krechowieckich, przedzierających się do Francji przez Murman. Powracają wspomnienia, a pamięć tamtych doświadczeń, a w szczególności spotkania z urzędującą w Smolnym Stasową, prowadzi do wniosku: „Jak potężną, jak zhierarchizowaną i zimną, jakim pancernem od świata odgrodzoną administrację stworzyły Sowiety od 1918 roku” (114). Ten pancierz otacza nie tylko administrację. Widoczny jest na co dzień, w zwykłych stosunkach między ludźmi. Stosunki między Polakami po amnestii a obywatelami ZSSR napotykają na dodatkowe trudności. Z chwilą, gdy Polacy przestali być obywatelami ZSSR, ich kontakt z ludnością przestał być dla władz obojętny:

1. J. Czapski, *Na nieludzkiej ziemi*, Paryż 1962, Instytut Literacki, str. 14.

„Rząd sowiecki robił co mógł, żeby nas od ludności swojej odseparować. Jeżeli po dużych trudnościach pozwolono nam w Buzułuku zajmować pokoje mieszkalne w domach prywatnych — jakiegokolwiek rozmowy szczere były tam jednak rzadkie, bo były niebezpieczne dla gospodarzy, u których mieszkaliśmy; zresztą i tak doszły do nas wieści, już w Turkiestanie, że zesłano wielką ilość mieszkańców Buzułuka, którzy byli w przymusowym zresztą z nami kontakcie” (62).

Ponadto siła propagandy sprzed porozumienia między Sikorskim a Stalinem zdążyła już wykształcić mocne antypolskie nastroje, które nie zawsze nadążały za zmianą kursu polityki zagranicznej. Mimo to istniała przecież ciągle żywa potrzeba kontaktu z drugim człowiekiem, której nie mogły do końca zniszczyć burzące poczucie wspólnoty, siejąc nieufność i nienawiść siły².

„*Nasza żizń oczeń grubaja*, nagle przybyliście do nas, zobaczyliśmy, że jeszcze są ludzie swobodniejsi, ciężko jest nam was żegnać’ — powiedziała mi Rosjanka, wybitna specjalistka i patriotka Związku Sowieckiego” (68).

Choć wiele jest w tej relacji z „nieludzkiej ziemi” przykładów niemożności porozumienia a także wzajemnej wrogości, jest ona jednak przede wszystkim świadectwem zbliżenia ludzi.

Transport uwolnionych jeńców z Griazowca na południe, do tworzącej się Armii Polskiej. Postój na zatłoczonych stacjach daje okazję do rozmów, nie tylko z Polakami, którzy tłumnie spieszą do wojska:

„Rozmowy z bojcami (żołnierzami) uprzejme:

— ‘Czy macie nam za złe to cośmy wam zrobili w 1939 roku?’ — pyta jeden.

— ‘A jak myślicie, czy możemy nie mieć?’

— ‘Myślę, że tak, jest to nam bardzo przykre’ ” (18).

„Na stacjach rozmowy coraz bardziej otwarte, zupełnie

2. „Totalitaryzm spełnia się wtedy, kiedy ludzie żyjący i pracujący razem przestają widzieć w sobie nawzajem wspólnotę. Wzajemna nieufność albo, jeszcze lepiej, nienawiść to najpełniejsza ostoja władzy sowieckiej”. Do takiego wniosku prowadzi Jana T. Grossa analiza relacji deportowanych do ZSSR Polaków. Przechowywane są one w Instytucie Hoovera w Kalifornii — J. T. Gross, *W zaborze sowieckim*, „Aneks” nr 28, str. 96.

nie do uwierzenia. Ani śladów politruków, wszyscy się skarżą na głód, że chleba nie mają, że wszystko muszą państwu oddawać, że chleb wydają ludności po 30 gramów, i to zawsze, a że poza tym chlebem nie mają nic, już dawno nie widzieli cukru ani mięsa. Chłop z dużą brodą, w sile wieku, pyta, dlaczego my się chcemy bić po stronie Sowietów, że on ani myśli bić się dla nich, a właśnie chce się bić przeciwko 'czerwonym łajdakom' (...).

Na innej stacji chłopka, która nam sprzedała 2 jaja, opowiada, że 300 mężczyzn z ich wsi wyruszyło na wojnę, ale że wszyscy krzyże na szyi zawiesili i powiedzieli, że się poddadzą Niemcom. Mówi to głośno nam, obcym ludziom, jakby w Sowietach nagle zginął *strach!*" (19).

„W Wozniensku do wagonu, gdzie jechali podchorążacy, podeszło dwóch robociarzy — prosili, żeby zaśpiewać, i w chwili, gdy nasi zaśpiewali 'Taki los wypadł nam... że nie wiemy, gdzie nasz będzie grób', jeden z nich poprosił o kawałek papieru, schylił się i coś napisał. Kiedy ruszył pociąg, on kartkę zapisaną wrzucił do wagonu. Niedołężne pismo z błędami: *Bratcy, spasitie nasz narod, pomirajem s gołodu, nieuzeli budiete zaszcziszczat' Sowieckij Sojuz?* — Czytałem tę kartkę" (20).

Polacy przemierzający jesienią 1941 roku cały ZSSR byli świadkami, jak załamywał się tam od wewnątrz ustrój. Proces ten zahamowały dopiero wieści o nieludzkich, masowych okrucieństwach Niemców.

Spotkania w pociągach są u Czapskiego ważnym źródłem wiedzy o ludziach. „Nigdzie nie udawało mi się w Rosji równie często obalać ściany milczenia jak w pociągach właśnie, gdzie zgrzyt i stukot, prawie anonimowa dorywczość spotkań stwarzają poczucie, może iluzoryczne, mniejszego zagrożenia, mniejszej możliwości donosu" (145). Mundur polskiego oficera nie wzbudza zaufania wśród podróżujących w wagonie „miękkim z plackartą", czasem wręcz wywołuje reakcje agresywne. Ale mija doba wspólnego podróżowania i lody nieufności pękają. Rzadko jednak w rozmowach można dojrzeć u towarzysza podróży „jego własną myśl i reakcję nie 'ubraną' w formułkę propagandową" (142). Czapski nie kwestionuje możliwości i prawdziwego zaangażowania i wiary w prawdę rewolucji, choć świadom jest, że jego rozmówcy nieraz pod warstwą entuzjazmu ukrywają poważne

wątpliwości. Zdarzają się jednak i takie rozmowy, w których odstawiają oni jak na spowiedzi słabości swej wiary.

„W przeciwnym kącie mojej ławki przesiadywał cały dzień, ćmiąc samosiejkę owiniętą w gazetę, mężczyzna z ogoloną jak kula bilardowa głową, w klasycznej wytartej skórzananej kurtce. Milczał. Wydawał mi się najbardziej ze wszystkich podejrzliwy, podawał się za kolejarza. Po blisko czterech dniach boczenia się, on właśnie opowiedział mi w pewnej chwili najwięcej i najprawdopodobniej”.

To stary działacz partyjny, jadący na Ural w celu przeprowadzenia „czystki elementów niepewnych”, wyposażony w wysokie pełnomocnictwa. Opowiada o froncie podmoskiewskim, o egzekucjach jeńców niemieckich, wreszcie o czystce z lat 1935-1937, której ofiarą padł jego przyjaciel.

„Opowiadał głosem równym, bez zahamowań ani akcentów. Siebie uważał za zabezpieczonego, może imieniem Kaganowicza. Nie wyczułem cienia oceny moralnej samych 'czystek'. Przypuszczam, że nie wątpił, że każdy wróg rewolucji sowieckiej musi być zmiażdżony. Ale przebiegało oburzenie przeciw likwidowaniu ludzi wiernych, niesłusznie zasądzonych przez fałszerstwo, tchórzostwo, donosicielstwo podrzędnych organów. To go dławilo i to widać musiało z siebie wyrzucić” (145).

Czapski nie jest beznamiętnym reporterem, ale stroną tak zaangażowaną w spotkania, że stają się one źródłem wzajemnego poznania („Trzeba było wiele cierpliwości, sympatii, albo chwili osobliwej, żeby rozmówca nagle przemówił nie jak płyta gramofonowa”, 136). Ta cierpliwość i życzliwość wobec innych zdaje się cechować narratora *Na nieludzkiej ziemi*, choć na każdym kroku doświadcza przeobrażeń, jakie w społeczeństwie tym zaszły od czasów rewolucji, które utrudniają lub wręcz uniemożliwiają prawdziwy dialog.

„Reszta podróżnych, których rozmów nieustannie słucham, robi wrażenie ludzi, którym do głowy jeszcze nie przyszło, że 'łatwiej wisieć na haku, niż myśleć', ludzi, wierzących potulnie, że ponad nimi są wodzowie, którzy myślą za nich i mają zawsze rację, a że ich obowiązkiem jest służyć i myśleć tylko odtąd dotąd. Znałem koleje ro-

syjskie, znałem Rosję przed rewolucją i mogłem docenić, jaką ogromną różnicę przedstawia ta masa rosyjskich ćwierć-inteligentów w porównaniu do dawnych Rosjan, gdzie w każdym zaułku, na każdej stacji, w każdej karczmie czy wagonie można było spotkać ludzi, inteligentów czy analfabetów, którzy się zastanawiali nad wszystkim, aż do zagadnień ostatecznych włącznie” (140).

Znajomość Rosji przed rewolucją poszerza perspektywę myślenia o współczesności. Ale choć wnioski nasuwają się proste i oczywiste, to jednak pisarski wzrok i słuch, wytężone by zrozumieć mieszkańców tej ziemi, sygnalizują jak złożona i trudno dostępna jest prawda:

„Nie, tego nikt nie może zrozumieć, tu musi przyjść genialny pisarz, obserwator, nowy Tolstoj czy nowy Proust, rosyjski czy polski, który by mógł opisać to, co w Rosji jest wszędzie, co chwila, co zdradza nagle w życiu zwykłym, powszednim, jeden gest nikły, jedno spojrzenie niezapomniane. Nie trudne warunki, nie głód, to wszystko jest mniej ważne w porównaniu z tym zadławieniem człowieka, z niemymi spojrzeniami ludzi, wśród których nie ma prawie takiego, który by nie miał kogoś najbliższego w obozach północy” (65).

„Nieme spojrzenia”, których wymowę tak trudno opisać! Czapski wpatruje się w twarze anonimowego tłumu moskiewskiej ulicy; krzyżują się spojrzenia i jest w tym jakaś surowa, zatrważająca prawda:

„Na każdym kroku widziałem wyraz brutalnej i konsekwentnej woli, widziałem tysiące twarzy ludzkich, zamkniętych lub wrogich, czułem straszliwą dysproporcję sił fizycznych pomiędzy nami a tym Imperium, które w ostatnich latach wytraciło więcej Polaków, niż w biegu całej ubiegłej historii (...).

Zaczepiony przed chwilą na ulicy przez jakiegoś przechodnia, który sprowadził milicjanta, by mnie wylegitymował, zostałem zaraz otoczony przez garstkę ludzi o niechętnych, spode łba, niecierpliwych spojrzeniach: spodziewali się, że może papiery moje będą nie w porządku, może nareszcie będą mogli się rozprawić z jakimś szpiegiem lub spadochroniarzem nieprzyjacielskim. Ale nie, papiery były w porządku, doznali przykrego rozczarowania” (133).

A jednak Czapski powstrzymuje pióro, przeczuwając w tych spojrzeniach jakąś tajemniczość, coś co „trudno zrozumieć”. Ostrości widzenia towarzyszy powściągliwość interpretacji. Bo może i w tych spojrzeniach ukryte jest także i to, co może być tworzywem spotkania? Jakżeby inaczej były możliwe te przygodne spotkania, których tak wiele rejestruje autor *Na nie-ludzkiej ziemi*? Oto jedno z nich, zanotowane w Moskwie:

„Ten pusty sklep obsługiwała młoda dziewczyna w króliczym futerku i szarej chustce na głowie. Wracałem z kościoła i trzymałem właśnie w ręku małą książeczkę, Pismo Święte, wydane w Londynie dla wojska i nam przesłane. Na czarnej ceratowej okładce był wyciśnięty nieduży biały krzyż. Widzę, że ta dziewczyna patrzy na książeczkę z dziwną uporczywością i nagle zaczyna do mnie mówić głosem ściszonego:

‘Ja widzę, że pan ma książkę z krzyżem? Czy pan jest wierzący? Bo ja, proszę pana, jestem także wierząca, ja znam jedną staruszkę, to była zakonnica. Ona nikomu nic złego nie robiła. Ona była święta. I ona tylko się modliła. Ale parę lat temu zesłali ją na daleką północ i ślad po niej zaginął’.

W tej chwili wchodzi do sklepu ktoś obcy. Dziewczyna błyskawicznie przerywa opowiadanie, wyjaśnia mi ceny szkicowników. Po chwili znów jesteśmy sami, gorączkowo rozpina futerko; zza bluzeczki wyciąga mały, drewniany krzyżyk prawosławny.

‘Ten krzyżyk ona dała, na wyjezdny, zachowam go, dopóki żyję’ — mówi mi ze łzami.

Wracałem do hotelu zamyślony. Czy naprawdę ta wieża Babel, ta stolica materializmu jest tak kamienna, tak bez żadnej rysy, jak to się zdaje na zewnątrz?” (130).



Mianowany przez generała Andersa pełnomocnikiem do spraw nie zwróconych jeszcze jeńców, rotmistrz Józef Czapski jedzie do Moskwy, aby u naczelnych władz NKWD interweniować w sprawie zaginionych kolegów ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa. Misja kończy się fiaskiem. Wymijające odpowiedzi dygnitarzy NKWD ukrywają prawdę, która już wkrótce wyjdzie na jaw jako prawda o Katyniu. W Moskwie spotyka się też z Eren-

burgiem, licząc na jego pomoc, czy choćby radę. Z pisarzem tym poznał się Czapski wcześniej w Buzułuku. Wyrażał się on wówczas ciepło o Polakach, zrobił wrażenie człowieka „szczerego i ludzkiego”. Również „świeżość widzenia, czucie człowieka” w pisarstwie Erenburga pozwalało wiązać z tym spotkaniem pewne nadzieje.

„Pożegnawszy się z Erenburgiem, wychodziłem w poczuciu tej samej kamiennej ściany przed sobą, której żaden jęk ludzki przebić nie może, o ile nie jest w danej chwili politycznie pożyteczny. Wychodziłem pod wrażeniem kamiennych serc, których żadne wzruszenie ogarnąć nie jest w stanie bez uprzedniego 'błogosławieństwa' najwyższej władzy” (122).

Dwadzieścia lat później francuskie pisma donoszą, że Erenburg pracuje nad książką o zbrodniach Stalina. Czapski próbuje zainteresować go wówczas sprawą katyńską, przesyłając mu — gdy przejazdem zatrzymuje się w Paryżu — sporządzony przez siebie jej opis. „Pan jeden mógłby może *już dzisiaj* — pisze Czapski — wpłynąć na oczyszczenie atmosfery stosunków polsko-rosyjskich z trucizny kłamstwa, czy chociażby milczenia z rosyjsko-sowieckiej strony o odpowiedzialności za tę zbrodnię...” (301). W rozmowie telefonicznej Erenburg stwierdził, że nadesłany materiał go nie interesuje. Do spotkania nie doszło.

Powiodła się natomiast próba nawiązania kontaktu z Aleksiejem Tołstojem, który w czasie tworzenia się Armii Polskiej w ZSSR mieszkał w Taszkencie. Na polecenie ambasady polskiej w Kujbyszewie Czapski dociera do autora *Piotra Wielkiego*. Dochodzi do kilku spotkań, które mimo dzielących obie strony różnic prowadzą do wzajemnego bliżenia. Tołstoj, słuchając zaimprovizowanych tłumaczeń wierszy Balińskiego i Słonimskiego, rzuca projekt wydania poezji polskiej w rosyjskim przekładzie. W tym celu organizuje u siebie spotkanie tłumaczy i pisarzy rosyjskich z udziałem m.in. Achmatowej i Tichonowa. Sposób w jaki Rosjanie reagują na poezję polską, „łzy w wielkich oczach milczącej Achmatowej”, zachwyt Tołstoja wierszami o ojczyźnie oraz Norwidem, to również dowód, jak wielkie są możliwości wzajemnego zrozumienia:

„Jakże możliwy jest głęboki, bezinteresowny kontakt polsko-rosyjski, zdawało mi się wówczas, jaka jest łatwość przenikania wzajemnych kultur, zarażenia wierszem, dźwię-

kiem wiersza, przekazania najdrobniejszego drgnienia w drugim języku” (193).



Gdy pociąg mknie na południowy-wschód, na Taszkient, a za oknami widać puste brzegi rzeki Ural, narracja kieruje się ku przeszłości tej ziemi. Na początku XVIII wieku przybyły tu z Chin liczne plemiona Kałmuków, by szukać opieki białego cara. Część ich jednak wkrótce, gnębiona przez urzędników carskich, decyduje się na ucieczkę z powrotem do Chin. Ze 169 tysięcy dociera do granic chińskich tylko 70 tysięcy. Reszta ginie po drodze z chorób, głodu lub od miecza Kozaków czy Kirgizów, którzy na rozkaz carski starają się udaremnić ucieczkę. Ale Kozacy Jaiccy odmawiają wykonania rozkazu, wybucha bunt Pugaczowa. Rzeka nazywała się wówczas Jaik. Uralem ochrzciła ją dopiero Katarzyna, karząc tak Kozaków za bunt zrodzony na jej brzegach. Nie na tym jednak kończy się tu historia buntów i rzezi:

„Po rewolucji powstała nad morzem Kaspijskim Republika Kałmucka, ale w 1945 roku znikła z rozkazu Stalina z karty sowieckich republik bez śladu, całą zaś kałmucką ludność republiki wystrzelano lub zesłano w nieznanym kierunku za wrogą podczas tej wojny postawę wobec Związku” (155).

Pociąg mknie bezkresnym, śnieżnym stepem, daleko poza Morze Aralskie. Podróż odbywa Czapski w towarzystwie rosyjskich oficerów, ale na stacjach wpatruje się w twarze Kazachów, stepowych Kirgizów, twarze znajome, jak z obrazu Brandta:

„Jadąc przez ten kraj, mijając na stacjach cichych jakby niemych tubylców, uświadamiam sobie dopiero, jak mało wiem o tych krajach. Cóż mogę powiedzieć o tej ziemi najazdów i mordów od Dżyngis-Chana po carów rosyjskich i władców sowieckich?” (156).

Musiał jednak Czapski uzupełnić później swoją wiedzę, skoro czytelnik *Na nieludzkiej ziemi* ma okazję zapoznać się z krótkim rysem historii Kałmuków, Kazachów czy Uzbeków, tej historii nieustannych walk, w których „łączy się biologiczne niszczenie narodów azjatyckich, natychmiastowa kolonizacja, odsuwanie ludności siłą od najbogatszych terenów irygowanych, a zaludnianie ich Wielkorusami i Ukraińcami” (157).

W czasie podróży w „miękkim” wagonie Czapski spotyka tylko jednego Kirgiza, politruka wracającego z kursu w Moskwie, który chętnie mówi o polityce, zmieniając trudne dla wymowy kirgiskiej samogłoski i spółgłoski języka rosyjskiego:

„Na tłustej, płaskiej twarzy, w tych sympatycznych oczach błyszczących jak paciorki, czytałem dziecinną wiarę w Stalina proroka. Może się jednak myliłem. Trudno odgadnąć, co myśli człowiek Wschodu na swojej uciskanej ziemi...” (158).

Po wielu dniach podróży następuje przesiadka do zwykłego, zatłoczonego wagonu. Trudy tej podróży wynagradza możliwość przebywania wśród mieszkańców okolicznych osiedli — Uzbeków: „Pierwsze wrażenie rasy o starej kulturze, jakiegoś dostojństwa, świata zamkniętego w sobie, (...) odciętego od nas przybyszów” (163). Podróż zakłócona zostaje incydentem, wywołanym przez wracającego z frontu żołnierza rosyjskiego, który nie potrafił zapanować nad uczuciem nienawiści do Uzbeków.

W większym stopniu niż własne doświadczenia, wiedzę o tym i innych środkowoazjatyckich narodach kształtować będą opowiadania, które — jak pisze Czapski —

„... z niezliczonych ust kolegów dochodziły do mnie potem, o tym jak wszędzie w obozach pracy, od Workuty do Kołymy, kończąc na Łubiance i Butyrkach, spotykali się oni z tłumem zesłanych ze Środkowego Wschodu Kirgizów, Uzbeków, Tadżyków, Kałmuków. Półtora miliona Polaków, zesłanych w 1939 roku, było tylko dalszym etapem polityki eksterminacji narodów, które nie chciały ulec biernie dyktaturze sowieckiej” (161).



Jangi-Jul koło Taszkientu, gdzie przeniesiony został z Buzułuka Sztab Armii Polskiej, jest również miejscem spotkania wielu ras i narodów. Obok Uzbeków, Turkmenów, Kazachów mieszkają tu przesiedleni z Mandżurii Koreańczycy, liczni urzędnicy i robotnicy rosyjscy, dużo Ukraińców, przeważnie kobiet [„Mężczyzn, kułaków, w liczbie paru milionów (mowa o trzech a nawet pięciu) zesłano na daleką północ, kobiety zaś z dziećmi zostały rzucone do centralnej Azji”, 167].

I znów, podobnie jak we wspomnieniach z Buzułuka, wiele

słów serdecznych o spotkanych tu ludziach, o wzajemnie doznawanej życzliwości. „Jeszcze dzisiaj widzę dobre, siwe oczy starej Ukrainki i wspominam ją tak, jakbym o niej wszystko wiedział, a przecież nie wiem o niej nic” — kończy Czapski wspomnienie o dwóch samotnych Ukrainkach, w których chacie, bielonej, krytej słomą, przebywał na kwaterze. Pewnego dnia nadchodzi wiadomość, że kilkunastoletni syn jednej z nich uciekł z internatu i przebywa w szpitalu więziennym, chory na suchoty. Sposób, w jaki Czapski o tym pisze mówi nie tylko o współczuciu, ale też o uczestnictwie w tej rodzinnej tragedii. Wiele jest przykładów takiego uczestnictwa w życiu miejscowych rodzin:

„Mój kolega żył w wielkiej przyjaźni z rosyjską rodziną, która dom ten zajmowała: ojciec był komunistą, wykwalifikowanym robotnikiem, wyjeżdżał na cały dzień poza Jangi-Jul, do swojej pracy, matka, wyniszczona kobieta, była też cały dzień zatrudniona w pobliskiej fabryce konserw, wracała wieczorem do domu wyczerpana, wyblakła, niepewnym krokiem. Synek 14-letni, nie tylko chodził do szkoły, ale nawet wraz z kolegami był przez szkołę wysyłany na okresy specjalnie 'gorące' do pomocy przy uprawie bawełny. Razem z tą rodziną, na prawach starszej córki, mieszkała tam również Szura, Ukrainka. Ona także pracowała cały dzień w fabryce konserw. Wróciwszy do domu zabierała się z całą energią znów do pracy, pomagała matce chłopaka, prała, obszywała chłopca, krzątała się po gospodarstwie” (224).

Ta dwudziestoletnia dziewczyna, zawsze radosna i uśmiechnięta, „wierna i oddana władzy sowieckiej”, zapytana co robi w obcej rodzinie w Turkiestanie, odpowiada: „Moje dzieciństwo było straszne (*było użasno*)” i dalej śpiewnie, jednym tchem opowiada historię zesłania ojca (kułaka), śmierci matki, pracy w kołchozie na Krymie. Gdy ojciec przyjechał odwiedzić ją w kołchozie: „... Ja musiałam jemu mówić *diadia* — wujaszek, ja się nie mogłam przyznać, że to jest mój ojciec, że jestem jego córką, bo by mnie wyrzucili z kołchozu” (225).

Powtarza się w relacji Czapskiego to charakterystyczne zapatrzenie w twarz, które jest też formą spotkania: „Smutek twarzy ludzkich, jakaś mechaniczność ruchów, ziemista cera i przemęczenie rzucały mi się w oczy najbardziej, gdy idąc wczesnym rankiem po ulicach Jangi-Julu spotykałem 'całe miasto' idące na robotę do fabryk” (223). Nie jest to zapatrzenie obcego,

któremu obojętna jest barwa i wyraz oczu, a tylko nasycą swą ciekawość:

„W tej ogólnej atmosferze, gdzie świat sowiecki, który nas otaczał, stawał mi się coraz bardziej synonimem głuche-
go stępienia, czy zaledwie maskowanej rozpacz, nagły wy-
buch młodego śmiechu, dosłyszany z jakiegoś podwórza,
albo wyraz pogody, wesołości, na paru młodych twarzach
spotkanych na ulicy, wzruszał i cieszył, jak szczęśliwa nie-
spodzianka” (223).

Taką szczęśliwą niespodzianką było też doświadczenie bezin-
teresownej ludzkiej dobroci w czasie pobytu w szpitalu:

„W silnej gorączce, na oddziale tyfusowym niewiele
pamiętam z pierwszych dni, poza szeroką, dobrą, schyloną
pod światło nad moim łóżkiem, twarzą Niny Fiodorowny,
starszej siostry oddziału. Wielu chorych i sióstr nazywało
ją 'mama'. Była córką chłopca znad Wołgi” (242).

„W Ak-Ałtynie leżał na sali, gdzie siostrą była mło-
dziutka Ukrainka, Gala. Nieustannej opiece tej dziewczyny
zawdzięczał w dużej mierze wyzdrowienie. Od niego
pierwszego dowiedziałem się, jak pracowały siostry w szpi-
talu. Nie było usługi, nie było wysiłku, przed którymi by
się te kobiety cofały. Gala nie była wyjątkiem. Ostrow-
ski był świadkiem, jak przez cztery noce z rzędu nie odstę-
powała umierającego, który leżał na tej samej sali i w tym
samym czasie dała swoją krew choremu do transfuzji. Pod-
kreślam, dlaczego o tym wspominam. Podczas tej wojny
na całej kuli ziemskiej pracowały ofiarnie siostry w szpi-
talach. Ale na tle brutalnych form życia w Sowietach, na tle
wspomnień z obozów, gdzie człowiek był traktowany gorzej
niż bydło, ten stosunek ciepły, miłosierny wzruszał, jak
odnaleziony świat dzieciństwa, jak odnaleziona ojczyzna”
(239).



Wiele miejsca w książce Czapskiego zajmują — spisywane
przeważnie na gorąco — opowiadania przybywających do Armii
Polaków. Zawiera się w nich niejedno świadectwo zbrodni, nie
brak przykładów zwyrodnienia i brutalnej walki o byt wśród
więźniów.

„Chleb wydawano zwykle na dworze; ustawiano nas w kolejce i każdy dostawał po kawałku. My Polacy zjadaliśmy go natychmiast, przed wejściem do baraku, bo każdemu, który wracał z chlebem w rękę, wyrwali go po drodze silniejsi. Było bardzo trudno ten chleb tak szybko przełykać, pomagaliśmy sobie zwilżając go śniegiem (...).

Co noc słyszeliśmy charczenie słabszych lub konających, duszonych przez sąsiadów, którzy zdzierali potem z umarłych ubranie, sprzedając je za chleb” (87, 88).

Nie wszędzie jednak aż tak nieludzkie prawa rządziły życiem więziennym, nie zawsze Polacy skazani byli wyłącznie na agresywne środowisko przestępcze. W relacjach spisanych przez Czapskiego najwięcej miejsca zajmują wspomnienia o współwięźniach. Charakterystyczne jest, że opowiadający nie koncentrują się na własnych przeżyciach, ale mówią o wspólnym losie, jaki dzielili z innymi. I tak np. relacja Antoniego Józefa Zielickiego z celi śmierci to przede wszystkim szereg sylwetek więźniów różnych narodowości, z którymi w celi tej przebywał. Byli wśród nich także Rosjanie — „prawdziwi przyjaciele Polski”:

„Obaj byli Europejczykami w każdym calu i chyba jedy-
nymi wśród współtowarzyszy więzienia Rosjan prawdziwymi
przyjaciółmi Polski. Bez cienia wrogości, uprzedzeń, podej-
rzliwości, z którą się stykałem tak często. Bo nawet niena-
widzący władzy sowieckiej skazańcy, prości chłopci i prości
robotnicy, gdy chodziło o Polskę, powtarzali tendencyjne i
prawie zawsze niechętnie uwagi o Polsce i Polakach” (217).

Mowa tu o dwóch wybitnych naukowcach: prof. Aleksandrze Iwanowiczu Ogilwi, balneologu, i akademiku Mikołaju Iwanowiczu Wawilowie, światowej sławy genetyku i hodowcy roślin użytkowych („wielokrotnie powtarzał, że bardzo mało Rosjan wie, że Polacy właśnie uczyli Rosjan rolnictwa, kultury uprawy roślin”, 219).

„Marger Iwanowicz Skujenieks był człowiekiem, którego dopiero w celi śmierci poznałem i bardzo się do niego przywiąza-
łem. Był doradcą prezydenta Łotwy, był ministrem i szczerym
przyjacielem Polski” (205).

Zieliński opowiada też o Ormianinie, skazanym na śmierć za to, że sam wydał za dużo wyroków śmierci, który mimo to pozostał nadal entuzjastycznym zwolennikiem Stalina. Mówi o

18-letnim Karpatorusinie, który nie mógł zrozumieć, „za co chcą go zabić” (209).



Książka Czapskiego nie jest opisem „niehumanitarnej ziemi”, ale przede wszystkim zdaje sprawę ze spotkań, które miały tam miejsce. Miejsce jest „niehumanitarne”, więzi wspólnoty pozrywane, atmosfera zatruta nieufnością i nienawiścią. A jednak, gdy polskiemu pisarzowi przychodzi zdać sprawę z pobytu na tej „niehumanitarnej ziemi”, za najważniejsze uznaje dać świadectwo spotkaniom, jakby w nich właśnie zawarte było największe źródło wiedzy. I nadziei.

„Książka moja, o okrutnym dla Rosjan tytule, świadczy jednocześnie o moim przywiązaniu do Rosji. Zdaję sobie sprawę, że to stanowisko obce jest dzisiaj większości Polaków. Ale za wiele znałem i za wiele zawdzięczam Rosjanom najwyższej próby moralnej, rosyjskiej literaturze, za wiele doznałem serca od Rosjan, z którymi się zetknąłem w okresie, kiedy w Rosji stalinowskiej żyłem na względnej wolności. Spotkałem tam naprawdę braci, o których nawet w swojej książce nie chcę pisać, żeby im nie zaszkodzić; wierzę, że rzetelne i braterskie współzycie Polski i Rosji jest nie tylko możliwe, ale w przyszłości konieczne, więcej, że jesteśmy sobie pomimo naszej 'tragicznej przeciwstawności' niezmiernie bliscy” (9).

P O S Ł O W I E

Załączona bibliografia uwidacznia, jak bogaty jest zbiór bezpośrednich świadectw tego rozdziału naszej historii, który obejmuje dzieje Polaków w ZSSR w latach 1939-1942. Nie jest to bibliografia kompletna, nie uwzględnia bowiem wspomnień drukowanych na łamach czasopism i książek w obcych językach. Nie uwzględnia też olbrzymiej dokumentacji, jaką stanowią materiały zdeponowane głównie w Instytucie Hoovera w Kalifornii, zawierające kilkanaście tysięcy relacji spisanych przez byłych zesłańców, więźniów i łagierników tuż po uwolnieniu. Tylko niewielka ich część została ogłoszona drukiem, choć istnieją poświęcone im opracowania, takie jak: S. Mora, P. Zwierniak (pseud.), *Sprawiedliwość sowiecka*, Rzym 1945; *Dark side of moon*, Londyn 1946 — wydanie anonimowe z przedmową T. S. Eliota oraz „W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali...” Wybór i oprac. Jan T. Gross i Irena Grudzińska-Gross, Londyn 1983, „Aneks”.

Świadectwa te, zróżnicowane pod względem poziomu literackiego i form gatunkowych, traktowane są w opracowaniach historyczno-literackich łącznie, jako osobny rozdział literatury faktu a zarazem przesłania moralnego, co szczególnie mocno zaakcentowała Herminia Naglerowa w cytowanym na wstępie artykule z roku 1956. Kolejne całościowe ujęcie spotykamy w *Literaturze polskiej na Obczyźnie. 1940-1960* pod redakcją Tymona Terleckiego (Londyn 1965, t. II, str. 18-22). Bogaty materiał bio- i bibliograficzny przynosi antologia *Polacy w ZSSR (1939-1942)*, opracowana i poprzedzona *Wstępem*, który jest próbą ogarnięcia całości zagadnienia przez Marię Czapską. Na temat wspomnień wydanych w latach 1961-1976 pisze Eugeniusz Romiszewski w londyńskim „Pamiętniku Literackim” (t. II, 1978, str. 63-66).

W książce tej ma także swój udział Maria Danilewicz Zielińska, nie tylko jako autorka najnowszego, obszernego omówienia „literatury zsyłkowej” w *Szkicach o literaturze emigracyjnej* (Paryż 1978, Instytut Literacki), ale również przez udostępnienie mi swego księgozbioru i wiele jakże cennych wskazówek.

Dzięki pomocy Biblioteki Polskiej w Londynie mogłem przeczytać niektóre, prawie nieosiągalne już dzisiaj książki.

Opracowanie to z założenia jest wyborem. Nie uwzględnia wielu wspomnień i opartych na nich utworów literackich, zawierających podobne przykłady spotkań — podobne, choć każde z nich ma przecież własną, niepowtarzalną wartość. Odsyła do nich załączona bibliografia.

Lizbona, październik 1983

BIBLIOGRAFIA

- Anders Władysław, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Londyn 1949, Montgomeryshire Printing Co. (i in.).
- Bieńkowska Danuta Irena, *Droga do Rosji: fragmenty z dziennika; Północ i południe: szkice z Rosji*, w: *Między brzegami. Poezja i proza*, Londyn 1978, Oficyna Poetów i Malarzy.
- Brzezicki Bronisław, *Z łagru Nachodka do Ziemi Świętej*, Londyn 1974, Veritas.
- Czapski Józef, *Na nieludzkiej ziemi*, Paryż 1949, Instytut Literacki (i in.).
- Czapski Józef, *Wspomnienia starobielskie*, Rzym 1944, Biblioteka „Orla Białego”.
- Czapscy Józef i Maria, *Dwugłos wspomnień*, Londyn 1965, Polska Fundacja Kulturalna.
- Czuchnowski Marian, *Tyfus a teraz słowiki*, Londyn 1951, Modern Writing Ltd.
- Domino Zbigniew, *Cedrowe orzechy. Opowiadania syberyjskie*, Warszawa 1974, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej.
- Drobner Bolesław, *Bezustanna walka*, t. III. *Wspomnienia 1936-1944*, Warszawa 1967, Państwowy Instytut Wydawniczy.
- Dubanowiczowa Magdalena, *Na mongolskich bezdrożach*, Londyn 1974, Polska Fundacja Kulturalna (i in.).
- Dubanowiczowie Edward i Magdalena, *Na placówce w Ajaguz*, Londyn 1976, Figaro Press.
- Gończyński Franciszek, *Raj proletariacki*, Londyn 1950, Gryf Publications Ltd.
- Grubiński Wacław, *Między młotem a sierpem*, Londyn 1948, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.
- Hab Dank Teresa, *Tułaczką*, Kurytyba 1961.
- Halpern Ada, *Spokojne życie*, Rzym 1946, Biblioteka „Orla Białego”.
- Herling-Grudziński Gustaw, *Inny świat. Zapiski sowieckie*, Londyn 1953, Gryf Publications Ltd. (i in.).
- Januskiewicz Maria, *Kazachstan*, Paryż 1981, Instytut Literacki.
- Kowska Janina (pseud.), *Moje uniwersytety*, Londyn 1971, Polska Fundacja Kulturalna.
- Hort Weronika (Anna Tyszkiewicz, znana jako Hanka Ordonówna), *Tułacze dzieci*, Bejrut 1948, Instytut Literacki.
- Kościakowski Stanisław, *Raptularz*, Londyn 1973, Alma Mater Vilnensis.
- Krakowiecki Arnold, *Książka o Kołymie*, Londyn 1950, Veritas.

- Królikowski Łucjan Zbigniew, ks., *Skradzione dzieciństwo*, Londyn 1960. Veritas.
- Krzysztoń Jerzy, *Wielbłąd na stepie*, Warszawa 1978, Czytelnik.
- Lipski Leo (Leo Lipschütz), *Dzień i noc* (opowiadania), Paryż 1957, Instytut Literacki.
- Lubomirski Eugeniusz, *Kartki z mego życia*, Londyn 1982, Polska Fundacja Kulturalna.
- Mantel Feliks, *Wachlarz wspomnień*, Paryż 1980, Księgarnia Polska.
- Młynarski Bronisław, *W niewoli sowieckiej*, Londyn 1974, Gryf Publication Ltd.
- Mora Sylwester, Zwierniak Piotr (Zamorski Kazimierz, Starzewski Stanisław), *Sprawiedliwość sowiecka*, Rzym 1945.
- Muskus Urszula, *Długi most — moje przeżycia w Związku Radzieckim*, Londyn 1975, Veritas.
- Naglerowa Herminia, *Kazachstańskie noce*, Londyn 1958, Veritas.
- Naglerowa Herminia, *Ludzie sponiewierani*, Rzym 1945, Biblioteka „Orła Białego”.
- Olszewski Witold (Kempiński), *Budujemy kanał. Wspomnienia kierownika biura planowania*, Rzym 1947, Polski Dom Wydawniczy.
- Piekarski Henryk, *Znad Niemna przez Syberię do Kanady*, Rzym 1967, Tipografia Pont-Universita Gregoriana.
- Polacy w ZSSR. 1939-1942. *Antologia*. Opracowanie i wstęp Marii Czapskiej, Paryż 1963, Instytut Literacki.
- Poszwiński Henryk, *Spod Łowicza do Londynu*, Londyn 1967, OPiM.
- Rudnicki Klemens, *Na polskim szlaku. Wspomnienia z lat 1939-1947*, Londyn 1952, Gryf Publications Ltd. (i in.).
- Rudzka Maria (Beata Obertyńska), *W domu niewoli*, Rzym 1946, Biblioteka „Orła Białego”.
- Skrzypek Stanisław, *Rosja jaką widziałem*, Newton Mont. 1949, Montgomeryshire Printing Co.
- Stypułkowski Jerzy, *Droga do wojska*, Londyn 1967, Polska Fundacja Kulturalna.
- Swianiewicz Stanisław, *W cieniu Katynia*, Paryż 1976, Instytut Literacki (i in.).
- Tęczyńska Danuta, *Deportacja w nieznane. Wspomnienia 1939-1942*, Londyn 1981, Veritas.
- Umiastowski Jan Kazimierz, *Przez kraj niewoli. Wspomnienia z Litwy i Rosji z lat 1939-1942*, Londyn 1947, Biblioteka Pamiątek.
- Wat Aleksander, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony. Rozmowy z Czesławem Miłoszem*, t. I-II, Londyn 1977, Polonia Book Fund Ltd. (i in.).
- Wańkowicz Melchior, *Dzieje rodziny Korzeniowskich*, Tel-Awiw 1942.
- Wasilewska Irena, *Za winy niepopłacone*, Rzym 1945.
- „W czterdziestym nas matko na Sybir zestali...” *Polska a Rosja 1939-1942*, Wybór i oprac.: Jan T. Gross, Irena Grudzińska-Gross, Wstęp J. T. Gross, Londyn 1983, „Aneks”.
- Wielhorski Władysław, *Wspomnienia z przeżyć w niewoli sowieckiej*, Londyn 1965, Nakładem Księgarni Orbis.
- Wittlin Tadeusz, *Diabeł w raju*, Londyn 1951, Gryf Publications Ltd.
- Zbruc Jan, *Czy byłem szpiegiem?*, t. I, II, Kurytyba 1953, Redakcja „Ludu”.

SPIS TREŚCI

<i>Wstęp</i>	7
<i>Podalsze od russkiej ziemi</i>	9
<i>W domu niewoli</i>	18
<i>Na polskim szlaku</i>	28
<i>W cieniu Katynia</i>	33
<i>Sto mil od brzegu</i>	41
<i>Z żołnierskiego dziennika</i>	47
<i>Bez ostatniego rozdziału</i>	51
<i>Droga wiodła przez Sorokłag</i>	55
<i>Z łagru „Kniaź Pohost”</i>	60
<i>Mędzy młotem a sierpem</i>	65
<i>Kołyma</i>	71
<i>Wiek Aleksandra Wata</i>	85
<i>Kazachstan</i>	90
<i>Kazachstańskie noce</i>	98
<i>Na mongolskich bezdrożach</i>	102
<i>Co się z nimi stało?</i>	106
<i>Mater Dolorosa</i>	110
<i>Komunia</i>	112
<i>Tułacze dzieci</i>	114
<i>Na nieludzkiej ziemi</i>	124
<i>Posłowie</i>	137
<i>Bibliografia</i>	139
	141

**ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 12 AVRIL 1984
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 2^e trim. 1984.



